

Tom CLXXXVI.

Zeszyt 557.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

ROK CZTERDZIESTY SZÓSTY.

M A J.

1887.

W A R S Z A W A.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

1887.

TREŚĆ.

	stron.
I. Aleksander hr. Przedziecki. (Ur. 1814 † 1871 r.). Przez Karola Łepkowskiego.	167
II. Z dziejów teatru hiszpańskiego. Studium literackie. Przez Juliana Adolfa Święcickiego.	192
III. O działaniach wojska koronnego Rzeczypospolitej polskiej w wojnie z Kozakami. (Okres od dnia 19-go lutego do 10-go lipca 1651 roku. Bitwa pod Beresteczkiem z 3-ma mapami). Przez Konstantego Górskiego.	215
IV. Na szerokim świecie. Powieść. (C. d.). Napisał Sewer.	235
V. Wystawa starożytności i obrazów, urządzona w słonach hotelu Europejskiego w Warszawie, w marcu i kwietniu 1887 roku. (Na dochód Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności). Opisał W. Gerson.	255
VI. Kronika paryzka. — Uroczystość w Akademii francuzkiej. — Mowa nowego członka Leconte de Lisle o Wiktorze Hugo. — Odpowiedź Aleksandra Dumasa. — Przyjęcie Fryderyka Mistrala przez Akademię marsylską. — Zmarły poeta Teodor Aubanel. — Napoleon I, studjum historyczne p. Taine'a. — Życie i utwory Gustawa Doré przez amerykańkę pannę Booswelt. — Listy Ressinego.	268
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
„Zasady psychologii,“ podręcznik p. Clark Murray'a, profes. filozofii w Montreal—przełożyli z upoważnienia autora Henryk Wernic i J. W. Dawid. Warszawa, 1887 r., t. I, str. 450. Przez J. K. Dworzaczka.	293
„Stefan Batory. Przegląd historii jego panowania i program dalszych nad nią badań. Z powodu 300-letniej rocznicy śmierci króla Stefana.“ Napisał Wincenty Zakrzewski. Wydanie poprawne i uzupełnione dodatkami. W Krakowie, nakł. G. Gebethnera i Sp., 1887, str. IV, 160. Przez J. K. Plebańskiego.	299
VIII. Kronika miesięczna. — Rzut oka na stosunki ogólnoeuropejskie. — Pogrzeb s. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego w Krakowie dn. 18 kwietnia r. b. — Lustracja Towarzystw polskich w W. Ks. Poznańskim: Towarzystwo pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego; Sprawozdanie Banku włościańskiego za rok 1886-ty; Kółek rolniczych; Towarzystwa centralnego rolniczego. — Sprawozdania Macierzy	



De. II. l.

ALEKSANDER HR. PRZEZDZIECKI.

(Ur. 1814 † 1871 r.).

PRZEZ

Karola Łepkowskiego.

Ocenienie dokładne męza tój miary, co Aleksander Przewdziecki, wykazanie wszechstronne zasług i wpływu jego na postęp nauk w piśmiennictwie polskiem na polu historii, archeologii i literatury, złożenie zasłużonego hołdu szlachetnemu mecenasowi, nie jest zadaniem pracy niniejszój, zwłaszcza, że Biblioteka Warszawska spełniła ten obowiązek zaraz po śmierci swego najgorliwszego współpracownika i wspianiałomyślnego mecenasa ¹⁾. Rozczytując się w obszernój nader korespondencyi uczonego mecenasa (przeszło 500 listów od 1852 do 1871-go r.) z Józefem Łepkowskim, ojcem moim, spotkałem się z wielu poglądami wytrawnego badacza przeszłości naszój, które w zapomnieniu pójść nie powinny, dlatego postanowiłem wydobyć z tój korespondencyi skarb myśli Aleksandra Przewdzieckiego i to w chwili, gdy zaczęte przez niego wydawnictwo „Dzieł Długosza,” przy szlachetném staraniu i nie słabnącym nakładzie synów, szczęśliwie do pożądanego dobiegło celu.

Badaczów dziejów naszych podzielić można na dwa szeregi. Jedni, odgrzebując dokumenty przeszłości, zbierają je i wnoszą ze wszystkich cmentarzysk na widok publiczny. Drudzy wnoszą z tych materyałów rozrzuconych wspaniałym gmach historii narodowój. Z po-

¹⁾ Ś. p. K. Wł. Wójcicki, ówczesny redaktor Bibl. Warsz., wydrukował wkrótce po śmierci ś. p. Aleksandra artykuł, poświęcony pracom i pamięci niestrudzonego badacza dziejów polskich, wraz ze „Spisem bibliograficznym wszystkich pism Aleksandra Przewdzieckiego,” wyjętym z „notat do bibliografii polskiej” Cypryana Walewskiego. Zob. Bibl. Warsz., 1872, t. 2-gi, str. 60—78.

Przyp. Red.

łączenia sił intelektualnych w dwojakim tym kierunku powstaje dopiero dokładny obraz przeszłości naszej.

Do szeregu pierwszych, co jak Maksymilian hr. Ossoliński, Edward hr. Raczyński, T. hr. Działyński umieli użyć część majątku swego na cele naukowe, należy najmłodszy pomiędzy zmarłymi Aleksander hr. Przezdziecki i to w poczcie nieostatni, chociaż chronologicznie zastęp ten zamykający.

Urodzony 1814 r. 29 lipca z Adelajdy hrabianki Olizarówny i Konstantego Przezdzieckiego, marszałka szlachty podolskiej, w Czarnym Ostrowie na Podolu, pobierał pierwsze nauki w rodzinnym tym miejscu. Dopiero w lat kilka, przygotowany dokładnie, wstąpił do liceum krzemienieckiego. Wiadomo, jak zasłużonego wpływu używała podówczas szkoła krzemieniecka i jacy z niej ludzie wychodzili. Nic tedy dziwnego, że młodzieniec znalazł tutaj grunt szeroki i zdrowy, na którym wzrastały i kształciły się pokolenia, żadne nauki i wiedzy. Biblioteka, składająca się z blisko 36,000 tomów, staraniem Czackiego zebrana, bogaty gabinet numizmatyczny (po Stanisławie Auguście za 15,000 czerw. zł. nabyty), dalej gabinet fizyczny i mineralogiczny jeszcze przez księcia Józefa Poniatowskiego, po stryju jego księciu prymasie, w darze złożony, — wszystko to otwierało szerokie pole do studyów, dawało możność korzystania z wszystkich kierunków wiedzy ludzkiej. Młody Przezdziecki już wówczas szczególnie miał zamiłowanie do historii. Dowodem tego jest świadectwo szkoły krzemienieckiej, która w pierwszym kursie (r. 1829) w nagrodę za pilność obdarzyła go srebrnym medalem i otwartym listem honorowym. W liście tym, na pierwszym miejscu czytamy o szczególniejszym zamiłowaniu chłopca do historii. Skończywszy nauki po 3-ch latach z wielkim pożytkiem i chlubą w liceum krzemienieckim (r. 1831), dopiero w dwa lata później zapisał się Al. Prz. w poczet uczniów uniwersytetu berlińskiego, i kształcił się w historii i filologii. Obok tego słuchał także i wykładów prawa rzymskiego, skoro (r. 1834) na colloquium z prof. Savignim otrzymał stopień celujący. Bliższych szczegółów tego faktu nie znamy.

Zawód literacki rozpoczyna Aleksander Przezdziecki już dosyć wczesnie wydaniem książeczki p. t. „Szwecya;“ wspomnienie jesienne z r. 1833. Była to pierwsza naukowa podróż dziesiętnastoletniego młodzieńca. Ukochał ją też całym sercem, a z całości tej pracy młodzieńczej widno, że myśl tak szlachetna, jak gonienie za ojcystymi pamiętkami sprawiała mu już wówczas radość niewymowną. Nic tedy dziwnego, że w przedmowie do drugiego wydania owych „Wspomnień jesiennych“ (1845) tak pisze: „Dziesięć lat minęło od tej pierwszej wędrówki mojej do skandynawskiej ziemi, a zarazem i w nieznaną mi dotąd krainę piśmiennictwa. Tyle żywych wrażeń zostawiła ta pierwsza, tyle chwil przyjemnych przyniosła ta druga, że nie mogę bez pewnego uczucia wdzięczności myślać do nich powracać.“ Gdy przy-

szło przerwane w Berlinie studia znowu odnowić, mógł sobie Przeddziecki powiedzieć, że „wrócił do onej świątyni nauk, wzbogacony nowym plonem wspomnień i myśli. Inni z Włoch i Grecyi pospieszają do Berlina — mówi dalej w tej samej książce — ja z północy te same obrazy przynoszę. Stockholm i jezioro Mälär, okolice Junköping i Motali, starożytności Upsali, kopalnie w Danmore, w Sali, we Fahlun, Delkarlia, Sund, Kopenhaga, wyspa Rügen nawet, pozostały nam jako pomniki ziemi skandynawskiej.” W jaki sposób ta pierwsza literacka praca przyjęta została, świadczy o tém krótkie wspomnienie, zawarte w „Panoramie literatury krajowej i zagranicznej“ temi kończące się słowy: „Podróż ta nie zawiera w sobie ani przypadków nadzwyczajnych, ani spostrzeżeń szczegółowych. Autor opisywał często przedmioty aż nadto znane publiczności, w uwagach swoich nie zapatruje się na nie z wyższego stanowiska, a jednak wyborem zdarzeń ciekawych i powabnym stylem umie zająć i zabawić czytających.“

Na ten czas przypadają także pierwsze próby dramatyczne Przeddzieckiego, o których wspomnimy niżej, gdy nam o Przeddzieckim jako o dramaturgu mówić przyjdzie.

Właściwa działalność literacka hr. Aleksandra rozwinęła się do piéro wówczas, kiedy w r. 1841 powstały w literaturze polskiej dwa pisma naukowe: „Atheneum“ i świeżo założona „Biblioteka Warszawska.“ Przeddziecki staje się gorliwym współpracownikiem obu tych pism, pracując głównie w dziedzinie historii, archeologii i literatury, nie wyłączając jednak powieści, jak „Ostatnia z Dolskich“, pod przewodnictwem J. I. Kraszewskiego napisanej. W ten sposób powstał cały szereg większych i mniejszych artykułów, rozsianych po „Atheneum“ i „Bibliotece Warszawskiej.“ W ten sposób powstały: „Rzecz o dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce“, „Podróż po Polsce w XII i XIV-ym wieku“ (Bibl. Warsz. 1844); „Mieczysław“, „Nieśwież i Omelanik“ (Ath. 1844); „Grobowiec Ryksy w Kolonii“ (Bibl. Warsz.) i wiele innych rozpraw treści historycznej, które wszystkie w liczbie trzydziestu kilku wyliczone są w „Spisie bibliograficznym pism Aleksandra Przeddzieckiego“, wyjętym z „notat do bibliografii polskiej“ Cypryana Walewskiego (w Bibl. Warsz. 1872). Równocześnie pracował Przeddziecki nad dziełkiem, które wyszło w roku 1841 p. t. „Podole, Wołyń, Ukraina—obrazy miejsc i czasów.“ Ma ono już cechę o wiele poważniejszą niż „Podróż do Szwecyi“, a autor przemawia we wstępie do tej książki temi słowy: Nadeszła pora, w której przejrzawszy wszystko, co tylko cudze kraje przedstawiają godnego uwagi, każdy zapytuje, ażali u nas nic podobnego nie było i niema?

„Czas już—mówi cokolwiek dalej—czas, abyśmy zaczęli żyć życiem czynnym, w obrębie sił naszych i usposobień, w obrębie zasobów, jakie nam rodzinna ziemia przedstawia, a obręb ten Bogu dzięki—rozległy... Słowa te stały się niejako maksymą, myślą przewodnią Przeddzieckiego, gdy życie całe poświęcił na poznanie tych ojczystych pamiątek. To, co powiedział we wstępie do swęj książki, przepro-

wadza z wszelką możliwą drobiazgowością i w niej samęj. Podróż po Wołyniu i Podolu odbył z polecenia rządu, dla zebrania materyałów do statystyki tych krajów. „Cieszę się — dodaje sam w końcu — że własnymi oczami i starannie mogłem się wszystkiemu przypatrzeć. Archiwa publiczne i kościelne stały mi otworem.“

Dzięki też uprzejmości niektórych krewnych i znajomych, mogłem przejrzeć prywatne biblioteki i familijne archiwa, takich jak: Chodkiewiczów, Potockich, Lubomirskich, Jabłonowskich, Radziwiłłów, Sanguszków i t. d. Obok tylu różnorodnych zajęć, nie mało pracy poświęcił zbiorowi „Źródła do dziejów Polski“ (1843) w czém mu Michał Grabowski i Mikołaj Malinowski pomagali. W tym czasie ożenił się Przędziecki z p. Maryą hr. Tyzenhauzówną. Związek ten jak niemniej pokrewieństwa, które go przedtém łączyły z tylu rodami znakomitymi, otworzyły mu drogę do ludzi w kraju pierwszorzędnych nauk. Wiedząc to, nie ociągał się długo, ale zaraz postanowił skorzystać z tych przyjaznych stosunków. Ileż to bibliotek i archiwów za granicą było obcych krajowi naszemu! Obecnie mógł mieć prawie wszędzie otwarty wstęp do tych skarbów nauki. Nic też dziwnego, że w latach od 1846—1849 z całym zapatem pracuje w zbiorach i bibliotekach Francyi, Niemiec i Włoch.

Praca ta nie była bez skutku, gdy rezultatem jęj jest książka p. t. „Wiadomości bibliograficzne o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, przejrzanych po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych“ (1850). Pięć voluminów, tę samą jeszcze rzecz traktujących, leży w manuskrypcie u syna jego hr. Konstantego ¹⁾. Ile to trudu i mozołu potrzeba było na dokonanie dzieła tak skrupulatnie i szczegółowo przeprowadzonego! Dodajmy do tego i to, że przebiegając część Niemiec, zaledwie jednym rzutem oka oglądać mógł rękopisy w Berlinie, w Dreźnie, w Monachium — a we Włoszech dopiero, zwłaszcza w Rzymie spodziewał się znaleźć klucz do zamkniętych dotąd początków dziejów naszych. Już to żadne miasto nie mogło przedstawiać dla Przędzieckiego tyle uroku co Rzym, który co do archiwów i bibliotek publicznych i prywatnych jest najbogatszym w świecie. „Wszystkie niemal narody mogą tu znaleźć bogate materyały do dziejów swoich, mówi w „Wiadomościach bibliograficznych.“ Jeśli czemu bogactwo w tym kierunku rozwinięte przypisywać należy, to chyba owęj opiece ojcowskiej, którą papież nad całym światem rozciągali.“ Korespondencye z owych ciągłych stosunków wynikłe, stały się wkrótce podwaliną archiwów i bibliotek kościelnych w Rzymie. „Cóż kiedy owa biblioteka watykańska, rękopiśmiennie na całym świecie najznacniejsza niezbyt dostępną jest dla obcych,“ skarży się dalej Przędziecki. „Wyjątkowym tylko sposobem i po łaskawém postuchaniu, jakie jeszcze w r. 1846 miałem u papieża Grzegorza XVI-tego wstęp do watykańskiej biblioteki uzyskałem.“ Wtedy, gdy przed ro-

¹⁾ Hr. Konstanty ofiarował je Akad. Umiej. w Krakowie.

kiem 1845 szukał Przeddziecki, przy pomocy wpływów osób wysoce w Watykanie położonych, wstępu do owych najbogatszych na świecie archiwów, inne były czasy i okoliczności od dzisiejszych, gdy papież, Leon XIII, dozwolił uczonym korzystać swobodnie z tych skarbów, a nawet dla ułatwienia badań założył szkołę paleograficzną pod kierunkiem prof. Cariniego. Co dziś tak snadna, przed czterdziestu laty, trudnym było. Wtedy hr. Aleksander musiał szukać ścieżek tam, gdzie dziś gościńce otwarte. Jakkolwiek bądź w podrózach swoich pracował w tej bibliotece niezmordowanie, a ile bogatych zasobów i korzyści naukowych wyniósł, dowodzi dopiero co przytoczona książka. Ale oprócz „Wiadomości bibliograficznych“ wiele innych mniejszych lub większych rozpraw w ten sam sposób powstało, z których przedewszystkiem wymienić nam należy następujące: „O Polakach w Bononii i Padwie (Warsz. 1853), Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach (Warsz. 1853), Listy Annibala z Kapui (Warsz. 1852)“ i t. d. Po powrocie z Rzymu, osiadłszy na jakiś czas w Warszawie wspólnie z baronem Edwardem Rastawieckim powziął śmiałą a zarazem znakomitą myśl wydania wspólnemi siłami pomnikowego dzieła: „Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec XVII w. w dawnj Polsce.“ Chęć pokazania światu, że w dziełach sztuki śmiało stanąć możemy w szeregu narodów europejskich, stała się dla Przeddzieckiego gwiazdą przewodnią na drodze dalszej jego pracy. A przeprowadzenie tego rodzaju dzieła było rzeczą nie małej trudności i wagi. Równocześnie bowiem wychodziła sławna publikacya: „Le moyen âge et la renaissance,“ dzieło, z którym współzawodnictwo wydawało się niepodobnóm, tém więcj, że chromolitografia u nas nie istniała. Tego rodzaju egzamin był więc trudnym, a jego wypadek chwiejnym bardzo. Że jednak pomyslnie wypadł, przekonamy się wkrótce.

Rok 1852 zastał Przeddzieckiego zajętego jeszcze „Listami Annibala z Kapui“ i zbieraniem materyałów do „Wzorów.“ Najpierw trzeba było zwrócić się do Krakowa i choćby najważniejsze pamiątki wydobyć, aby je światu pokazać. To też w listach swoich z Warszawy do Krakowa, alarmuje ciągle o nowe tablice rysunkowe, których wypracowaniem zajmują się malarze: Leon Dembowski, Karol Balicki, Ludwik Łepkowski, Wojnarowski, Koghen i wielu innych. Marzy więc tylko o tém „aby w liczbie 20 tablic, które w tym roku wyjdą, choćby trzy z Wawelu pochodziły. Przecież na to potrzeba, aby w ciągu marca rysunki już były u Fajansa w Paryżu.“ Chodziło tedy o pośpiech, dla tego tablice pomienione bez poprzedniego przejrzenia w Warszawie wprost do Paryża wysyłanemi być miały. Kłopoty, jakich nie mało dostarczały ówczesne przepisy prasowe, nie odstraszyły Przeddzieckiego. Zachodzą — pisze on — nie małe trudności, ale nie spieszymy się z otrzymaniem pozwolenia i z wydaniem dzieła; będziemy gromadzić jak najwięcej rysunków, aby już z gotowym zapasem szybko odrazu postępować. „Wzory sztuki“ z każdym niemal dniem rosną i rosną, a materyału nie braknie — owszem coraz się go więcj

pokazuje. Przeddziecki nie ustaje ani na chwilę, życząc sobie jedynie, „aby wcale o t \acute{e} m nie pisano po gazetach.” Oprócz tego inne jeszcze zatrudnienia zaprzątają mu głow \acute{e} . To t \acute{e} ż w liście z dnia 9 lipca 1852 r. pisze: „Dosiaduję tu jeszcze dni kilka dla interesów rozmaitych, ale jestem już w p $\acute{o$ ł przeniesiony na wieś do „Falent“¹⁾, gdzie zamierzam lato przepędzić. Zatrudniony t \acute{e} ż jestem dokończeniem drugiej części II-go tomu „Dyplomata rycyusza,” która wkrótce z druku wyjdzie; wezmę się pot \acute{e} m do części trzeciej, złożonej ze spisu osób, miejsc i wyrazów technicznych do dwóch poprzedzających części. Chciałbym się rozszerzyć jeszcze nad bardzo ciekawymi materiałami historycznymi z XV-go wieku, które mam pod r \acute{e} ką, ale tyle jest różnorodnych zatrudnień w t \acute{e} j chwili, że zaledwie mogłem czas znaleźć do napisania tego listu.“

Tymczasem miesiące całe upływają, a upragnione pozwolenie na wydawnictwo nie nadchodziło. Z t \acute{e} m większą energią napręża Przeddziecki wszystkie siły dla przełamania oporu w interesie zatwierdzenia prospektu. Jedyłą troską, powstałą z op $\acute{o$ źnienia wydawnictwa była obawa, aby Wilczyński²⁾ nie wyprzedził z wydaniem swoich tablic krakowskich.

Czy ta obawa, czy wreszcie inne jakie przyczyny sprawiły, że praca zaczęła przybierać kolosalne rozmiary. Stwosz ze swemi dziełami pociągał Przeddzieckiego i nęcił do zrobienia rzeczy iście europejskiej— na skalę może większą niż na to siły i środki pozwalały. Zebrać akwarele wszystkich części wielkiego ołtarza w kościele N. P. Maryi, rzeźby w kościele Ś. Floryana, Ogr \acute{o} jec, rzeźby tego mistrza z Norymbergi i Lewoczy— a to wszystko wydać razem, aby postawić Stwosza w obec Europy, jak Adryan Krzyżanowski Kopernika postawił, stało się odtąd marzeniem i nicią przewodnią wydawcy „Wzorów.“ Takie dzieło musiało (?) wrócić koszta na nie ł \acute{o} żone: co wic \acute{e} dziej musiało wdzi \acute{e} czność narodu pozyskać.

Trudno pominąć t \acute{e} okolicozn \acute{o} ść, że w gorliwości postawienia wydawnictwa „Wzorów“ na wyzynie europejskiej spotkały się usiłowania obojga Przeddzieckich. Żona hr. Aleksandra, sama artystka, dopomagała w wyborze i w wydaniu przedmiotów sztuki, zalecających t \acute{e} publikacyą, na której istotną pi \acute{e} knoś \acute{c} złożyli się oboje.

Po wydaniu pierwszych zeszytów nie ustawał Przeddziecki w pracy— i owszem, t \acute{e} m energiczniej rozproszone pamiątki polskie zgromadza i odpowiednich malarzy do skopiowania tychże wysyła. „Nie mało ciekawych rzeczy do rysowania mamy w Kr \acute{o} lestwie polskim — pi $\acute{s$ ze w jednym z listów — i tak: w Lendzie malowania ścienne, we Wiślicy płaskorzeźba Matki Boskiej z czasów Łokietka, w Stob-

1) Rezydencya ta nabyta niedawno przez hr. Przeddzieckiego, urządzoną przez niego została z wielkim gustem.

2) Zmarły niedawno wydawca „Album Wileńskiego.“

nicy relikwiarze i kielichy Kazimierza Wielkiego, w Kielcach relikwiarz św. Magdaleny i inne przedmioty w Zbiorze Zielińskiego.“ Do wszystkich tych miejsc wysłał Przewdziecki artystów krakowskich, którzy wydawcę zadowolnili i świetnie wywiązali się ze swego zadania. Zaledwie pokazały się w Warszawie pierwsze zeszyty „Wzorów“ a już pochlebne o nich wiadomości rozeszły się po gazetach i polskich i zagranicznych. Z niewymowną radością donosi też Przewdziecki w liście swoim: „Wyszły ureszcie dwa zeszyty i spodziewam się, że się to wydanie podoba pod względem wykonania także; nawet druk i papier, ta słaba strona warszawskich wydań, odpowiadają piękności tablic.“ Od tej chwili nie ma listu jednego, w którymby sprawa dalszego wydawnictwa „Wzorów“ nie była poruszana, a jeśli czas dłuższy upływa bez wiadomości o tém, co się dzieje w Warszawie, to chyba dla tego, że raz poraz przychodzi „bolesny atak cierpienia, a trzymając dni kilka w łóżku nie pozwala zajmować się po dawnemu.“ W chwilach boleści nie małą przyjemność sprawia choremu, pojawianie się świeżych zeszytów tej pięknej publikacji, która była powodem, że różne zdania o przedmiotach w tém dziele odwzorowanych wywoływały polemikę tak bardzo pożyteczną dla ogółu. Polskie pamiątki wzbudziły ogólny podziw u obcych, a książkę Wilhelm Radziwiłł kazał dzieło to w Berlinie oprawić i złożył je w darze królowi pruskiemu, który czcząc zasługi autora z podziękowaniem egzemplarz przyjął i królewskim obdarzył orderem. Później w r. 1859 Przewdziecki, bawiąc sam w Rzymie, ofiarował Wzory papieżowi. Ojciec św. przyjął je najlaskawiej, bo publikacja podobała się bardzo ¹⁾. Równocześnie w sierpniu 1852 projektuje Przewdziecki archeologiczną podróż po Galicyi, aby pamiątki polskie dotąd nieznanne na jaw wydobyć i w opisach pozostawić o nich wiadomość. Do tej podróży wybiera Józefa Łepkowskiego z malarzami Ludwikiem Łepkowskim i prof. Leonem Dembowskim, sam zaś jako duch opiekuńczy czuwa nad nimi, z Warszawy często posyłając im wskazówki. Owocem tej podróży jest książka prof. Łepkowskiego „Przegląd zabytków z okolic Krakowa.“

Początek roku 1853 smutnie zaznaczył się dla Przewdzieckiego, zajętego pracą około Wzorów, mówimy o śmierci hr. Konstantego Tyzenbauza. Była to nie tylko rodzinna żałoba, ale nadto strata wielka dla nauk i dla kraju, bo hr. Tyzenhauz, jako znakomity ornitolog zyskał sobie nie tylko w kraju pierwszorzędne stanowisko. Jak gdyby w zamiarze otrząśnięcia się ze zbyt żywych wspomnień żałoby, wyjeżdża Przewdziecki na Podole w chęci przepędzenia tam całego lata, ale i tu nie może siedzieć beczynnie. Wreszcie po długich studiach wydaje r. (1853) „Życie domowe Jadwigi i Jagiełły z regestrów skar-

1) W Akwisgranie, w sławnej fabryce wyrobów kościelnych znajduje się jeden z pierwszych egzemplarzów jako materiał cenny i wielce dla pracowni użyteczny.

bowych z lat 1388—1417," dzieło, któremu Szujski tylko ten zarzut czyni, że po polsku a nie w oryginalnym tekście wydane. Równocześnie jednak usprawiedliwia krytyk wydawcę przez ową chęć szlachetną popularyzowania źródeł polskich, zainteresowania szerszych kół publiczności.

Zanim znowu przejdziemy do dalszej działalności hr. Aleksandra, do działalności literackiej w całym tego słowa znaczeniu, wypada nam wspomnieć, choćby pobieżnie o wydawnictwie „Historji literatury polskiej“ Wiszniewskiego. Uczony profesor uniwersytetu jagiellońskiego, zmuszonym był do wyjazdu za granicę, raz w skutek nadwątlonego zdrowia, powtóre z powodu stosunków politycznych, które go do opuszczenia kraju nagliły. Było to w r. 1846. Siedem tomów „Literatury“ wyszło pod redakcją samego autora, ósmy przygotowano do druku, gdy reszta, nieuporządkowana w manuskrypcie leżała. Nie pozostało nic innego, jak sprzedać całe dzieło człowiekowi, któryby dalszemu wydawnictwem się zajął. Tym człowiekiem był Konstanty Macewicz. Wiszniewski zgodził się chętnie na warunki, a Macewicz stał się niebawem właścicielem wyszłych już siedmiu tomów wraz z mnóstwem zgromadzonych materiałów do dalszych dziewięciu epok. Nabywca gorliwie zajął się wydaniem tomu ósmego, ale i poprzestał na nim. Co się zaś tyczy reszty pozostałych manuskryptów, tak tę sprawę wyjaśnia Macewicz w przedmowie do powyższego tomu: „Tak tedy wypracowany i zupełnie na nowo przewertowany tom niniejszy, dogadzając woli autora i gorącemu własnemu życzeniu, dziś udzielam czytającej publiczności; zaś co do reszty, to straciwszy nadzieję, aby pan Wiszniewski, po otrzymaniu emerytury, wypłacalnej według żądania jego za granicą, bądź prędko do kraju wrócił, bądź po przerwie kilkoletniej, innym zatrudnieniem oddany, chciał się zaniechanemu dziełu poświęcić, uważałem za najpierwszy mój obowiązek, takiego na nie szukać nowonabywcy, w którymby takowe, raczej godnego siebie znawcę i opiekuna, aniżeli tylko oglądającego się na korzyść majątkową, przedsiębiorcę znalazły. Zabiegi moje w tém nie były daremne: znany bowiem uczonemu światu mąż, w rzeczach ojczystych pełen zamiłowania mający, z autorstwem dobrze obeznany, Aleksander hr. Przędziecki, został rzeczonemu zbioru właścicielem; szczęśliwym się przeto być mienie, że w chwili, kiedy tom ósmy Historji literatury polskiej z druku wychodzi, zarazem donieść mogę czytającej publiczności, że reszta tyloletniej pracy znakomitego pisarza, można powiedzieć z wielu względów w piśmiennictwie naszym berło trzymającego, w zdolne i gorliwe powierzony została ręce.“ Zapewnienie to niech mi wolno będzie wesprzeć własnymi nowonabywcy wyrazami: „Milo mi jest (słowa listu hr. Przędzieckiego), że mogłem ukończyć interes dla całej czytającej publiczności pożyteczny.“— Ale interes ten, o ile był pożyteczny, o tyle wymagał dużo kłopotów i pieniędzy, które nigdy powrócić się nie mogły, gdy poszczególne tomy bardzo były zdefektowane. To też tylko dziewięć tom i osobno wydany skorowidz wyszły nakła-

dem Przeddzieckiego. Oprócz wyż wymienionych przyczyn zniewalających do zaniechania wydawnictwa, przybyła jeszcze i ta okoliczność, że Wiszniewski nie był zadowolonym z redakcyi p. T. Żebrawskiego, i na zapytanie Przeddzieckiego, co ma z resztą manuskryptów robić, odpowiedział kategorycznie: „nie wydawać.“ Leżały téż w osobnych pakach pisma uczonego profesora, aż krótko przed śmiercią hr. Aleksandra, w skutek wyraźnego życzenia, syn zmarłego hr. Konstanty oddał je w darze Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie się obecnie znajdują. Taki los przypadł cennym a wielce naukowym rozprawom Wiszniewskiego, które kto wie czy i kiedy doczekają się wydania tak bardzo upragnionego.

Rezległe stosunki łączyły Przeddzieckiego z całym uczonym światem, a podczas ostatniego pobytu swego w Rzymie poznał był także o. Augustyna Theinera szlązaka, który pracował podówczas nad słynnym dziełem: „*Monumenta historica Poloniae et Lithuaniae ex tabulariis vaticanis deprompta.*“ Dzieło to w ogromnych czterech tomach mieści w sobie źródła do Dziejów Polski w bibliotece watykańskiej zawarte. Jaki udział, jakie zasługi położył Przeddziecki w wydaniu tego dzieła z ks. J. Koźmianem świadczą o tém słowa samego Theinera w przedmowie „*monumentów*“ umieszczone: „*Superest, ut eximios quidem viros debitis laudibus recenseamus, qui in perficiendo hoc opere nobis adjumento esse, ac praestanti sua liberalitate omnique aevo commemoranda nobis succurrere voluere: primas obtinet egregius ille Alexander ex comitibus de Przeddziecki, quem dixeris animum ad virtutem et litteras a pueritia conformasse, et Joannes Koźmian, sacerdos ornatissimus, inque summam ecclesiae spem pietate et litteris excultus: eos sane praecipuos operis nostri hortatores singulariter diligimus et colimus propter ingentia merita, quae de Ecclesia, de litteris et de patria ipsa hoc praeclearo consilio sibi omnino compararunt.*“ Tyle zasług w dokonaniu tego dzieła przyznał Przeddzieckiemu sam Theiner, umieli je oceniać i inni, a przedewszystkiém arcybiskup warszawski Fijałkowski (1860), który w osobnym liście za wydane w Rzymie *Monumenta*, w imieniu całego dochowieństwa złożył mu podziękowanie. Dwa miesiące przed śmiercią P. przekazali współnicy cały nakład na własność OO. Zmartwychwstańców.

Równą troskliwością otaczał Przeddziecki kościoły i pamiątki nasze — kochał je i przywiązanym był do nich całym sercem. Słusznie téż mówi o nim Szujski ¹⁾: „*Więc zrestaurować nagrobek, więc sprawić trumnę kościom walającym się w prochu, więc upamiętnić gustownym i bogatym darem miejsce z naszą przeszłością związane, aby w obec cudzoziemców dać świadectwo nie wygasającego przywiązania do ziemi ojców—wszystko to dla Przeddzieckiego było więcéj, jak za-*

1) Jagiellonki polskie, t. V. Wstęp.

dosycuczynieniem, delikatnych popędów serca, było dopełnieniem obowiązku, który tylko szczytniejsze, idealniejsze umieją sobie nakładać dusze...”

Nic też dziwnego, że w obec tak daleko posuniętego przywiązania do pamiątek narodowych, najwięcej ukochał Kraków. Dla tego tutaj w kościele OO. Dominikanów miał swoją kaplicę, w której kiedyś strudzone kości swoje złożyć pragnął. W r. 1855 w kwietniu podupadły w skutek pożaru klasztor OO. Dominikanów, ofiarą wdowiego grosza miał być na nowo odbudowanym. Właśnie główniejszych restauracyi dokonano, gdy niespodziewany wypadek cofnął ów kres pożądany. Oto, jeden z najgłówniejszych filarów kościoła zawalił się, z większej części kościoła nową czyniąc ruinę. Kaplica, później imienia hr. Przędzieckich, ocalała, jako znajdująca się w stronie przeciwległej. Jedyne okno Hübnera, będące w tejże kaplicy, owa pamiątka krajowa, którą wszyscy podówczas się interesowali, było w niebezpieczeństwie, gdy od huku, lub przy upadku dachu pęknąć mogło, ale i to szczęśliwie ocalić się dało. Niespokojny Przędziecki wysłał listy do Krakowa jeden po drugim: „Katastrofa kościoła Dominikańskiego bardzo mi jest bolesna. Dzięki Bogu, że okno wyjęte, ale czy bez szkody? Oczekuję o tém wiadomości od p. Żebrowskiego, równie i o dalszym losie kaplicy.“ Ktokolwiek inny w podobnym będąc wypadku, byłby może opuścił ręce lub gruntowną restaracyą na lepsze czasy odłożył. Ale Przędziecki wiedział, że kto prędko daje, dwa razy daje, wiedział, że ruina idzie za ruiną i niszczą się polskie pamiątki, jeśli się o ich ratowaniu natychmiast nie pomyśli. Chodziło tedy na razie o fundusz potrzebny na odnowienie kaplicy i wyrestauowanie najkardynalniejszych części kościoła. Wkrótce i to się znalazło ¹⁾. Zmarła w Paryżu (8 listopada 1848) Adelajda z hr. Olizarów Przędziecka, secundo voto Dziekońska, zrobiła sobie przed laty ślub postawienia z pracy rąk własnych świątyni. W tym celu, sprzedawała pobożna pani, ręczne swoje roboty, lub też sama sobie za swoją pracę płaciła, zbierając te pieniądze na kościół. W ten sposób powstał fundusz dość znaczny, który synom swoim hr. Aleksandrowi, Mieczysławowi i Karolowi Przędzieckim, testamentem przekazała, nie oznaczając miejsca budowy na wzniesienie lub odnowienie publicznej kaplicy. Korzystając tedy ze sposobności, a wywiązując się imieniem swych braci z ostatniej woli nieodżałowanej swjej matki, pieniądze te obrócił hr. Aleksander na gruntowną restauracyą kaplicy św. Mikołaja, dawniej Orlikowską zwaną i doprowadził ją, rzec można do świetności, z niemłą dla całego kościoła OO. Dominikanów korzyścią.

W lat kilka potem, bo w r. 1864, w czasie zaburzeń krajowych znowu kaplica Przędzieckich uległa zniszczeniu, prawdopodobnie w sku-

¹⁾ Przemówienie ks. Szeligi w czasie otwarcia kaplicy. Kraków, r. 1857. Wydanie 2-gie.

tek złej roboty przy restauracyi. I znów dotknięty tém hr. Aleksander pisze: „Boleję nad ruiną kaplicy, ale gdy kraj cały jest ruiną, gdy zewsząd tynki lecą i najświetniejsze barwy się niszczą, musi i cząstka czekać lepszych czasów dla całości...“

Jakieśmy to już wyżej powiedzieli, Przeddziecki całym sercem przywiązał się do Krakowa. Miasto to stało się od dosyć dawna ulubioną jego siedzibą, a jako wyraz owego przywiązania przytaczamy słowa z listu pod Ojcowem, w Koszkwi pisanego (9 sierpnia 1855). „Patrzając na ulubiony, na ukochany Kraków i widziałem go doskonale, nawet bez lunety, z góry Chełmskiej.“ Było to wówczas, kiedy po zwiedzeniu Kielc, Chęcina, Borzęcina, Sandomierza, Zawichostu i t. d. rozkoszował się okolicami Ojcową, Czajowic i Pieskowej Skały. Wśród tej naukowej podróży, ciągle zbierał materyały archeologiczne, nie zaniedbując przytém obdarzać pisma polskie raz po raz „różnymi artykułkami.“ „Gazeta Codzienna“ obfitowała w nie podobno najbardziej, gdy stała się od jakiegoś czasu organem Przeddzieckiego — wzorem czasopism polskich w tym okresie. Pomimo tego, że „Gazeta Codz.“ świetnie, rzecz można, redagowaną była, Przeddziecki nie upatruje w tém swojej zasługi, skromność jego pod tym względem odbija się w słowach (z listu): „Co do „gazety Codziennéj“ — to prawda, że nie brak przeszkód do nadania ducha właściwego, ale i brak porządnego redaktora, wiele się do tego przyczynia. Jedyną jeszcze pokładam nadzieję w Gracyanie Czarnockim, synowcu Zoryana Chodakowskiego, zwłaszcza jeżeli stosunki się zmieniają, bo inaczej nie będzie warto nic robić, a fundusze dość znaczne w to włożone zapisać trzeba będzie do straconych.“

Korespondencye Przeddzieckiego do „Gazety Codziennéj“ ograniczały się początkowo na urywkowém tylko podawaniu nowych wiadomości historycznych. Tu i owdzie do różnych pism rzucał hr. Aleksander, na kartkach ze świata wysyłanych swoje ciekawe spostrzeżenia. Ten system, że tak powiem, kartkowy, zastępował niejako miejsce telegramu i w skutkach swoich okazał się praktycznym. Wiadomość taką chwyтали historycy, a każdy czytał z zajęciem, bo mu się niejedyn zamglony obraz, jak z pod czarodziejskiej zastony odkrywał. Jako próbka niechaj posłuży krótka a pouczająca wzmianka „O Kornelu i Katarzynie,“ młodych trefnisiach, umieszczona w „Gazecie codziennéj“ (1853, 1). Przytaczamy ją wcałości: „Kilku kartków i kilku trefnisiów zrobiło sobie imię głośne w dziejach naszych, że wspomnę tylko Stańczyka, nadwornego trefnisia królów Aleksandra i Zygmunta I i karła szlachcica Krassowskiego, który się wielce przyczynił do elekcji Henryka Waleczyusza. O wielu innych milczą dzieje, chociaż byli najmilszą rozrywką, największych w świecie monarchów. I tak Karol V cesarz, nie mógł się dość nadziękować Bonie, królowej polskiej za przysłanie mu dwojga dzieci Kornela i Katarzyny „wiekiem i wzrostem nierównych, ale z obyczajów całkiem podobnych.“ Wielką z nich uciechę mamy — pisał cesarz Karol V do

królowej Bony (ze Spiry 11 maja 1544), gdyż oboje szykowni i weseli i właśnie tacy, iż umysł nasz, ważnymi sprawami zmęczony, tańcem i żartami dziecinnymi rozrywać umieją. Dla tego dar ten z każdym dniem miłszym staje się dla nas, za który też pilną wdzięczność dla Waszjej światłości chowamy; staraniem naszym będzie, aby dzieci te uczciwie i stosownie do potrzeb swoich chojnie podejmowane były..." List ten po łacinie pisany znalazł Przewdziecki w bogatym zbiorze Rękopisów Cesarskiej Biblioteki Wiedeńskiej przy wielu innych ważniejszej historycznej treści. Przydaje on drobny wprawdzie, ale nowy szczegół do życia domowego ubiegłych wieków.

Dnia 7 września (1855) wyjeżdża Przewdziecki z Warszawy. Ślad jego powtórnej w tym roku podróży do Torunia, Kruszwicy, Strzelna, Mogilna i dalej znaleźć można w „Listach z podróży“ w Gazecie Codzienną umieszczonych. Po nużącej drodze, podczas mrozów dojechał do domu, a już zaledwie otrząsnął się z najpilniejszych interesów, pragnie się wziąć „wszelkimi siłami“ do podtrzymania na rok przyszły ulubionego dziennika „Gazety Codzienną“, zwłaszcza, że „Dziennik Warszawski“ hr. Rzewuskiego z konkurencją swoją i z nowymi nadziejami naprzód występował. Najprzód tedy stara się hr. Aleksander o pozyskanie Zyg. Kaczkowskiego, który zobowiązuje się krótkich dostarczać powiastek. Wkrótce potem zamiary i projekta wszelakie w czyn wprowadzone zostały a z nimi i świetna przyszłość otworzyła się dla Gazety Codzienną. „Od 1-go marca — pisze Przewdziecki — wychodzić zacznie w formie Gazety Warszawskiej, ale na białym papierze, nie powiększając ceny aż do końca roku. Przez marzec rozdawane będą egzemplarze gratisowe. Odcinek zaczynamy śliczną powieścią Triplina p. t. „Maskarada w obłokach.“ Redaktorem głównym literackim będzie pełen życia i czynności „Franciszek Salezy Dmochowski.“ Pomimo jednak owych świetnych nadziei i polepszenia, „Gazeta“ widocznie upadała. O ile świetnie redagowana, o tyle długo prosperować nie mogła. Dalsze utrzymanie ze stratą 30,000 złp. w tym jednym roku, przy 800 prenumeratorach stało się niepodobnym. „Mielśmy przemienić — pisze znów w liście swoim, „Codzienną“ na „Tygodniową“, ale pozwolenie na to zrazu obiecano — potem cofnięto. A zatem Gazeta od Nowego Roku wychodzić przestanie, a przynajmniej ja się od niej zupełnie i na zawsze usuwam.“ Taki był koniec owego pisma — organu Aleksandra Przewdzieckiego.

Człowiek takiej działalności, tak mrowczej a żelaznej pracy nie dał się nigdy odstraszyć żadnymi przeszkodami — a przeszkód tych, tak fizycznych jak moralnych, zawsze było bez liku. Bywało, że „na samém — nieraz wyjeżdżem z Warszawy zatrzyma gość niespodziewany, a nie miły, atak pedogry,“ lub inna jakaś choroba. I tak ciągle pasmo pracy nieustannej, czy dolegliwościami tego rodzaju, czy też nieszczęściem innym przygniecioném i przerywaném zostało. Dnia 1 czerwca 1856 zmarł Przewdzieckiemu ojciec hr. Konstanty, marszałek szlachty podolskiej, z górą lat 30 urząd ten piastujący. Acz sta-

rzec ten, doszedł do wieku bardzo podeszłego, powierzonego sobie marszałkowstwa złożyć nie chciał. Żal niewymowny przygniół całą rodzinę Przeddzieckich. Oto co hr. Aleksander o tej stracie rodzinnej donosi nawiedzonemu podobnym nieszczęściem przyjacielowi: „Na list żałobny odpowiadać mi przychodzi, takąż samą żałobą. Po siedmioletniej ciężkiej słabości ojciec mój zakończył żywot w domu moim. Ledwie mu oddał ostatnie posługi i po rozestaniu listów do rodziny, pospieszam z przesłaniem chociaż słów kilku dla połączenia żalu mojego z twoim. Życzę pociechy w Bogu i zdrowia dla zniesienia krzyżów żywota tego.“ Po chwilach takich, działających niekorzystnie na umysł, niepodobnym było na razie zabrać się znowu do systematycznej pracy. Trzeba było czegoś, co godzi niejako rozrywkę z nauką, czegoś, co dostarczając miłych wrażeń, myśl kłopotami rozrywającą, skupi i do przedsięwzięcia nowych planów, nowych marzeń i ideałów pociągnie. Tę lukę zastępowały u Przeddzieckiego podróże naukowe, które ukochał tak bardzo i z którymi całe jego życie zespoliło się i skojarzyło w jedną całość. To też niesłychanie trafnie zcharakteryzował Siemiński tę stonę odbytych podróży, gdy w nekrologu o Przeddzieckim (Czas) mówi, że podobien on był do owego zakonnika, co na rozkaz przełożonego przenosi się z brewiarzem pod pachą w najodleglejsze strony świata — z tą różnicą, że jemu nikt nie rozkazywał, gdy regułą była mu własna wola, podniecana żądzą poszukiwań i odkryć. „Wybieram się — mówi o sobie — do Zatora i Wiednia, ztamtąd pragnę zrobić wycieczkę do Preszburga i Budy, a potem na Tyrol do Szwajcaryi, Paryża i Ostendy, gdyż potrzebuję trochę odpoczynku, po wielu kłopotach moich.“ Na rok też 58 przypada jedna z największych seryi podróży Przeddzieckiego. Posługując się jego własnymi listami, wiele ciekawych szczegółów podać jesteśmy w stanie. Oto co pisze z Salzburga: „A teraz do mojej podróży węgierskiej, która poszczęściła mi się bardzo. W bibliotece uniwersyteckiej w Pesth, pokazują mi pomiędzy cymeliami, książeczkę do nabożeństwa, w rękopiśmnie pergaminowym — jakoby czeską. Ledwie okiem na nią rzuciłem, przekonałem się, że to rękopis polski. Bliższy pogląd bardziej mię jeszcze o tém przekonał.“ Zaczął tedy zbierać podobizny z początkowej i ostatniej karty z miejsc ważniejszych, i z tego poglądu, z tego rzutu oka na rzecz całą wypadło, że jest to książka pisana zapewne w XIV-tym lub na początku XV wieku, że składa się ze 146 kart pisanych jedną ręką na pergaminie. Nagłówki i większe litery czerwonym atramentem, a po pierwszej stronie litera B w słowie Boże malowana kilkoma kolorami, arabskimi otacza całą stronicę.“ „Zapewniłem już sobie — pisze dalej — potrzebną pomoc, aby w razie danym książeczkę przepisać można było, albo przekalkować. Zdaje mi się bowiem, że do najdawniejszych może, a pewnie do najzupełniejszych pomników polskiego języka należy. Jakby się był ś. p. Muczowski ucieszył z tego odkrycia. Z boleścią serca dowiedziałem się w Wiedniu z pism publicznych o jego nagłej śmierci.“ W lat kilka potem

opracowanie owego rękopisu, znanego dziś w literaturze pod nazwiskiem „Modlitwy Wacławowe,” powierzonem zostało d-rowi L. Malinowskiemu, który téż w r. 1875, monografią o tym zabytku w „Pamiętnikach Akademii Umiejętności krakowskiej” ogłosił. Przepisaniem zaś zajmował się pan Adryan Ring, oficyał przy węgierskiej Akademii Umiejętności.

Nie mniej ciekawymi są także dalsze ustępy co tylko przytoczonego listu. Pełno w nim nowych zupełnie rzeczy, nowych odkryć na polu historyczno-archeologicznym. Nie mogę się tedy powstrzymać od przytoczenia go na tém miejscu, jeżeli nie w całości, to przynajmniej w ważniejszych ustępach. „Obejrzałem bliżej ów rękopis Kadłubka na pergaminie, odkryty przezemnie jeszcze 1851 w bibliotece Wiedeńskiej. Wzmocniłem się w przekonaniu mojem, że nawet przypiski w marginesach oczywiście późniejsze od tekstu, pisane były w pierwszych latach XIV wieku—pierwój nim Łokietek królem został, gdyż wspominają ciągle o niezgodach pomiędzy dzisiejszymi książętami, o zwyczaju Polaków obierania sobie nowego księcia, gdy się stary nie podoba, narzeczcie o dopiero co zaszłym zgnębieniu Jadźwingów przez Mazowszan i Krzyżaków. Kazałem zatem przepisać starannie rękopis z przypiskami; częstój mam już z sobą, a resztę wkrótce otrzymam i wydam tę kronikę krytycznie z tłómaczeniem. Szukałem także śladów Władysława, Księcia Polskiego ze Szląska, arcybiskupa salcburskiego od r. 1265—1270, ale nie znalazłem ani piśmiennych, ani numizmatycznych wiadomości, oprócz jednej bulli odpustowej. Mimo to w Kronikach rękopiśmiennych i drukowanych wiele chwalony jest Władysław, który w młodocianym wieku nauki odbywając w Padwie pod przewodnictwem Piotra, kanonika wrocławskiego, od dwóch kapituł zarazem obrany został w Passau i Salcburgu. Papież Klemens, jak się z tych Kronik dowiedziałem, posłał po niego, a tak mu się młodzian podobał, że jemu salcburskie arcybiskupstwo, a passawskie biskupstwo, Piotrowi, przewodnikowi księcia oddał. Było to w r. 1265, w następnym dopiero przybył Władysław do Salcburga, gdzie go oczywiście przyjęto, a w 1266 przyjął święcenia kapłańskie, a następnie biskupie z rąk przyjaciela swego, a niedawno przewodnika Piotra, biskupa passawskiego. Spory z księciem Karyntyi ukończył pomyślnie. R. 1270 pojechał do Szląska, dla odebrania swojej ojcowizny, którą chciał kościółowi zapisać, ale powrócił chory—mówią od otrucia i tegoż roku życie zakończył, pochowany w katedrze przy ołtarzu N. Panny Maryi, do której miał szczególne nabożeństwo.”

W dalszym ciągu tego historycznego listu czytamy ubolewanie, że dziś nie ma śladu, gdzieby ów Władysław był pochowany, gdyż katedra zupełnie przebudowaną została. Zaledwie jednak skończył opowiadanie historyi Władysława, nowe, nie mniej ciekawe rzeczy rozpoczyna— a jest ich tam nie mało. „W bibliotece Benedyktynów u Św. Piotra — pisze dalej w tym liście — znalazłem piękną łacińską mowę postów Kazimierza, króla polskiego, do papieża Mikołaja V, mia-

ną w 14 lat po śmierci Jagiełły, a zatem r. 1448, w rękopisie z tegoż roku, a więc współczesną. Jest to mowa przeciwników Soboru Bazylejskiego. Przepisałem ją całkowicie.“ „Takie są moje dotychczasowe zajęcia w podróży — dodaje w końcu. Proszę z nich zrobić użytek do jakiego czasopisma, a także zdać z nich sprawę wydziałowi archeologicznemu.“ Jak widzimy: podróż znowu nie bezowocna, może jedna z najobfitszych i najświetniejszych pod względem bogatych plonów naukowych. „Przyjechałem tu ślicznym krajem — mówi sam — Dunajem do Linczu a potem na Gmunden do Ischl, dokąd mię doktorzy pakują. Jutro tedy najpierw do Gastein, a ztamtąd za dni kilka przez Monachium do Szwajcaryi, do Zurychu...“ Wszędzie, na każdym niemal kroku, przy zwiedzaniu bibliotek zagranicznych, nowe odkrywamy rzeczy i tak: w Bibliotece monachijskiej: listy dyplomatyczne Jagiełły i do niego pisaane, elegie współczesne, po łacinie o śmierci Warneńczyka, satyrę wierszem łacińskim (przez Czecha) na Kazimierza Jagiellończyka z powodu kandydatury młodego Kazimierza do tronu czeskiego, a w niej ciekawe opisy pogańskich zwyczajów litewskich, dalej rękopis Historii Warneńczyka przez Kalimacha pisany r. 1501, list Eneasza Sylwiusza do kanclerza królowej Zofii o pogłoskach fałszywych, że Warneńczyk jeszcze żyje, list pełen obelżywych wyrzutów dla przeciwników Władysława Pogrobowca i dla tego może nie drukowany, list soboru Bazylejskiego do księcia mazowieckiego, bardzo ciekawe dwa listy łacińskie Włocha, mieszkającego w Krakowie, o śmierci i pogrzebie króla Kazimierza Jagiellończyka, opisanym z najdrobniejszymi szczegółami. — Nareszcie w pałacu królewskim pod Monachium w Schleisheim znalazł Przeddziecki obrazek malowany olejno na tle z alabastru wschodniego, przedstawiający ś. Ignacego Lojole. Obrazek ten wydawał się Przeddzieckiemu o tyle ważnym, że jak to na nim napis objaśnia, malowanym był przez Zygmunta III-go, a ramy robił brat księżnej Nowoburskiej, która obraz ten darowała na Nowy rok 1648, rektorowi Societ. Jesu w Neuburgu. Zajętego tylu różnymi pracami w czasie podróży spotyka wiadomość o urządzeniu archeologicznej wystawy w Krakowie. Sprawy tego rodzaju Przeddziecki nie mógł pominąć milczeniem, tém więcéj, że wystawa dostarczała cennego materiału niedokończonemu jeszcze wydawnictwu „Wzorów sztuki.“ To téż już 26 października znajduje się Przeddziecki w Wrocławiu, a że po zwiedzeniu tego miasta, pragnie jeszcze zrobić wycieczkę do Trzebnicy, Poznania, Malborka i Królewca — dopiero w pierwszych dniach listopada, będzie mógł wziąć czynny udział w urządzeniu wystawy krakowskiej. Otoczony gronem młodych malarzy, do których i Matejko należał, podczas pobytu swego w Krakowie; cały prawie dzień na wystawie przepędzał. Rysowano i malowano około niego rzeczy do „Wzorów sztuki,“ a on sam kierował estetyczném układaniem przedmiotów. Można tedy śmiało powiedzieć, że gdyby nie Przeddziecki, wystawa nie wypadłaby tak świetnie.

Tak tedy przeszedłszy pokrótce koleje dotychczasowych czynności hr. Aleksandra zbliżamy się do ich punktu kaluminacyjnego. Historykowi i badaczowi tej zasługi, co Przewdziecki, nasuwało się pytanie, czy mamy do świetnej naszej historii źródła historyczne dla ogółu przystępne? Na to pytanie, każdy musiał odpowiedzieć przecząco. Nie było dotąd przystępnego wydania źródeł do dziejów Polski. Trzeba je było przysposobić, trzeba się było wziąć do pracy zaraz, natychmiast a należało rozpocząć od „Dziejów” Długosza. Bódcem do szybkiego działania, do rozwinięcia myśli w łonie redakcyi Biblioteki Warszawskiej powstałój, była cała historia dzieła Długoszewego. „Bronzowy Zygmunt III,—jak to twierdzi Wójcicki (Bibl. Warsz.)—który martwem oczyma z krzyżem i mieczem w ręku góruje ponad zamkiem warszawskim spogląda na gród stary, wydał edykt, zabraniający ogłaszania drukiem Dziejów Długoszewych.” Jakie losy przesładowały to wiekopomne dzieło, wnosić można z tego edyktu królewskiego i z tego, że (jak mówi dalej Wójcicki) za ledwie Szczęsny Herburt zdołał uprzedzić ten zakaz wydaniem sześciu ich ksiąg początkowych, w Dobromilu 1615 roku. Później już wiek cały czekać przyszło, zanim dotąd milczeniem traktowane dzieło Długosza, Henryk v. Huyssen, z bardzo błędnego opisu dał oddrukować (Frankfurt i Lipsk 1711—12). Dalsza historia Długosza łączy się już z nazwiskiem Przewdzieckiego, który ją należną czcią i opieką otoczył. Zanim tedy przyjdzie nam się rozpatrzyć w zasługach na tém polu położonych, powiedzmy naprzód, idąc znowu za zdaniem Wójcickiego, „teraz Długosz tyle wieków obcy dla domowych naszych ognisk, zasiędzie przy nich w postaci posągowej, ucząc dostępnym językiem, jak niegdyś młode królewicza, potomstwo Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety matki królów, historii z zapadłych wieków.”

Zabierając się do dzieła tego rodzaju, Przewdziecki wystąpił najpierw z odezwą, ogłoszoną we wszystkich polskich dziennikach, oświadczając, iż wraz z ks. biskupem Łętowskim i kasztelanem Franciszkiem Wężykiem, prezesem Tow. nauk. krak. podejmuje myśl zupełnego wydania historii Długosza. Jedynym celem wydawnictwa było danie tej historii narodowi, wedle znanych rękopisów, w oryginale i w przekładzie. Treść programu wydawnictwa obejmuje 14 punktów, które tu z osobnego „Sprawozdania” czynności tegoż wydawnictwa wyjęte, przytaczam. W programie tym chodziło mianowicie:

1) O wydanie nowe historii, to jest poprawienie edycyi lipskiej, przez porównanie najdawniejszych i najlepszych rękopisów, mianowicie: Wilanowskiego, Kurnickich, Krakowskiego, Rzymskiego i t. d. a zwłaszcza autografu, którego ślady się znalazły.

2) Wyjaśnienie źródeł, z których czerpał Długosz i poprawienie w przypiskach błędów chronologicznych i genealogicznych.

3) Wydanie żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich, biskupów

krakowskich i innych jakieby się znaleźć mogły z manuskryptów i bibliotek warszawskich, krakowskich, lwowskich i t. d.

4) Wydanie nowe żywotów biskupów poznańskich i wrocławskich, poprawione z rękopisów.

5) Wydanie nowe żywota św. Kingi z rękopismu starosandeckiego.

6) Wydanie nowe żywota św. Stanisława.

7) Wydanie Libri Beneficiorum z rękopisu i archiwum Kap. kat. krakowskiéj.

8) Wydanie nowe Clenodia, Banderia Cruciferorum i pomniejszych dziełek, z porównaniem najlepszych rękopisów.

9) Odszukanie i wydrukowanie listów i mów Długosza, w porządku chronologicznym.

10) Napisanie żywota Długosza po polsku, z dodaniem do niego tekstu łacińskiego.

11) Przetłómaczenie historii, żywotów i listów na język polski.

12) Danie ryciny portretu Długosza, widoku domów i kościołów jego fundacyi, podobizn jego pisma i wizerunku przyszłego grobowca.

13) Postawienia pomnika grobowego Długoszowi w Krakowie na Skalce ¹⁾.

14) Wycięcie medalu pamiątkowego na uwiecznienie całego dzieła poświęconego pamięci Długosza.

Jak widzimy, zakres pracy bardzo rozległy, tem więcéj, że go w przeciągu lat pięciu wykończyć obiecano. Zaiste, tylko energii hr. Przeddzieckiego zawdzięczać można, że dzieła takich rozmiarów w stosunkowo krótkim czasie dokonano. Przeddziecki nie żałował w tym celu ani trudu, ani kosztów. Siedzi we Wiedniu, Berlinie, a wreszcie w Paryżu i pracuje tu nad projektem wyżej przytoczonym, a pojmując dokładnie doniosłość rzeczy tego rodzaju, pragnie wciągnąć do komitetu ludzi naukowych, ludzi, którzy pokazali już zdolność w tym kierunku rozwiniętą. Więc w liście swym do ks. biskupa Łętowskiego pisze z Paryża:

Miłym obowiązkiem jest dla mnie złożyć księdzu biskupowi raport, o tem, co się dotąd w interesie Długoszowym zrobiło. Najprzód po przeprowadzeniu korespondencyi z hr. Maurycym Dzieduszyckim odebrałem długi, a pełen świątliwych uwag i rad, list od p. Augusta Bielowskiego. Zastanawiając się téż bliżéj nad rzeczą, przekonywam się o potrzebie złożenia dwóch komitetów: jednego naukowego do redakcyi, drugiego finansowego do zastąpienia kosztów, nim je prenumeratowie powrócą. Przedsięwziętem już niektóre kroki do

¹⁾ Wskazano tym ustępem zadanie spełnił mój ojciec (sekretarz wydaw. dzieł Długosza od chwili owéj odezwy) otwarciem w r. 1880 Grobu zasłużonych na Skalce, podniesioném świetnie przez Akademią unieję. przez urządzenie kongresu historyków (pod imieniem Długosza).

utworzenia tego ostatniego komitetu. Tymczasem przejrzałem tutejsze 7 rękopisów cząstkowych Historji Długosza... Pierwszych dni maja chciałbym wałną sesyą w Krakowie złożyć, dla przystąpienia do dzieła. Ale jak będzie z tłumaczeniem Historji?.. Ks. biskup był łaskaw obiecać w tem swoje uwagi i wysokie pośrednictwo. Teraz byłaby pora o tém pomówić, aby komitet finansowy przyszedł przystąpić mógł do obliczenia kosztów. Jaka jest myśl ks. biskupa, co do Liber beneficiorum? Może tłumaczenie jest nie potrzebnem, ale tekst łaciński, o ile jest autografem Długosza, należałoby bez żadnej zmiany wydrukować“

Trzeba przyznać, że ludzie interesujący się tém ważnem naukowem przedsięwzięciem, nie mało dostarczali rad i zbawiennych wskazówek wydawcom. I tak już w parę dni po napisaniu listu do ks. biskupa Łętowskiego, dnia 1-go lutego donosił Przeddziekiemu August Bielowski, że pomoc obiecuje i ofiaruje się z faksymilowaniem listów Długosza. Leonard Chodźko również ze swymi uwagami pospieszył. Także wezwany, a raczjéj proszony przez Przeddzieckiego Joachim Lelewel tak się w téj sprawie odzywa: Wspaniałe przedsięwzięcie wasze, monumentalne... Mnie się cieszyć, jeśli dożyję końca... Ale, że w liście swym, panie, raczysz mię objaśniać i zapeciać... pozwolę sobie tedy palec i słówko me we wszystko wtykać.“ Tutaj następują uwagi nad formą i drukiem projektowanego nakładu.“ Osobny polskiego przekładu odcisk—mówi dalej Lelewel—macie rację—pożytecznyby był dla biedaków, co już łaciny nie znają i wydatkować nie mogą. Ależ! co przekład bez oryginałowej łaciny?..

„Dwoma seryami drukując trzeba dwóch drukarń w pismo i w druk zapaśnych. W obu dobrać i mieć zecerów na to jedynie—zecerów doskonałych, bo zecerzy myłkacze są ladaco, kłeską przedsięwzięcia, nieobliczonym sposobem, wydatek mnożącą. Sobie szkodzą i wydawnictwu. Mozolny czas marnują psując. Precz z myłkami! Są zecerzy, co ledwie kilka, kilkanaście w całym arkuszu uchybięń w pierwszej korekcie robią. Takich miałem we Wilnie do „ksiąg Bibliograficz.“ do „Statutów“, takich miewam i tu, ale nie w Poznaniu. Och!

Chcecie dwóch komitetów; mnieby się zdawało, że finansowego nie masz potrzeby. Jedna osoba powinna się tem pilnie zająć. Możeby kto jaką sumę pożyczyl na zwykłe pierwsze wydatki“ sądzi Lelewel, że niema wielorakich redakcyi Długosza, że jeden tylko jedyny tekst przez Długosza wykończony egzystuje—inne są tylko tego tekstu wiernem odbiciem, są echem. Brak jakich ustępów tłumaczyć sobie należy opuszczeniem kopisty, zaś własnych dodatków kopisty nigdzie znaleźć nie można. Röpell, a przedewszystkiem Helcel wystarczyłby zdaniem Lelewela „za wszystkich komentatorów.“ „Tłumaczów macie—mówi dalej—życzyłbym jednak, aby historyą przekładał jeden w całości, a jeżeli to na jednego za wiele, to częściowo, jeden po drugim, a nigdy wspólnie. W przekładzie o polszczyznę idzie. Wybaczcie jeśli w to uderzam; ależ bo ci powieściarze pluga-

wią mowę naszą. Oby przekładacze plugastwa powieściarzy unikali. Zapytacie o co mi idzie? O to że w nich bez końca conceptowych i fałszywych wyrażań „Synonim, Synonim“ wołał Brodziński: przyrządź je sam powtarzałem mu, a wywołasz je innych czynem. A powieściarze w tej mierze, w obłąkaniu mnożą bez liku czupiradła.“

„Kadłubka wyglądam. Gdy przybędzie, może mi jeszcze wzrok posłuży do nacieszenia się nim! Jeszcze raz „Szczęść Boże“—dodaje w końcu.

Nie dokończywszy jeszcze kwestyi porozumienia się bliższego z naukowymi osobistościami w sprawie Długoszowej, wyjeżdża Przewdziecki do Rzymu, gdzie w miejscowych bibliotekach i archiwach znajduje znowu różne dokumenta do historii narodu naszego.

Nie zapominam—pisze sam o innych poszukiwaniach bibliotecznych, choć Długosz bardzo mi leży na sercu. Wczoraj naprzykład znalazłem w bibliotece Watykańskiej list kardynała Zbigniewa do Czechów r. 1447 pisany.

Przed samym wyjazdem z Rzymu odebrał Przewdziecki od Ojca Świętego, przy nader pochlebnej „Breve“ znaki komandorskie orderu ś-go Grzegorza, a poprzednio w styczniu ofiarował mu książkę pruski oznaki orderu orła czerwonego.

Z Rzymu powrócił hr. Aleksander do Paryża, z kąd dalszem rozwijaniem się komitetu Długoszowskiego kierował. Tok całej sprawy postępował bardzo pospiesznie, a poszukiwania za oryginalnym tekstem nie pozostały bez skutku. Już w kwietniowym zeszycie 1859, Bibl. Warsz. umieszczony jest szeroki list Przewdzieckiego w tej materii pisany. Treścią tego obszernego listu jest doniesienie, że w bibliotece hotelu Lambert w Paryżu znalazł 7 woluminów Długosza niekompletnych, ale niestety ważne. Jeden z nich w XVII w. pisany, a w XVIII własność Ignacego Scypiona, starosty lidzkiego, zdawał się być tym samym, który Czacki za autograf uważał. Te dwa wolumina z biblioteki poryckiej mają na grzbiecie umieszczony napis: „Joannis Długossii manuscriptum originale“

„Dwa inne manuskrypta pisze w tym liście hr. Aleksander dopełniają dzieje do r. 1480... księgi XII są tu dwa egzemplarze z XVI stulecia. „Na jednym z nich, na pierwszej karcie jest piórkiem zrobiony portret Długosza z napisem, który jak się to Przewdzieckiemu wydaje, miał być autografem Kromera. Nie będę tutaj przytaczał licznych listów Bielowskiego, Przewdzieckiego i innych w tej materii pisanych. W jaki sposób dalsze księgi Dziejów znalezione a następnie za najlepsze uznane zostały, wiadomość o Clenodiach i żywotach biskupów wrocławskich i wiele innych drobnych szczegółów dotyczących wydawnictwa—wszystko to umiejętnie zebrane znajduje się.“ W sprawozdaniu z czynności wydawnictwa dzieł Długosza roku 1859 i w dalszych chodzi mi głównie o Przewdzieckiego, więc też dalej w ślad za jego czynnościami postąpię.

Dopiero w maju dla zredagowania manuskryptu Długosza wybrał się Przędziecki do Drezna. „Znalazłem tu—pisze w swym liście na początku tomu II-go t. j. księgi VII-ój następujący wiersz, który jakby za przepowiednią dla przyszłych wydawnictw Długosza uważam:

Do Jana Długosza kanonika krak. kroniką polskiego.

Jarosz Hincza.

Długoszu! Długo cię to nie wiem czemu kryją
 Ukazałeś się trochę, ali na cie biją?
 Podobno to nie lizał uszu ludzkich; czyli
 Wstydną się przodków, bo snadź od nich odstąpili.

Długosz.

Święta mi prawda, (która ludzie w oczy kole),
 Zagroziła do sławy bardzo piękne pole;
 Ja przecie, iako olej zwykł z gorącej wody,
 Brnę do ludzi přes szturmi, wichrij, niepegodij.

Jarosz Hincza.

Brni szczęśliwie piastunie zacny Polskiej sławy,
 Zwycięzay praszne flugi, niepegieczne pławy,
 Zdarzy Bóg, że twa Praca, co cię tnia wszędzie
 Oko boi duże się sławi y czytana będzie.“

Na zapytanie Przędzieckiego, kto był ów Hincza tak odpowiedział T. hr. Działyński:

„Piszę z Poznania, gdzie nie mam ani jednej książki pod ręką; z pamięci więc tylko powiem, iż posiadam nader znakomite poczyte Hinczy. Mogę zapewnić, że te należą do najznakomitszych swojego czasu.“

Oprócz wymienionych już powag naukowych, wspierali wydawnictwo radą swą: Maciejowski, Łukaszewicz, Kraszewski, S. Perz, Batowski, Mecherzyński, Kondratowicz, Popliński, Włodzimierz hr. Plater, K. Rogowski, Cypryan Walewski, kanonik Jabczyński, Szujski i wielu innych. Pomimo zapału, z jakim wszyscy jeli się do pracy, liczba prenumeratorów nie wzrastała. Zaniepokojony tém hr. Aleksander w IV z kolei sprawozdaniu pisze: „Jeśli lata upłynione nie złamały wytrwałości naszej, ani ostudziły gorliwości, tych co zamiar nasz popierali czynnie; więc przetrwawszy dnie próby, tém silniej wierzymy, iż dzieło z zapałem przed kilku laty rozpoczęte i poparte, do końca doprowadzoném zostanie. Naukowa też jego badawcza strona, nieledwie już w zupełności gotowa.“ Tymczasem raz po raz zjawia-

jące się ataki atretyzmowe potrzebowały odbycia niezwłocznej kuracji wiesbadeńskiej. Zaiste trudno i ciężko było pogodzić Przeddzieckiemu chęć do pracy i nudne a przykre zarazem siedzenie w Wiesbaden. Doktorzy lękliwi o nadwątlone zdrowie zakazywali stanowczo wszelkiej czynności umysłowej, a przedewszystkiem zbyt ciągłego pisania. Ale napróżno! Nie da się wykorzenieć tak prędko coś, co wejdzie, że tak powiem, w krew i w kości człowieka. Przeddziecki nie może się obejść choćby bez doniesienia o tej „szczególnej radzie doktorów, swym krewnym i przyjaciółom, a zapowiadając z tego powodu list krótki, kończy go, zapisawszy co najmniej parę arkuszy. Dowodzi to wielkiej czynności umysłu, który u Przeddzieckiego nigdy w spoczynku być nie mógł. Stąd później nieraz zdarzało się, że korzystając z haniebnie długiego popasu w Mysłowicach, prowadzi szeroką korespondencją, pisze listy do Röpella, Mosbacha i innych, i tém się także tłumaczy, że w roku 1860, a więc mając lat 46 rozpoczyna w Paryżu naukę języka greckiego. Ale wróćmy do rzeczy!

Wkrótce, odbywszy kurację wiesbadeńską, wyjechał w sprawie wydawnictwa Długoszewego do Darmstadt (biblioteka), do Karlsruhe (archiwum), dalej do Baden-Baden, do Monachium, Lipska, do Norymbergii dla zobaczenia portretu Zofii Jagiellonki, a wreszcie do Berlina i Wrocławia. Wszędzie ma pełno zajęć, pełno pracy w miejscowych bibliotekach, jak gdyby po odbytej kuracji potrzebował owego historyczno-literackiego życia, życia pełnego trudów, które musiało niszczyć ciało, aby umysł rozweselić nauką. Skoro jakiś czas wypadnie mu siedzieć w Warszawie, to „siedzi jak na węglach rozżarzonych,“ mając przed sobą, Kraków, Ojców i Poznań i tyle na głowie Długosza. Jeśli ta ostatnia sprawa nie postępowała tak szybko w czasie, o którym mówimy, to główna przyczyna leży w tém, że Przeddziecki szuka uparczywie po wszystkich bibliotekach autografu Długosza. Aż wreszcie 1861 r. 26 czerwca donosi z niemałą radością z Warszawy: „Wczoraj wieczorem, przyjechawszy tu, znajduję na biurku—no zgadnij pan co?—autograf historii Długosza po rok 1406, ten sam, o którym Tadeusz Czacki wspomina... Porównałem go naprędce z Wilanowskim, który z niego przepisany i przywiezł go do Krakowa dla skollacyonowania. Teraz więc jesteśmy u portu po rok 1406 przynajmniej... Prawie nikomom jeszcze nie widział, tak byłem tym Długoszem zajęty.“

Chęć zbliżenia się do Krakowa, który w obecnej chwili tém milszym się wydawał, o ile od pewnego czasu stał się ogniskiem wydawnictwa, sprawiła, że po długim namyśle zdecydował się Przeddziecki nareszcie na kupno dóbr Ojcowskich. Było to w r. 1859, gdy krótko po pogrzebie Zygmunta Krasińskiego z żalem w sercu za zmarłym poetą, z Paryża do Krakowa powrócił. Już to od dawna marzył Przeddziecki o Ojcowie, rozkoszował się jego fantastycznymi skałami, a nadewszystko zamkiem, w którym Kazimierz Wielki tak bardzo przebywać lubiał. Strony te przypominały żywo Łokietka, Piastów

naszych i wreszcie czasy późniejsze, gdy zdaniem Ambrożego Grabowskiego, Mikołaj Koryciński, kasztelan sądecki a starosta ojcowski, zamek z fundamentów w r. 1633 na nowo stawiać kazał.

Czyż dla archeologa, lubującego się w starych historycznych zamkach, mogło być coś ponętniejszego? Czy okolicy tak pięknej i uroczej, nie miał ukochać Przeddziecki całym sercem? Zaiste wszystkie przeszkody, wszystkie możliwe ciężary, jakie z chwilą nabycia spadały na nowego dziedzica, odstraszyłyby kogo innego, ale nie Przeddzieckiego.

Dnia 20 lipca 1859 r. dobito targu i Ojców przeszedł na własność hr. Aleksandra. Zaraz też wyjeżdża Przeddziecki dla objęcia tego majątku, zamierzając zeń zrobić prawdziwe cacko, ozdobić i wyrestaurować walący się zamek (wieża) i budynki. Myśli o budowie nowego dworku dla siebie i sprowadza cieśli z Krakowa, aby mu wśród téj pięknej okolicy, ładne wystawili mieszkanie. I rzeczywiście w ciągu trzech niespełna lat Ojców zmienił się do niepoznania. W miejscu starych walących się domostw stanęły ze smakiem budowane dworki, a zamek starożytny, otoczony należytą czcią i poszanowaniem zwabił ludzi z Krakowa i okolicy, którzy częściej i liczniej zwiedzali dolinę i skały Ojcowskie ¹⁾. Bawiący w Ojcowie Franciszek Wężyk, oceniając zasługi hr. Aleksandra w tym względzie położone, w wierszu swoim jemu dedykowanym tak się odzywa. (Poezye z pośmiertnych rękop. Wężyka, t. III, str. 221).

Ty, co Cię miłość natchnęła,
Uczcić to miejsce wslawione,
Pracuj, zdób, podnoś—a w końcu dzieła
Połóż mu godną koronę.
Szczery w chęciach, skory w czynie,
Wzniesć skromną Bogu świątynię,
Na tym pagórku lub łące,
By rodak dziwem przejęty
Za wszystkie miejsce tych ponęty,
Skladał w nią dzięki gorące.

Niestety nie długo cieszył się swoim nabytkiem hr. Aleksander. Zanim mógł pomyśleć o wybudowaniu projektowanej przez Wężyka świątyni nastały czasy burzliwe a z nimi i dzieło to zniszczało, pozostawiając po sobie tylko wzór godny do naśladowania tam, gdzie chodzi o zachowanie i opiekowanie się ojczystymi pamiątkami. Rok 1863 przyniósł za sobą spustoszenia i zrujnowanie dóbr ojcowskich. Dowiedziawszy się o tém nieszczęściu, tak pisze Przeddziecki do Krakowa: „Stało się—dopełniło się. Niech będzie błogostawione Imię Pańskie w złej i dobrej doli. Więc w moim Ojcowie zgłiszczal Jak po rozbiciu okrętu, tych ratować potrzeba co ocaleni, tak proszę opa-

¹⁾ Wydany starsaniem Przeddzieckiego przewodnik po Ojcowiu. Warsz. r. 1860 ułatwiał podróż po téj dolinie.

trzyć sługi i domowników moich, w to, co im niezbędne.“ Dowód to zachości serca, gdy zamiast straty liczyć, wielbi imię pańskie, a troszczy się o los sług i dzierżawców dóbr swoich. Nie dosyc jednak na tém. Potrzeba było jeszcze czegoś więcej, aby dopełnić miary złego. Oto okolica Ojcowa została przeznaczona na pole walki, a zatem na powtórne zniszczenie. Przywiązany do własnej ziemi nie sarka na to, ale dowiedziawszy się o tém zrządzeniu zawistnego losu, pisze z Nicei, gdzie święta przepędzał d. 9 kwietnia 1863. „Dałby Bóg doczekać się pomyślnego skutku tych usiłowań naszych.“ W chwili największych wypadków na sprawy Ojcowa obracanych, spotyka Przeddzieckiego nowy niespodziewany cios, którego pominąć nie możemy, gdy na tok spraw bieżących nie mało wpłynął. Rzecz się miała następująco. Główny majątek Przeddzieckiego spoczywał w spółce warszawskiego hotelu europejskiego, postawionego nie tylko dla przedsiębiorstwa, ale i dla względów estetycznych przy głównej ulicy Warszawy. Wspaniały ten gmach czasowo zamieniono na koszary. Pomijając już obawę utraty majątku, włożonego w hotel, musimy przyznać, że położenie Przeddzieckiego w obec rosnących w wydawnictwie Długoszowem wydatków, stawało się coraz przykrejszém. Jednym słowem wszystkie piękne na przyszłość zamiary i projekta, poczęta zakłócać sprawa ważna, sprawa finansowa, tamująca każdy niemal krok naprzód. Uwołnienie z urzędu przy drodze żelaznej pozbawiło Przeddzieckiego znacznego rocznego dochodu, z którego koszta wydawnictwa opędzano. Hotel nie czynił, a Ojcow tylko ciągłe wydatki pociągał. Nie było więc innego punktu wyjścia z przykrego położenia, jak tylko sprzedaż dóbr Ojcowa, a to tém więcej, że Przeddziecki lepszym był archeologiem aniżeli gospodarzem. Że do tego kroku jedynie wyż przytaczane przyczyny skłoniły Prz., o tém niema wątpliwości. Dosadniej zresztą wytlómaczy to list hr. Aleksandra pisany w tej właśnie sprawie. „Pozbywszy się różnych ciężarów moich, wziętem się do nie mniej ważnego dla mnie t. j. do dóbr w Olkuskiem, które, po doznanych klęskach, zamiast dochodu przynosiły tylko wydatki, a groziły utratą wszystkiego, przy dzisiejszym regulowaniu stosunków gruntowych i służebności leśnych. Dzięki Bogu zjawili się kupcy zamożni, ale prusacy, a do tego żydzi. Trzeba więc było przedewszystkiem excypować sobie zamek Ojcowski z doliną z jaskiniami i zachowania ich w uszanowaniu, a także przywrócić do porządku zniszczone zakłady, mające służyć ku wygodzie publicznej. Zdaje mi się, że osiągnąłem to wszystko. Cena sprzedaży powraca mi wszystkie nakłady i straty, oprócz kilkuset tysięcy rubli w których została mi się dolina ze zamkiem ojcowskim i grotami. Z tej doliny mającej mieć osobną hypotekę zatrzymałem dla siebie zamek i domek szwajcarski z ogrodami. Resztę t. j. hotel młyn i karczmy (spalone) wraz z tartakiem wydzierżawiłem na długie lata nabywcom dóbr, pod warunkiem wyrestaurowania lub odbudowania tych budowli, zaprowadzenia kąpieli i urządzenia jak najlepij, ale zawsze

na stopniu zakładu polskiego. Kupcy moi pp. Adler i Staub są ludzie porządni i zamożni.“ Tak pisał o szczęśliwem załatwieniu tej sprawy sam Przeddziecki. Z naszej strony dodamy, że nawet zastrzeżenie hipoteczne co do zachowania lasów całej doliny mieściło się w tym kontrakcie kupna, dla zachowania wdzięków i krasy tej cudnej okolicy. Zaufanie Przeddzieckiego nie długo trwało, bo już w rok niespełna oddalony za nadużycia leśniczy i niewypłacalny dzierżawca procesują się z nim i podszczuwają prasę przeciwko niemu. Wiedział o tém hr. Aleksander, gdy ten fakt już poprzednio zapowiadał w swych listach. Zgryziony tém był strasznie i zmartwiony. Wszystkie atoli te kłopoty finansowe, o których dopiero co mówiliśmy, nie usunęły jeszcze z pierwotnego pola działania, sprawy Długoszowej. „Wśród tych wszystkich trosk — pisze Przeddziecki—nową zgryzotę przynosi mi wiadomość niepomysłna o wydawnictwie naszym, gdy tyle błędów po korektach pozostaje...“ Do tego wszystkiego kłopoty, niesnaski i spory z drukarnią, prawie do rozpacz doprowadzać go musiały. „Nikt bardziej odemnie nie boleje—pisał do dyrektora drukarni—nad przerwami wydawnictwa, do którego przywiązałem był zadanie życia mojego publicznego. Daj Boże, aby je jak najprędzej na nowo rozpocząć można!“ Rzecz raz już oddana do druku nie potrzebowała tak dalece obecności Przeddzieckiego w Krakowie, ale potrzebowała pieniędzy, które dla wiadomych już nam przyczyn, z wielkim tylko wysiłkiem, a uszczupleniem własnych potrzeb wysyłanymi być mogły. Dodajmy jeszcze, że w chwilach tak przykrych, jedna jeszcze mała na pozór strata zwała się na głowę Przeddzieckiego. Rzecz się tak miała: W roku 1859 zawiązało się w Krakowie towarzystwo t. z. Spółki kąpielowej, towarzystwo, którego celem było podniesienie zdrojowisk i miejsc kąpielowych polskich. Przeddziecki położył do podejmowania wszelkich pożytecznych i pięknych przedsięwzięć, włożył w to znaczną kwotę, sądząc zawsze, że z małą stratą, po dokonaniu zamierzonego celu, będzie się mógł wycofać. Cieszył się też z tego, że kosztem owej spółki, podniesiono kąpiele w Swoszowicach, cieszył się, bo widział już owoce, jakie owe nakłady wydać mogą. Po niewczasie dopiero spostrzegł się, że „woda jest to żywioł bardzo zdradliwy i niebezpieczny.“ Spółka ta już w r. 1866 upadła, narażając współników na znaczne straty. Ztąd też z prawdziwie serdecznym żalem odzywa się hr. Aleksander, dowiedziawszy się o tej nowej stracie: „Mój Boże! Gdybym to nie był włożył moich kapitalików do owej spółki, jak znaczną pomoc miałyoby dziś wydawnictwo Długosza!“ Tymczasem wydawnictwo to od r. 1861 aż do owych smutnych chwil późniejszych zwolna, złotwim można powiedzieć, ale jeduostajnym krokiem posuwało się naprzód. Wkrótce potem dla poratowania zdrowia wyjeżdża do Wiesbadenu, ale i tu nie długo bawi, gdy „Drezno i Paryż“ z mnóstwem interesów Długoszowych nań oczekują. Ztąd jeszcze podczas pobytu swego w Wiesbaden, zmuszony „nieznośną znowu“ odbywać kuracją, zajęciem naukowym osładza sobie pobyt w tém miejscu kąpielowem. Oto w bibliotece paryżkiej znalazł się

rekopis pergaminowy z XII wieku, w którym na 10 kartach napisany jest poemacik na cześć N. Panny Maryi. Przeddziecki zabiera się do pracy około tego nowego zabytku ze zwyczajnym sobie zapałem jeszcz-e we Wiesbaden. Myśli wszelako wybrać się w podróż do Karsrluhe, w celu obejrzenia rękopisu o tej samej rzeczy, ale o lat 200 późniejszego. Spokojny już o los wydawnictwa, oddaje się też owemu porównaniu a raczej kollacyonowyniu owych dwóch manuskryptów. Długosz —jako już wyżej powiedzieliśmy, nie ciążył mu tak bardzo, gdy od r. 1865—70, jeden tom rocznie, regularnie wychodził. Nic też dziwnego, że gdy po pięciu latach przyszło się odezwać ze sprawozdaniem o czynnościach Długoszowego wydawnictwa, z dumą mógł powiedzieć: „Że nie przychodzi z próżnemi rękami, bo z pięciu tomami przekładu polskiego historyi Długosza, dokonanego przez prof. Mecherzyńskiego“ (Sprawozdanie piąte r. 1870).

Jeżeli tedy i nam sprawę wydawnictwa Długoszowego podkreślić i zamknąć przychodzi, gdy listy dokładniejszego pod tym względem materyału nie przedstawiają, to wzmiankując tylko o „Liber beneficiorum“ i o tém, że synowie ś. p. Aleksandra, po śmierci ojca dalszem wydawnictwem kierują, musimy powtórzyć słowa Szujskiego: ¹⁾ „Przeddzieckiemu pozostanie niezaprzeczona chwała i zasługa, że pierwszy zdobył się na to, na co się u nas zdobyć nie umiano i nie chciano, na ogłoszenie w całości dzieł historyka, będącego chlubą naszego dziejopisarstwa, historyka, któremu współczesność równego nie miała, o którym można powiedzieć, że był najdoskonalszym wyrazem średnio-wiecznej historyografii, a zamykając jęj długi szereg, sąsiadował z całą wyższością wnioślejszego na świat poglądu, z ojcem nowożytnej: z Machiavellim.

(Dok. nast.).

¹⁾ Tom V „Jagiellonek.“ Wstęp.

Z DZIEJÓW TEATRU HISZPAŃSKIEGO.

STUDYUM LITERACKIE.

PRZEZ

Juliana Adolfa Świącickiego.

Przed kilku laty pod ogólnym tytułem „Najznakomitsi kome-
dyopisarze hiszpańscy,“ rozpocząłem szereg studyów nad odłamem li-
teratury hiszpańskiej najoryginalniejszym i najpiękniejszym. W pierw-
szem z nich (Warszawa, 1880) starałem się wykazać przyczyny, które
wywołały tak bujny rozkwit literatury dramatycznej na gruncie na-
wskroś narodowym, scharakteryzowałem działalność pierwszych re-
prezentantów komedyopisarstwa, poczynszy od Lope de Rueda, jego
twórcy, a wreszcie rozebrałem obszerniej bogatą spuściznę literacką
takich koryfeuszów dramaturgii, jak: Feliks Lope de Vega, Gabryel
Tellez (Tirso de Molina) i Don Juan Ruiz Alarcán y Mendoza. W na-
stępnej pracy (Warszawa, 1881) podałem rozbiór najcelniejszych utwo-
rów Don Pedra Calderona de la Barca, księcia komedyopisarzów hisz-
pańskich. Jakkolwiek w poecie tym poezya dramatyczna hiszpanów do-
sięgła najwyższego stopnia swego rozwoju, to na Calderonie jednak nie
kończy się szereg pierwszorzędných sceny hiszpańskiej koryfeuszów
XVII i XVIII-go wieku. Są jeszcze poeci dramatyczni, których kry-
tyka słusznie obok twórcy „Księcia niezłomnego“ postawiła; są inni
wreszcie, którzy nie dorównywając wielkim poprzednikom we wszyst-
kich utworach swoich, stworzyli przecież komedye lub dramaty, do
dziś dnia stojące w opinii poważnych krytyków bardzo wysoko. Otóż,
przygotowawszy dla czytelników „Biblioteki“ obszerniejsze studyum
o współczesnych komedyopisarzach hiszpańskich, pragniemy, dla za-
chowania łączności z pracami wyżej wspomnianemi, przedstawić w ni-
niejszym artykule stan dramatu hiszpańskiego po Calderonie do po-
czątku tego stulecia.

I.

Już w pracy poświęconej Calderonowi, przedstawiłem obszerniej stan wewnętrzny i zewnętrzny Hiszpanii w epoce działalności tego poety, zaznaczając ów niezwykle kontrast pomiędzy upadkiem kraju politycznym, społecznym i ekonomicznym, a najwyższym rozkwitem literatury, zwłaszcza dramatycznej, pod szczególną opieką tegoż samego monarchy, który na innych polach odznaczał się tylko apatyą i niedołęztwem. „Filip IV-ty — mówi jeden z historyków hiszpańskich ¹⁾ — więcej oddany rozrywkom i literaturze nadobnej niż sprawom państwa, był królem wcale nie zdolnym do zabezpieczenia pomysłności kraju. Oddawszy się całkiem ulubieńcowi tępemu lecz ambitnemu, przewyższał poprzedników swoich marnotrawstwem, oddany niepomiarkowanej namiętności do teatralnych przedstawień („dando se con inmoderada aficion á las representaciones teatrales“). Jakoż to zamiłowanie Filipa w widowiskach scenicznych oddziaływało bardzo korzystnie na rozwój sztuki dramatycznej, która oprócz genialnego Calderona miała jednocześnie i innych wielce utalentowanych przedstawicieli.

Na pierwszym miejscu chronologicznie stoi Don Francisco de Rojas Zorrilla, urodzony w Toledo 4 października 1607 r. O tym pisarzu prawie nic nie wiemy, to tylko pewna, że w 25-ym roku życia zasłynął jako niepospolity autor dramatyczny, skoro w „Para todos“ Montalvana, drukowaném w r. 1632, nazwano go poetą „kwitnącym, utalentowanym i wytwornym, jak o tém świadczy powodzenie komedyi przez niego napisanych“ (poeta florido, acertado y galante, como lo dicen los aplausos de las comedias que tiene escritas) ²⁾. Niektórzy historycy utrzymują, że Rojas umarł gwałtowną śmiercią w r. 1638, a twierdzenie to opierają na tak zwanych „Avisos“ lub „Relaciones“, z owej epoki, podawane przez Barrionuevo. Notatki te pod d. 24-ym kwietnia 1638 r. opiewają co następuje: „W piątek nastąpiła śmierć z morderstwa Don Franciszka de Rojas, słynnego poety. Przyczyna zbrodni niewiadoma, współczucie dla ofiary, z powodu jej młodości, powszechne.“ I dalej pod dniem 22 maja spotykamy: „Rozeszła się wieść na dworze o niedawnej śmierci Fr. de Rojasa, wynikłej z powodu turnieju literacko-satyrycznego (vejamen), jaki się odbył w pałacu del Retiro w karnawale, gdzie kilku się z nim rycerzów pogniewało.“ Otóż jest rzeczą pewną: że turniej był urządzony przez Filipa IV ku uczczeniu wstąpienia na tron cesarski Ferdynanda III-go, króla węg-

¹⁾ Don Eugenio de Tapia: „Historia de la civilizacion española,“ Madrid, 1840, t. III, p. 146.

²⁾ Don Pedro de Alcántara Garcia: „Historia de la literatura española,“ Madrid, 1877, p. 552.

gierskiego i czeskiego; że w tak zwanéj „Academia burlesca“ uczestniczył Rojas jako juez-fiscal, i był oprócz tego nagrodzony za romans, mający na celu dowieść, „który żołądek jest godniejszym za zdróści: czy ten który trawi zmartwienia wielkie, czy wielkie uczyty;“ oraz że Rojas był zdradziecko pchnięty sztyletem z tego powodu, choć i temu przeczą niektórzy ¹⁾; lecz to również nie ulega wątpliwości, że nie umarł od tego ciosu, ponieważ w r. 1640, a więc w dwa lata po wypadku, wydał tom pierwszy zbiór swych komedyi, w roku następnym był mianowany kawalerem orderu ś. Jakóba, w r. 1645 wydał tom drugi zbiór komedyi, a wreszcie istnieje autograf Rojasa, w którym poeta mówi o sobie, że skończył właśnie 53 lata, pisał więc jeszcze w r. 1660 ²⁾. Vie Castel utrzymuje nawet, że Rojas żył jeszcze w r. 1680 ³⁾, ponieważ jednak twierdzenia tego nie poparł żadnym dowodem, nie wiemy przeto o ile jest prawdziwe.

Wobec téj ciemności głębokiej, jaka otacza osobę Rojasa, Fée przypuszcza, że poeta musiał stać na skromném stanowisku społeczném i robi przytém słuszną uwagę, że zupełny brak szczegółów o warunkach, śród których pisarz ten tworzył, nie pozwala odnaleźć klucza do zrozumienia i wyjaśnienia tych antypodycznych nierówności, jakie w komedjach jego spotykamy ⁴⁾.

Pierwotnie przypisywano Rojasowi sztuk 80, w ostatnich dopiero czasach krytycy poważni wykazali, że cyfra ta jest o połowę przesadzona a Don Ramon Mesonero Romanos do swego wydania, najcenniejszego po dzień dzisiejszy, wcielił tylko sztuk 30, licząc w to trzy utwory, napisane obyczajem ówczesnym przy współpracownictwie innych autorów ⁵⁾. W przedmowie do 2-o tomu swych komedyi poeta skarży się, że w Sewilli prace mniej znanych pisarzy, drukowano pod nazwiskiem poetów popularniejszych i że ostatnim razem jemu właśnie przypisano jakieś „Szaleństwa miłości“ (Los desatinos de amor), kiedy on własnych szaleństw na barkach swoich unieść nie może. Nie dziw, że dzięki tego rodzaju operacyom cyfra komedyi przypisywanych Rojasowi urosła ostatecznie do 80.

¹⁾ La Barrera twierdzi, że notatka o morderstwie odnosi się do innego Rojasa (Evidentamente la tal noticia se refiere a otro Rojas).

²⁾ Alcantara Garcia, loc. cit. 552.

³⁾ Essai sur le théâtre espagnol, Paris, 1882, II—119.

⁴⁾ Etudes sur l'ancien théâtre espagnol, Paris, 1873, p. 204.

⁵⁾ Do spółki pisał Rojas utwory następujące: „La Baltasara“, „El Catalan Serralonga“, „Tambien la afrenta es veneno“, „El monstruo de la fortuna y Lavandera (pracznica) de Nápoles“ z pomocą Velleza i Coello; „El mejor amigo el muerto“ z Calderonem i Belmonte; „El pleito que tuvo el diablo con el cura de Madrಿದೆjos“ z Velezem i Mira de Méscoa; „Tambien tiene el sol menguante“ (odpływ) z Velezem; „El bandolero Solposto“ z Cancer y Roseto; „El Vaquero gran Senor y gran Tamborlan de Persia“ z Villanueva i Roa.

Jeżeli przez cały wiek XVIII i pierwszą ćwierć obecnego imię Rojasą było w zupełném prawie zapomnieniu, za to w ostatnich czasach krytyka postawiła je bardzo wysoko. „Styl jego—mówił Gil Vicente—zawsze poprawny i barwny, wiersz słodki, łatwy i dźwięczny, myśli jego posiadają siłę i podniosłość, obfitując w rysy wspaniałe i szczytne. Żaden z naszych dramaturgów nie ma zwrotów jędrniejszych i śmielszych ani takiej energii w charakterach. Z drugiej zaś strony obrazy jego są bardzo wykończony i pełne największego interesu dramatycznego“¹⁾. Wzmiankowany Don Ramon w przedmowie do kompletnej edycji dzieł Rojasą przyznaje że jest gryzacz i cięty bez trywialnej złośliwości (*malignidad picaresca*) Tirso do Moliny; czuły i namiętny bez przesadnego hiperbolizmu Kalderana, więcej rozważny i zwarty w swych planach jak Lope de Vega a niekiedy poprawniejszy i bardziej filozoficzny od Alarcona. Nie mniej przychylnie mówi Sehack o Rojasie. Według niego, natura obdarzyła tego poetę przymiotami wyjątkowemi: wyobraźnia potężna, fantazyja twórcza, wymowa jędrna i podniosła, żywe malowidło uczuć w scenach tragicznych oraz dowcip i wielka ciętość. Przy takich zasobach stworzył dzieła mistrzowskie, godne miejsca obok prac najznakomitszych Kalderona, chociaż niestety grzeszył dość często upodobaniem w dziwaństwach, potworności i innych ekstrawagancyach. Ile razy dał się unieść takiej gorączce i wyzwolić z pod władzy smaku artystycznego zawsze tworzył wówczas historyje całkiem szalone a charaktery nienaturalne i wstrętne²⁾. We Francyi wreszcie, która, jak zobaczymy, należycie zeksplloatowała skarbnicę twórczości Rojasą, wspomniany już Vie-Castel, gruntowny znawca teatru hiszpańskiego, mówi o tym poecie: „W rodzaju tragicznym utwory Rojasą przypominają śmiałość i grozę niektórych dzieł Kalderona a w komedjach podobnie jak Calderon i Lope „il brille par la peinture des ridicules, l'intérêt et l'agrément de l'action, le naturel, la gaîté, la vivacité piquante du dialogue.“ Zobaczymy o ile sądy powyższe dadzą się usprawiedliwić.

Utwory dramatyczne Rojasą można podzielić na komedye, dramaty i tragedye a wreszcie sztuki religijne. Przytoczymy najcelniejsze z każdego działu.

I. Komedye: „Entre bobos anda el juego“ (Gra między głupcami), albo „Dan Lucas del Cigarral“ (Nazwisko głównego bohatera). „Lo que son mujeres“ (Oto czém są kobiety). „Obligados y ofendidos“ (Zobowiązani i obrażeni). „No hay amigo para amigo“ (Nie ma przyjaciela dla przyjaciela); „Abre el ajo“ (Otwórz oczy); „Donde hay agravios no hay celos y amo criado“ (Gdzie zniewaga—niema zazdrości, czyli pan lokajem); „Don Diego de noche;“ „Lo que queria ver el Marques de Villena“ (Co chciał ujrzeć M. de V.); „La hermosura y la

1) Manual de Literatura, Paris, 1874 (wydanie 8-e), p. 492.

2) Geschichte der dramatischen Literatur und Kunst in Spanien, Frankfurt, 1854, III, 297

desdicha" (Piękność i nieszczęście); „Primero es la honra que el gusto" (Honor przed przyjemnością); „Sin honra no hay amistad" (Bez honoru nie ma przyjaźni).

II. Dramaty: „Del rey abajo ninguno, y labrador más honrado, García del Castañar" (Prócz króla—nikt, czyli G. Kastanjar, rolnik najzacniejszy); „Santa Isabel, reina de Portugal;" „Los bandos de Verona" (Romeo i Julia); „No hay ser padre siendo rey" (Nie wolno być ojcem, gdy się jest królem); „La traicion busca el castigo" (Za zdradą—kara); „El desafio de Carlos V" (Wyzwanie Karola); „La más hidalga hermosura" (Piękność najszlachetniejsza).

III. Tragedye: „El más impropio verdugo por la mas justa venganza" (Kat najniewłaściwszy przez zemstę najsprawiedliwszą); „El Cain de Cata luña;" „Progne y Filomena;" „Los aspides de Cleopatra" (Żmije Kleopatry); „Casarse por vengarse" (Małżeństwo dla zemsty). Wreszcie

IV. Dramaty religijne: „Los tres blasones de España" (Trzy herby Hiszpanii); „Nuestra Señora de Atocha" (Najświętsza Panna de Atocha); „Los trabajos de Tobias" (Prace Tobiasza).

Komedye Rojasa, przez współczesnych bardzo cenione, do dziś dnia część téj popularności zachowały, gdyż dla siły komizmu i naturalności charakterów stoją w rzędzie najpierwszych arcydzieł sceny hiszpańskiej. Inwencyja bywa tu zwykle pełna interesu, akcyja niezmiernie żywa, sytuacye zręcznie pomyślane, dowcip krytyczny, dialog niekiedy zanadto kwiatkami wymowy przeładowany, zwłaszcza w scenach patetyczniejszych, przeważnie jednak lekki i swobodny.

Rozbiór cenniejszych utworów tego pisarza uwydatni najlepiej dramatyczną twórczość Rojasa.

W komedyi p. t. „Oto czém są kobiety," autor chciał przedstawić dwa charaktery niewieście wręcz przeciwne sobie. Serafina, dziewczeczka wielkiego majoratu, który ma objąć w posiadanie dopiero po wyjściu za mąż, przy wielkiej piękności i rozumie posiada wstręt do mężczyzny, oparty na przekonaniu o ich zmienności i hipokryzyi. Młodsza jéj siostra Matea, nie mając ani urody, ani majątku, gorąco pragnie wyjść za mąż i wskutek tego lgnie do mężczyzny ku wielkiemu zgorszeniu Serafiny. Zniecierpliwiona ostentacyjną skłonnością Matei dla płci brzydkiej, despotyczna siostra postanawia zmusić amatorkę małżeństwa do rekolekcyi.

Serafina.

Wyprawić ją do klasztoru ¹⁾,
W tym domu zostać nie może.

Rafaela (służąca). Przyznaję słuszność, senioro,
Lecz chociaż doña Matea

¹⁾ Comedias escogidas de Francisco de Rojas Zorilla, Barcelona, 1884, p. 168.

Dla mężczyzn jest zbyt uprzejma,
 Twą siostrą być nie przestała.

Serafina. Tak brzydka... i tak kochliwa,
 Jak pojąć?...

Rafaela. Przebac jej pani!...

Serafina. To straszne!... Każdy mężczyzna
 Jej względów pewien być może,
 Dla wdzięku—mały; wysoki,
 Dla siły nęci jej oko.
 Niedbały wabi swobodą,
 Staranny—zręcznym układem.
 Przewrotność w skąpcu, odwagę
 W walecznym ceni, a tchórza
 Roztropnym nazywać zwykła.
 Gaduła... a więc zabawny,
 Mruk?... owszem, bo ma rozwagę;
 W próżności godność szlachetną,
 Wytrwałość widzi w uporzel...
 Pociągnąć musi ją każdy!...
 Tę wielką miłość ludzkości
 W klasztorze niech uspokoi ¹⁾.

Podczas tej rozmowy donoszą Serafinie, że jakiś Gibaya chce się z nią widzieć. Był to stręczyciel małżeństw (casamentero), rodzaj błazna w sztuce, który, zaczawszy od przesadnych tyrad na cześć urody bohaterki, oznajmia jej wreszcie, że kilku panów, pałając ku niej silnym uczuciem, proszą o pozwolenie złożenia wizyt królowej wdzięków. Usłyszawszy charakterystykę wielce zabawną każdego z pretendentów, Serafina, żadna rozrywki, zgadza się na ich przyjęcie. Po wyjściu Gibayi zjawia się D-a Matea.

Serafina. Więc teraz wstałaś dopiero?...

D-a Matea. Znów kłótnie!...

Serafina. Wszak już dziesiąta!...

D-a Matea. Godziny tak mi rachujesz,
 Jak suknie...

Serafina. Dziwna uprzejmość!

D-a Matea. Czyż mam być młodsza od ciebie
 W języku nawet?...

¹⁾ Cały ten ustęp, po odpowiedniej przeróbce, włożył Moliere w usta Elianty w *Misantropic* (*L'amour pour l'ordinaire* i t. d.), akt II, sc. V.

- Serafina.* Chcesz mówić
Jak siostra wpieryw urodzona?!
Pojedziesz wnet do klasztoru!...
- D-a Matea.* Czyż znajduję klasztor surowszy
Od domu twego?..
- Serafina.* Tam sługą
Zostaniesz.
- D-a Matea.* Widzę... senora,
Ma rozum!...
- Serafina.* Tego o sobie
Nie powiesz!...
- D-a Matea.* Ty znów tak piękną,
Jak mniemasz, wcale nie jesteś;
Próżności tylko masz dosyć!...
- Serafina.* Więc białość moja...
- D-a Matea.* Prawdziwa,
Lecz ona jako moneta,
W użyciu prędko czernieje.
- Serafina.* Brzydoty czyż kto używa?...
- D-a Matea.* Toż wdzięku mi nie zaprzeczysz.
- Serafina.* Niel...
- D-a Matea.* A więc brzydota nie jestem.
- Serafina.* I owszem, bo ciągnąc wszystkich,
Nikogo schwytać nie możesz.
- D-a Matea.* Nieszczęście piękną mię czynił...
- Serafina.* Któż z mężczyzn jest ci nie miły?...
- D-a Matea.* Bo każdy ma swą zaletę,
Mam skłonność do nich — nie przeczę;
Lecz żaden aż do téj chwili
Uczucia mego nie zdobył.
- Serafina.* Tém gorzej..
- D-a Matea.* Pociąg do mężczyzn
Jest wszystkich kobiet słabością;
Czyż, patrząc na nich przyjaźnie,
Przekraczam wstydu granicę?
- Serafina.* To zdrajcy!
- D-a Matea.* Cóż ztąd?... Mężczyzna
Wasalem nie jest kobiety!...

- Serafina.* Fałszywi!...
- D-a Matea.* O! za monetę
Uważać mężczyzn nie mogę!
- Serafina.* Słowami grzeszą...
- D-a Matea.* Od ludzi
Wymagać czynów potrzeba!...
- Serafina.* Podwójni...
- D-a Matea.* Dłużej potrważą...
- Serafina.* Lecz przyznasz...
- D-a Matea.* Ty przyznać musisz,
Że oni kobiet szukają,
Hołdują damom, gotowi
Cierpienia i śmierć okrutną
Niewiastom dać na ofiarę.
Mężczyźnie, któraż kobieta
Śród walki życie oddała?!...
Ich mienie, honor, krew, wszystko
Wyłącznie do nas należy.
Lgnąc do nich, posłuszną jestem
Wyrokom doli niewieściej.
- Serafina.* Milcz... Klasztor wnet uspokoi
Te żądze...
- D-a Matea.* Za mąż wyjść pragnę!
- Serafina.* Masz posag? Olśnisz urodą?...
A może wypadkiem...
- D-a Matea.* Siostró
Nie piękna — brzydka jedynie
Do wiary w siebie ma prawo.
- Serafina.* Precz z domu...
- D-a Matea.* O! dziśbym jeszcze
Zrównała tobie w piękności
Zostawszy...
- Serafina.* Czém?...
- D-a Matea.* Pierworodną!...

Tymczasem wraca Gibaya w towarzystwie czterech konkurentów, z których każdy otrzymuje oddzielne u Serafiny posłuchanie.
— Masz pan przed sobą Serafinę, dostojną damę — rzecze Gibaya, wprowadziwszy Don Marcosa.

— Serafina!... Imię dla kobiety niewłaściwe — rzecz przybyły — nie znaleźć go nawet w litanii do Wszystkich Świętych, znae jest chyba w Algierzel...

— Podać panu krzesło.

— A to po co? wstrzymaj się...—woła Don Marcos.

— Nie chcesz pan krzesła?

— Śliczne pytanie! Aby przynieść krzesła i usiąść na nich — potrzeba czasu. Pani musisz ułożyć swoje falbany, a ja swą szpadę — toby zajęło czasu na sześć wizyt. Niech sobie kto chce z krzesel korzysta, ja stojąc odbywam wizytę.

— Jak się pan miewasz—pyta Serafina.

— I znów dziwactwo!... Widzieć człowieka pełnego siły, tryskającego zdrowiem, grubasa, tłuściocha i pytać jak się miewa? Czy mam odpowiedzieć: „a pani?” Co to kogo obchodzić może? Jeżeli to się nazywa uprzejmością—trudno o nudniejszą jej formę.

— Cóż nareszcie podoba się panu?

— Są rzeczy...

— A ja?

— Muszę zaprzeczyć. Wybacz mi pani... jestem szczery.

— I co się panu nie podoba w mojej osobie?...

— Wszystko.

— Szczególna grzeczność!

— Za żonę prawną nie chcę mieć osoby tak pięknej, jak pani, w przekonaniu, że choćby sama na innych nie patrzyła, wszyscy patrzyliby na nią. Dla spokoju chcę się ożenić, nie dla kłopotów, potrzebna mi więc gospoia ani tak brzydka, żebym się musiał pocieszać u swych sąsiadek, ani tak piękna, żeby się sąsiedzi u niej pocieszali. Ani brzydka, ani piękna—oto niewiasta jakiej szukam.

— Jestem za piękna?...

— Rozumiem, chcesz pani pochwał, a ja chwałę tylko wówczas, kiedy potrzeba. Zegnam panią.

Za chwilę wchodzi drugi konkurent Don Roque, o charakterze wprost przeciwnym Don Marcosowi. Jest to — podług słów Gibai—człowiek obojętny na wszystko; nie obchodzi go nawet głód i pragnienie, a mieć czy nie mieć—to dla niego rzecz bez znaczenia; nie chwali się gdy tryumfuje, nie wyrzeka wobec zawodów.

— Podać krzesło—woła Serafina.

— Człowiek siedząc rozmawia znacznie swobodniej — zauważył Don Roque.

— Krzesło już nie potrzebne—rzecz Serafina po ostatnich słowach przybysza.

— Ma pani słuszność; człowiek siedząc mówi daleko więcej, niż potrzeba.

Gdy Serafina niezadowolona i z tego konkurenta, radzi mu wyjść jaknajspieszniej, Don Roque bez ceremonii odpowiada:

— Wyjdę natychmiast. Mamże umierać dla tego, że nie zdo-

byłem serca pani? O ile ja wiem co pani jesteś warta, o tyle pani powinna ocenić moją wartość.

— Kto umie czekać ma zasługę.

— Będę więc czekał, jeżeli to potrzebne do zdobycia pani.

— Jak długo?

— Jedną... dwie... trzy godziny...

Trzeci konkurent Don Pablo, wychowaniec uniwersytetu w Salamance, cytując po każdym słowie wyjątki z Pisma Ś-go i frazesy łacińskie, będące w dziwnej niezgodzie z gramatyką, wywołał niezręcznością swoją gniew Serafiny. Ujrzawszy D-ę Mateę pyta: — „Qui est ista?” a po otrzymaniu odpowiedzi, upatruje podobieństwo między siostrami.

— Masz pan wzrok krótki.

— Nego.

— Przypatrz mi się?

— Jest podobieństwo.

— Jesteś gbur.

— Domina, nescio quid dicitis.

— Jesteś pan głupcem. Jak można porównywać inną gwiazdę ze mną, przedmiotem pańskiej miłości?

— Verbi gratia — odpowiada z flegmą Don Pablo.

— Nikt nie uwierzy, co ja cierpię z tą siostrą młodszą, trzeba raz temu koniec położyć.

— I wyjść za mnie—wtrąca Don Pablo.

— Nie licz pan na to.

— Tu się wybornie nada ustęp z Pawła ś-go...

— Gibajo, uwolnij mnie od tego człowieka.

— Wprzód pani posłuchaj ustępu z Pawła ś-go—odparł Gibaja.

— Wziętego z listu do Efezów—dodał Pablo.

— Wszystko co pan mówisz są a d-epheios (bzdurstwa).

— Jam obedior — ale za uległość nie nagrodzisz mię pani?

— Na Boga, jeśli pan nie wyjdiesz...

— Irata est.

— Zabiję cię.

— Timeo et eo. Czy będziesz mnie pani kochała?

— Jeżeli wyjdiesz.

— A kiedy mam wrócić?

— Jak się pan nauczysz po hiszpańsku.

Ostatni wreszcie konkurent Don Gonzalo, nudziarz straszny, posiadacz „wąsów, sięgających aż do oczu, uszu długich, aż po skronie i cery, która z jednej strony lica wydaje się być całkiem surowa, a z drugiej ugotowana,“ nie mógł również zdobyć uznania dumnej Serafiny.

W akcie drugim wszyscy konkurenci schodzą się przypadkiem u Gibaji, który, zachęcając do zemsty nad Serafiną, wymógł na nich słowo, że stawiają się razem w jej salonie, aby tam każdy złożył nowe

oświadczenie w formie dla Serafiny najmiłszej i poparte prośbą piśmienną. Piękna donna zgodziła się i na tę drugą audyencyą w tym celu jedynie, żeby „zmiażdżyć konkurentów swoją pogardą, nasycić się widokiem ich cierpienia i stać się w ten sposób głośną w stolicy.“ Jakoż związani umową kawalerowie w słowach najwykwintniejszych proszą o rękę Serafiny, która, odmówiwszy każdemu z nich, przyjęła cztery prośby piśmienne. Okazało się, ku wielkiemu wzdumieniu Serafiny, że wszyscy czterej konkurenci prosili o rękę jęj siostry D-y Matei. Po wyjściu panów piękna dziedziczka majoratu wpadła w taki paroksyzm zazdrości, że nie podobna jęj było uspokoić. Oto dialog z trzeciego aktu, świadczący, że poeta znał dobrze serce niewieście:

— Powiedz mi prawdę, senioro, czy kochasz?—pyta Rafaela.

— Nie.

— Udręczenia miłości sprowadzają gorączkę, o której chory dowiaduje się wówczas, gdy ust dosięga. Znam tę chorobę z własnego doświadczenia.

— Nikt nie zdobył mego uczucia—broni się Serafina.

— Powiedz mi pani, czy nie masz nienawiści dla tego, którego wczoraj nie kochałaś.

— Nienawidzę tego, który mnie kochał.

— Dlaczego?

— Ależ to bardzo naturalne, muszę nienawidzić człowieka, który mnie ubóstwiał, a który obecnie kocha inną.

— Jeżeli więc nienawidzisz dlatego, że cię kochał i przestał kochać, to przyczyną twęj nienawiści jest miłość.

— Czyż kto widział miłość bez zazdrości? Nie doświadczam jęj—a więc zapewne i nie kocham.

— Jesteś zazdrosna.

— Mylisz się.

— Nie jesteś nią o siostrę swoję? Czy miłość twoja tego nie mówi?

— Jeżeli jestem zazdrosną względem swęj siostry, to nie znaczy, żeby przyczyną tego była miłość. Zazdrościć jęj, że ją wybrał człowiek, który mnie kochał, jest najzupełniej co innego niż być zazdrosną o tych, którzy ten wybór zrobili. Jam o nią zazdrosna, nie o tych, którzy jęj swą miłość oświadczają. Jeżeli więc jestem zazdrosna—to nie z miłości, lecz z gniewu.

— Czyż jaka istnieje różnica pomiędzy zazdrością, której doświadczamy o tego, który kocha, a zazdrością o tę, która jest kochana? Żadna: są to następstwa jednęj przyczyny.

— Ty sądzisz, że jestem zazdrosna jednocześnie o siostrę i o tego, który mnie kochać już przestał. Wszak jest czterech, którzy jęj miłość oświadczyli, a ja przecież mogłabym kochać tylko jednego. Miłość, która się rozdziela na dwie głowy, nie jest prawdziwa. Cóż dopiero, gdy idzie o czterech. W jakiz sposób można kochać wszystkich i o każdego być zazdrosną. Otóż jeżeli prawda, że jestem za-

zdrosna, to w takim razie o siostrę, że jest kochana, a nigdy o jej kochanków.

— Ztąd widzę, że uczucie budzić się w pani zaczyna.

— Udręczenia, których doświadczam, ztąd pochodzą.

— Wytłómacz się.

— Uparłam się przy tém żeby nie kochać, a doświadczam żą-dzy kochania tego, który mnie rzuca.

— Ależ to miłość!...

— Jeżeli tak, wymień nazwisko człowieka, któremu serce od-dałam.

— Don Marcos.

— Raczéj umrzeć, niż zostać jego żoną.

— A więc Gonzalo — to zacny człowiek.

— Choćby był nawet dyamentem—cóż z tego, kiedy to klejnot w stanie natury.

— Masz słuszność. A Don Pablo?...

— Któżby mógł znieść jego rozmowę?

— A Don Roque?...

— Nie chcę człowieka, któryby mnie kochał dla siebie, a nie dla mnie.

— Czegóż więc doświadczasz w obecnej chwili?

— Płonę cała. Jestem jak chora, która cierpi, nie wiedząc gdzie jest choroba.

— A w jakim celu, senioro, chcesz dziś otworzyć owe turnieje akademickie?

— Dziś Matea kończy rok piętnasty, korzystam więc z uroczy-
stości, żeby lepiej ukryć moje cierpienia i wykazać jak nie dbam wca-
le o kochanków, którzy mnie dla innej porzucają. Pragnę więc żeby
ci, którzy nie mogą znieść blasku moich oczu, wzrok straciwszy, uwiel-
biali chociaż potęgę mojej inteligencji.

Jakoż w sali świątecznie przybranéj schodzą się czterej konku-
renci ze służbą, Gibaja i muzykanci. Przewodniczącą turniejów wy-
brano D-ę Mateę, poczem każdy z panów na dany przez nią temat
improwizował wierszem. Gdy kawalerowie spełnili swoje zadanie,
stanęły do turnieju Serafina i D-a Matea, którym pozwolono wybrać
sobie temat podług woli. Jakoż D-a Matea spowiada się, że wówczas,
gdy Igneła do wszystkich mężczyzn, nie przewidywała możliwości uwień-
czenia tryumfem swych pragnień, a ta niewiara w swoje zalety była
jej bodźcem do otaczania mężczyzn wyjątkową sympatią i uprzejmo-
ścią; skoro jednak przekonała się dzisiaj o swoim błędzie, miłość
ustąpiła miejsca obojętności. Serafina wreszcie oświadcza, że odpy-
chając dobrowolnie wszystkie objawy uczucia dla niej, powodowała się
nie skłonnością serca, lecz pychą; lecz gdy teraz zawód ją spotkał,
pragnie kochać; obojętność musiała pierzchnąć przed miłością. Wobec
takiego obrotu rzeczy, gdy wszyscy konkurenci byli przez D-ę Mateę
odrzućeni, Gibaja, ratując własny interes, zapewnia Serafinę, że mnie-

mana miłość kawalerów dla jęj siostry była udaniem tylko i prosi, aby nareszcie wybór zrobiła. Po tych słowach, Serafina zwraca się do Don Marcosa mówiąc: „oto moja ręka.“

— Pani — odpowiada wybrany — przedstawiasz dla mnie w tę chwilę istotę nie kochającą, lecz zawziętą. Tylko gniew złagodził twą dumę bezbrzezną, muszę więc ukarać twoją próżność. Nie mógłbym kochać kobiety pięknej wprawdzie, ale tak kapryśnej, że dziś uwielbia, aby jutro przejąc się wstrętem. Mógłżebym wierzyć w nasze szczęście, przekonany aż nadto, że miłość twoja jest tylko dzieckiem próżności?!...

— I ja tak sądzę, piękna Serafino — wtrącił Don Roque.

— Ta, której ty byś nie zaślubił, tém mniej byłaby dla mnie — dodał Gonzalo.

— Ne c m i h i — zakończył Pablo.

Nienawidzone ubóstwiają,
 Ubóstwiane nienawidzą;
 Oto czém wszystkie są kobiety.

Jest to jak widzimy komedia charakterów w ścisłem znaczeniu tego słowa i jako taka ma wartość niezaprzeczoną. Każdej z postaci nadał poeta rysy znamienne, wyraziste, a bohaterki podniósł nawet do znaczenia typów ogólniejszych, wydartych z życia. Szkoda tylko, że utwór przeładowany jest tyradami w duchu modnego wówczas gongoryzmu, co zresztą we wszystkich komediach tego poety napotkać można.

Niezwykłym humorem i zręcznością techniki scenicznej odznacza się komedia „Pan i Sługa.“ Don Juan przed zaślubieniem panny, której nie widział ani razu i której nie ufał dostatecznie, postanawia poznać jęj charakter drogą podstępu, a mianowicie przez zamianę roli ze swym lokajem. Famulus przebrany za rycerza, wchodzi do domu narzeczonej Don Juana, który w stroju służącego nie odstępkuje Sancha ani na chwilę. Pretensjonalna głupota lokaja, korzystającego aż do zbytku ze swojej roli, niecierpliwość i gniew Don Juana, zmuszonego patrzeć spokojnie na wybryki Sancha, grożące w każdej chwili planom podstępnym; wzdumienie teścia w obec zięcia prostacka; rozpacz głęboka panny, która czując odrazę do przyszłego męża, nie jest w stanie powściągnąć uwielbienia swego dla piękności i wdzięku Don Juana; wszystko to zlewa się w całość harmonijną i pełną werwy. Komedia ta miała ogromne powodzenie w pierwszych latach panowania Ludwika XIV, przeniesiona na scenę francuską przez Scarrona, który, zapomniawszy o sumienności literackiej, komedya Rojasa prawie dosłownie przetłómaczył p. t. „Jodelet maitre, valet“ podając swój utwór za oryginalny.

Do najlepszych komedyi Rojasa należy jeszcze D. Lucas Cigarral w której z wielką siłą komizmu przedstawił autor śmieszności pro-

wincjonalisty, dumnego ze stanowiska jakie zajmuje w małej mieścinie, przywykłego do uniżoności sąsiadów i krewnych biedaków a przeniesionego nagle w obcy mu zupełnie świat stolicy, gdzie gburowatością, przesadą i prostactwem wzbudza tylko śmiech i odrazę. Tomasz Corneille zeksploatował tę komedią w przeróbce p. t. „D. Bertrand Cigarral. W komedyi „Abre et ojo“ przedstawił autor bardzo wdzięczny i pełen życia obraz intryg kobiecych i sideł, jakie niewiasty na kochanków swoich zastawiają. Tak w tej jak i w innych komedjach swoich nagromadził Rojas wiele ciekawych rysów, charakteryzujących ówczesne społeczeństwo hiszpańskie.

Za arcydzieło Rojasa uchodzi powszechnie dramat „Garcia del Castanjar,“ który niewątpliwie dostarczył wątku Wiktorowi Hugo do „Hernaniego.“ Bohater dramatu jest jedynym synem potężnego granda, który zajmując na dworze bardzo wybitne stanowisko, podczas długiej małoletności Alfonsa XI skompromitował się wielce i był zmuszony kraj opuścić. Młody Garcia, aby uniknąć prześladowania zamieszkał pod zmyślonem nazwiskiem w pobliżu Toleda wśród gór zacisznych, gdzie za resztkę fortuny ojcowskiej znaczne zakupił dobra. Tu czuwa nad nim stary przyjaciel ojca hrabia Orgaz, oczekując chwili w którejby za pośrednictwem swoich wpływów na dworze, mógł wrócić Garcie do łaski króla. Szlachetny ten opiekun połączył swego wychowanka z młodą dziewczyną, będącą w analogicznem z Garcią położeniu. Blanca de Lacerda była także córką wygnańca z krwi królewskiej, a osierocona w niemowlęctwie nie znała wcale pochodzenia swego, o którym i Garcie nic nie wiedział. Matronkowie kochają się głęboko i szczerze; zadowoleni ze swojej siedziby cichiej pracują gorliwie wraz z poddanymi, otaczając ich miłością, dostatkiem i opieką. Król Alfons w przewidywaniu wyprawy wojennej do Algeziry odwołał się do poddanych o pomoc materyalną, jakoż hrabia Orgaz taką zdaje sprawę z obietnic grandów:

„Don Gil de Albornoz daje
 Żołnierza dziesięć tysięcy,
 Dwa—hrabia Argoz. Astorga
 Przywodzi cztery tysiące,
 Szesnaście tysięcy miasta
 Opłaca. Trzy Hermandady
 Kastylskie z ludźmi swojemi
 Nad Genil pójda. Aguilar
 Da tysiąc rumaków lotnych
 I tysiąc dukatów złotem.
 Zaś Garcia del Castanjar
 Mięsiwa da solonego
 Centnarów sto, dwa tysiące
 Miar mąki a krup zaś cztery,
 Piętnaście beczulek wina,

Trzy stada z majątku swego,
Sto ludzi młodych przy zbroi,
I sto centnarów słońiny.
Zły rok był, więc daję mało,
Lecz jeśli trzeba—królowi
Wieśniacze chętnie dam serce
Człowieka duszy niezłomnej,
Co chociaż nie zna monarchy,
Zna dobrze swój obowiązek.”

Król.

To prawość wielka i hojność!..
Gdzie stale mąż ten przebywa?...

Hrabia.

Niech pan mój wysłuchać raczy,
Tam... o pięć mil od Toleda
Jest wioska w której przebywa
Ten rolnik, Castaniar zwana,
Z górami tuż granicząca.
Hiszpańskich władców to królu
Posiadłość jest starożytna.
Tam u stóp góry śniegowej
Mąż zacny z Assyżu—klasztor
Zbudował ku czci Chrystusa,
Bo taką żywił pokorę
Franciszek, że swą siedzibę
Powierzył górom samotnym.
Granicę piękną doliny
Kasztany zdobią wyniosłe
I od nich bierze nazwisko
Dolina, klasztor i Garcia ¹⁾
Tu on jak Abraham zawsze
Uczynki spełnia ofiarne,
Bo zbiorów obfitość wielką
Zawdzięcza niebu i pracy.
Z klasztorem łączy się jego
Siedziba o trzech oddziałach:
Rodzina w jednym się mieści,
Obfity śpichlerz owoców,
Macicy winnej, oliwek
Skarb pełen ziarna, którego
Urodzaj taki Bóg zsyła,
Że spichrze Hiszpanii wobec
Zapasów Garcii—są niczém.
W oddziale drugim jest ogród,
Którego kwiaty—obrazem

¹⁾ Castanar znaczy po hiszpańsku miejsce kasztanami wysadzone.

Gwiazd lśniących ziemi, cór słońca
 Tak różne i takie świetne,
 Tak blaskiem nęca, jak gdyby
 Ze sfery czwartej na piątą
 Gwiazd krocie poupadały.
 Część trzecia w kształcie galeryi
 Opartej na trzech arkadach
 Z jaspisu Pawła świętego...
 Balkony złoto-zielone...
 Przy dachu z mikki lśnią cudnie
 Z szmaragdów najczystszych kule!..
 Tu z Blanką, małżonką swą
 On w takich żyje rozkoszach,
 Jakimi tylko technie miłość.
 Skarb jego—szczęściu nie zrówna!..
 Jój—słońce wdzięków zazdrości
 Lecz nie tu na opis pora,
 Wystarczy jeżeli powiem,
 Że chociaż Garcii bogactwa
 Są prawie niewyczerpane,
 To jednak z nią w porównaniu
 Są mieniem jaknajskromniejszym!..
 On człowiek rzeźki i zawsze
 Łowami zwykł się zabawiać
 A silny tak, że i byka
 Żyłastą pokona dłońią.
 Oblicza twego, monarcho,
 Nie widział nigdy, mniemając,
 Że król jest słońcem, którego
 Promieniom oko nie sprosta.
 Honorom klęę się, że gdybyś,
 O królul wziął go na wojnę,
 U boku twojego, panie,
 Umieścisz roztropność rzadką,
 Otwartość próżną obfudy
 Przezorność wypróbowaną,
 Bogacza wolnego pychy,
 Doradcę nie upartego
 Waleczność z wymową społem.
 Przysięgam on streszcza w sobie
 To wszystko, co ma stanowić
 Rycerza doskonałego ¹⁾.

Podaliśmy w całości ustęp powyższy raz dla tego, że stanowi on charakterystykę głównego bohatera dramatu a następnie i z téj przy-

¹⁾ Comedias escogidas loc. cit. p. 12.

czyny, żeby dać próbkę upodobania dramaturgów hiszpańskich w opisości, która tak dobrze jak i liryka stanowi niezbędny dla hiszpanów żywioł w dramacie. Rozmilkowani w bogactwach, w majestacie swój pięknej mowy, synowie Kastylii wymagają od dramaturgów aby dla rozwinięcia wszystkich skarbów języka epikę, lirykę i akcją wyraźnie w dziełach scenicznych jednocyli.

Zaciekawiony opowiadaniem hrabiego Alfons, w celu poznania Garcii, wybiera się samotrzeć jako rycerz z orszaku króla na łowy w okolice Toledo, aby przekonać się osobiście o ile wizerunek podany przez hrabiego był zgodny z rzeczywistością. Tego też pragnął i Orgaz, ale... pozwólmymy mówić autorowi, który przenosi nas do domu Garcii i wprowadza na scenę Blanę w stroju wieśniaczki, okrytą wieńcami z kwiatów, Brasa pastucha, odgrywającego rolę błazna (gracioso) służbę i muzykantów, którzy grając śpiewają:

Ona Biała jako słońce
 Śnieg bielszy?.. nie!..
 I ma liczko jaśniejące
 Jako słońce.
 O poranku z łoża rwie się
 Niby słońce,
 Radość polom naszym niesie
 Jako słońce!..
 Przy niej czarny śnieg—migdała
 Kwiat czerni się,
 Ona jako słońce biała
 Śnieg bielszy?.. nie!..

Po wejściu Garcii rozpoczyna się scena romantyczno-sielankowa świadcząca o potędze miłości małżonków. Oto jak Castañar wielbi swą towarzyszkę:

Żniwiarz nie pragnie chłodu w takiej mierze,
 Niwa tak deszczom wiosennym nie rada;
 Trawki młodziuohnéj nie żadne tak stada,
 Ani zakątków cienistych pasterze.
 Chory o słońcu nie marzy tak słodko,
 No cy nie pragnie tak nędzarz bez sily;
 Łąkom uroczym, tak wietrzyk nie miły
 Jak ja cię kocham ty moja pieszczotko.
 Od tych, co świata widzieli zaranie
 Wszystkie miłości niech w jedną pierś spłyną,
 A będą w obec méj dla ciobie—drwinął..
 Choć tak kocham, że więcej nikt kochać nie w stanie,
 Jednak wyznam, o wdzięczna ty moja ptaszyno,
 Że twym cnotom to moje nie sprosta kochanie.

(Podczas téj sceny wchodzi posłaniec Orgazu).

- Tello.** I najszcześliwszy
Zazdrościć może ci losu,
Pomyślność Garcii niezmienna.
- Blanca.** Cóż Tello?...
- Tello.** O pani moja
O Blanko piękna, twórczyni
Tych wszystkich jaśminów, które
Ogrodom naszym woń dają,
Twe rączki hrabia całuje.
- Blanca.** I co tam słychać, mój Tello?..
- Tello.** Ten list wam oddać kazano
I wrócić bez odpowiedzi,
Spełniłem—odejść pozwólcie.
- Garcia.** List do mnie adresowany,
Wyrzuty znajdę tam pewno,
Zem skąpo króla obdarzył
Czytajmy: „król, Castaniarze,
Poznawszy ofiarę twoję
Zdziwiony pytał kim jesteś,
Odparłem rolnik gorliwy;
Więc król tajemnie pośpieszy
Twą wartość zbadać i rozum,
Nie daj się poznać i nie zdradź
Że wiesz kto przybył... a króla
Po wstędze szkarłatnej poznasz.
- Blanca.** Niepokój, milczenie, Garcio
Złych wieści znakiem, co tobie?..
- Garcio.** W tym liście hrabia mnie prosi,
Bym kilku przyjął rycerzów.
- Blanca.** Toć dom nasz zawsze dla niego
Otwarty...

(*Za chwilę wchodzi król bez wstęgi, Don Mendo z szarfą szkarłatną i dwaj sokolnicy.*)

Ta okoliczność właśnie, że król nie włożył na siebie wstęgi, po której miał być poznany przez Garcieę spowodowała *qui pro quo*, będące sprężyną całej akcji.

W rozmowie z Garcieą król, uchodzący za dworzanina, oświadcza mu, że monarcha ujęty hojną ofiarą Castaniara, pragnie go wezwać do stolicy i tam umieścić na bardzo wysokim stanowisku, ale Garcia daje do zrozumienia, że nad blask dworu przekłada swobodę i ciszę życia sielskiego.

Król. Lecz jeżeli nie chciałbyś pan porzucić swego zacisza, jak mogłeś przyrzekać królowi swój udział w wojnie?...

Garcia. Przepraszam—pan mnie nie zrozumiał. Król posiada dług uprzywilejowany na mieniu i życiu każdego męża honorowego. Uniesiony zapalem wojennym, sposobi się do walki w Andaluzji, aby ztamtąd niewiernych wykorzeńić, i wskutek tego potrzebuje ludzi i pieniędzy. Oddałem mu osobę swoją ze wszystkiem, co posiadam, bez żadnej ambicyi, jedynie dla spełnienia obowiązku, poczytuję bowiem ofiarę nawet z istnienia swego za podatek, z którego uiścić się powinienem bez przymusu.

Król. Lecz po skończonej wojnie, dlaczegóżbyś pan nie miał zostać na dworze?

Garcia. Bo tu żyję spokojniej i bezpieczniej.

Król. Mógłbyś pan otrzymać godność wysoką.

Garcia. Byłoby rzeczą rozsądną obdarzać takiego jak ja wieśniaka stanowiskiem, któreby inni godniejsi odemnie zająć mogli?

Król. Ależ, panie, król ma prawo mianować swe sługi podług woli.

Garcia. Choćby chciał tego—nie zgodziłbym się. Takie ła-ski są zbyt niebezpieczne, a ulubieńcy królewscy bywają narażani na wiele ciężkich niespodzianek. Słyszałem często, że lepiej doświadczać nienawiści, niżeli osiągnąć względy króla. W pierwszym wypadku mamy się nieustannie na baczności, w drugim grzeszymy ufnością nieroztropną. Miałem ojca, człowieka bardzo światłego, który mi dawał rady wytrawne, powtarzając często, że królowie są jako płomień: co zdaleka grzeje, a zbliżka pali.

Król. Mówią też, że królowie, jak Stwórca, mają możność wydobycia z pyłu nawet ludzi, którzy obdarowani ich łaskami stają się przedmiotem czci powszechniej.

Garcia. Częściej pogrążali w nicość jednostki, w ten sposób wydobyte.

Król. Chyba że nie zasłużyli na takie względy.

Garcia. Wszystko jedno. Czemże król może obdarzyć człowieka, który niczego nie pragnie?

Król. Możesz pan zdobyć nagrody.

Garcia. I kary.

Król. Może was obdarzyć władzą.

Garcia. I troskami.

Król. Bogactwem.

Garcia. Którego zazdrościć mi będą!...

Król. Łaską...

Garcia. Za wszystko, co on posiada, nie oddałbym jednej piędzi mojego Castaniaru.

Podczas gdy król starał się w ten sposób ocenić charakter Garcii, Don Mendo, olśniony pięknnością Blanki, postanowił uwieść ją

w przekonaniu, że nie napotka przeszkód nadzwyczajnych. Małżonka Garcii bez oburzenia, lecz z godnością broni się przed atakami D. Menda, którego zabiegi, jakkolwiek bardzo ostrożne, nie uszły baczenia Garcii. Zmuszony powrócić z królem, D. Mendo, przekupiwszy jednego ze służących, postanawia zrobić samodzielną wycieczkę do Castaniaru. Po otrzymaniu wiadomości, że Garcia, polując na dziki, spędzi noc w lesie, D. Mendo spieszy o północy do jego domu i przez okno do komnat się wkłada. Lecz tu właśnie spotyka męża Blanki.

D. Mendo (*otulając się płaszczem*). Przez Boga!... To Garcia!... Odwagi!... nie czas na ucieczkę!...

Garcia. Mój szlachcicu (jeżeli sprawca takiej podłości być nim może), powiedz czego żądasz, przysięgam na honor, że cię zadowolnię, jeżeli jaka potrzeba gwałtowna skusiła was do okradzenia mego domu.

D. Mendo. Pozwól mi odejść Garcia.

Garcia. O nie! Muszę przedewszystkiēm wiedzieć kto jesteś. Odkryj się bezwłocznie, albo kula tego muszkietu rzecz rozstrzygnie.

D. Mendo. Niech ci odpowie wstęga na moich piersiach. (*zrzuca płaszcz*)

Garcia (*upuszczając muszkiet*). To król!... A słowa jego świadczą, iż wie o tē, że go poznałem. Honorze, obowiązku, co czynić?! Jak bez krzywdy jednego ocalić drugi?!

D. Mendo (*n. s.*). A tom poznał dokładnie nędzną duszę tego oracza. Cześć dla stanowiska mego budzi w nim trwogę śmiertelną. I to hrabia Orgaz tak męstwo jego wystawiał! (*głośno*) Jestem w twym domu, nie mogę ani uciekać, ani zaprzeczyć, że wszedłem tu podczas nocy...

Garcia. Ażebym ukraść mi honor. Zaiste, płacisz mi dobrze gościnność, której doświadczyłeś odemnie i od Blanki. Postępowanie nas obu stanowi kontrast szczególny. Znieważony przez ciebie nie odbieram ci jeszcze mego szacunku, a ty, któremu dałem tyle dowodów poświęcenia, zniewagą płacisz mi za nie śmiertelną!...

D. Mendo (*n. s.*). Nie trzeba ufać ludziom tēj klasy, kiedy się czują obrażeni. Ta broń przydać się może. (*chce podnieść muszkiet*)

Garcia. Co pan robisz?... Zostaw ten muszkiet. Jeżeli przeskadzam panu podnieść go, to tylko z tēj przyczyny, abyś przewadze uzbrojenia nie przypisywał końca tēj sprawy. Wstęga, pierś twą zdołająca, wystarczy dla twēj obrony; promienie słońca kastyjskiego oślepiając mnie, przynoszą tobie ratunek.

D. Mendo. A więc znasz mnie!...

Garcia. Sądź o tē, z mojego postępienia.

D. Mendo. Stanowisko moje nie pozwala mi walczyć z panem. Cóż zrobimy?...

Garcia. Oddal się, proś Boga, aby raczył przytłumić twe namiętności i nigdy nie wracaj do Castaniaru. Jeżeli nie wolno mi mścić

się na tobie za zniewagę, niebo, któremu sprawę powierzam, jest w stanie wymierzyć sprawiedliwość.

D. Mendo. Garcio, nie zapomnę nigdy, com ci winien.

Garcia. Łask twych nie żądam.

D. Mendo. Niechaj Orgaz nie wie nic o tém.

Garcia. Przyrzekam.

D. Mendo. Bóg z tobą.

Garcia. Bodaj i ciebie nie opuszczał, a strzegł nas, mnie i Blankę od twych zamiarów...

D. Mendo. Twoja żona...

Garcia. Ani słowa. Znam ją, wiem, że tylko ty jesteś winien. Dokąd idziesz?...

D. Mendo. Szukam drzewi.

Garcia. Co za ślepotą! Tędy wyjść powinienesz (*wskazuje okno, przez które wszedł Mendo*).

D. Mendo. Jeszcze raz pytam, czy znasz mnie?...

Garcia. Zapewniam, że gdyby nie to, wyszedłbyś prędkiej. Lecz teraz weź pan ten muszkiet. W lesie są zbójcy, mógłbyś od nich doświadczyć mniej względności niż odemnie. Wychodź prędko. Nie chcę, żeby Blanka wiedziała o tém, co zaszło.

D. Mendo. Jestem posłuszny.

Garcia. Spiesz się i nie upadnij. Nie chciałbym, żeby upadek zatrzymał cię w moim domu choć przez chwilę. Zchodź... nie lękać się... trzymam drabinę.

Zostawszy sam Garcia, miotany rozpaczą, przychodzi dó przekonania, że, aby ocalić honor od przyszłych usiłowań króla, potrzeba niewinną żonę zamordować. Przerażona Blanka ucieka do lasu, gdzie przypadkiem spotyka Orgaza, który polecił służbie odprowadzić ją na dwór królowej, o pochodzeniu Blanki już uprzedzonej. Tymczasem Garcia dowiedział się, że monarcha powierzył mu dowództwo w walce z maurami, a jednocześnie otrzymał wiadomość, że małżonka jego jest przy boku uwodziciela. Pod wpływem wściekłej zazdrości, spieszy do Toledo i otrzymuje natychmiast posłuchanie.

Król. Zbliź się i z ust moich przyjmij wyraz uznania, na który zasłużyłeś.

Garcia. Przebac panie, pozwól mi najprzód ucałować stopy Jego królewskiej mości (*zbliża się ku D. Mendowi, którego bierze za króla*).

D. Mendo. Oto król. (*wskazując na Alfonsa*)

Garcia (*n. s.*). Co słyszę! O mój honorze! Co za błąd straszny. (*gl.*) Najjaśniejszy Panie, pozwól mi swą rękę ucałować. Jeśli zasłużył... możesz...

Król. Zkąd ten niepokój?... Bledniesz...

Garcia (*n. s.*). Czyż może szlachcic nie zblednąć straciwszy honor... (*gl.*) Pozwól mi, Panie, powiedzieć stów parę w tajemnicy.

Jesteś słońcem. To, co czytasz na twarzy mojej, wydobyła na jaw potęgę twoich promieni.

Król. Czyś krzywdy jakiejś doświadczył? Od kogo?...

Garcia. Znam osobę, nie znam nazwiska.

Król. Wskaż ją.

Garcia. Stanie się. (do D. Menda) Chciałbym pomówić z panem, lecz król nie może być obecny naszej rozprawie.

Mendo. Czekam w sali sąsiedniej.

Król. Gdzie idziesz Garcia?...

Garcia (wychodząc). Wykonać rozkaz twój, Panie.

Po chwili rozległ się za sceną okrzyk Garcii: „oto czém jest honor“ i Mendo pchnięty sztyletem padł bez życia.

Król kazał uwięzić Garcia, który nie myśląc o ucieczce, zbliżył się dumnie do monarchy i opowiada przyczynę zemsty nad Mendem, kończąc takimi słowami:

— Już nie żyje, bo uważałbys mnie królu za nędznika, gdybym na twój rozkaz wyjawienia mego krzywdziciela, wskazał na człowieka jeszcze żyjącego, choćby nim był nawet syn słońca, grand państwa i twój ulubieniec. Wiesz kim jestem i jakiej krzywdy doświadczyłem. Jeżeli potrzeba, niechaj to ramię mściciela pod siekierą kata odpadnie, lecz dopóki zachowam głowę na ramionach, nikt prócz króla bezkarnie honoru mego nie znieważy.

Król ławo przebaczył Castaniarowi.

Przy ocenie tego dramatu pogodzić się trzeba z wieloma usterkami nieodłącznymi od wszystkich utworów dramatycznych tej epoki. Przedewszystkiem uderzać tu muszą każdego nieprawdopodobieństwa tak w charakterach jak i sytuacjach sztuki. Czy podobna przypuścić żeby Garcia, mieszkając zaledwie o kilka mil od Toleda nigdy nie widział króla, czy można uwierzyć, żeby Mendo, przybywszy w gościnę wraz z monarchą rozpoczął natychmiast hazardowny atak do serca żony Castañara, wiedząc zwłaszcza o wyjątkowej miłości małżonków. Czy jest rzeczą naturalną, że Garcia przeświadczony zupełnie o niewinności swjej małżonki i żywiąc dla niej uczucie bez granic chce ją zamordować dla tego tylko, żeby mniemany Alfons nie ponowił swoich usiłowań w celu uwiedzenia Blanki? Czy Garcia po zamordowaniu Menda w oczach króla mógł recytować zaraz całą tyradę o dwustu wierszach?.. i. t. p. Z takimi rzeczami krytyka nie rachowała się wówczas, a tém mniej publiczność żadna jedynie wrażeń silnych a podniosłych. Motyw dramatu, zasadzający się na walce pomiędzy wiernością monarchiczną z jednej, a miłością i honorem z drugiej strony, był jednym z najsympatyczniejszych dla synów Kastylji owego wieku i ztąd téż olbrzymie powodzenie sztuki Rojas. „Ten dramat — pisze Ochoa — jest tak w Hiszpanii popularny, że nie ma młodzieńca z jakim takim chociaż wykształceniem, któryby nie umiał na pamięć licznych z niego wyjątków, a wszystkie sceny krajowe utwór ten do dziś dnia

na repertuarze utrzymały. Gdyby wskutek jakiego kataklizmu miały zagaść wszystkie utwory dramatyczne tego wieku i gdyby było w możności naszej ocalić kilka utworów jako relikwie ze skarbnicy ducha narodowego, to nie namyślając się wcale, głosowalibyśmy za utrzymaniem czterech utworów „Tetrarca“ Calderona, „El Desden corel desden“ Moreta, „Le verdad Sospechosa“ Alarcona i „Garcia del Castanier“ Rojas. Dla nas utwór Zorilli oprócz wartości estetycznej ma znaczenie i dokumentu historycznego, który świadczy o tym kulcie nadzwyczajnym, jaki istniał wśród wszystkich warstw społecznych Kastylii, odnośnie do idei monarchicznej i do osoby panującego.

Rojas miał szczęście u Francuzów, którzy go zeksploatowali dostatecznie. Oprócz przeróbek wzmiankowanych, istniały i inne bardzo liczne. Rotrou np. do sztuki „Wenceslas“ zaczerpnął wątku z „No hay padre siendo rey.“ Le Sage kopiuje Rojas w „Traître puni“ (La traicion busca el castigo), w „Le Point d'honneur“ (No hay amigo para amigo), a nawet w Gil-Blasie, gdzie cała jedna nowela wzięta z komedyi „Casarse por vengarse.“ i t. p.

(Dok. nast.).

O DZIAŁANIACH
WOJSKA KORONNEGO RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
w wojnie z Kozakami.

(Okres od dnia 19-go lutego do 10-go lipca 1651-go roku.
Bitwa pod Beresteczkiem).

PRZEZ

Konstantego Górskiego.

Dorywczo i krótko spisana umowa Zborowska, zawarta 17 sierpnia 1649 r., chociaż poprzysiężona przez Króla, Chmielnickiego i Chana, nie zdołała wyrównać sprzeczności i przeciwieństwa interesów między Rzeczpospolitą a kozaczyzną. W r. 1650 komisye mianowane przez króla, pracowały nad wprowadzeniem téj umowy w życie, ale nie mogły osiągnąć pożądanego skutku.

Wojsko koronne całe lato spokojnie przeleżało koło Kamieńca i ponad Dniestrem; hetman Potocki ograniczał się jedynie na poskramianiu rabusiów, którzy pod nazwiskiem lewów trudnili się rozbójkami i grabieżą. Mając kryjówki nad granicą wołoską, prowadzili handel zagrabionemi rzeczami, sprzedając zdobyte w Polsce do Wołoch i na odwrót.

Chmielnicki tymczasem formował swój registr. Traktat zborowski nadał mu prawo podniesienia liczby kozaków do 40,000. On zaś, uważając każdego rejestrowego za towarzysza, i przydając mu jednego konnego i jednego pieszego pachołka oprócz sług, zaliczywszy tytułem rezerwy 20,000 kozaków dla syna swego Tymoszki, powiększył komput swego wojska do 300,000. Trzymał prócz tego przy sobie na żołdzie kilka tysięcy tatarów, wzmacniał zamki i miasta, opatrywał je załogami i powiększał zasoby wojenne.

Nareszcie wieść doszła, że Chmielnicki, jako pan samowładny, znosi się z sąsiadami Rzpltej na jej zgubę. Nic zatem nie pozostawiało królowi, jak wziąć się za oręż, ażeby poskromić niebezpiecznego wroga, i wprowadzić pokój i porządek w zaburzoną prowincję. Zwołał też sejm w listopadzie 1650 r., w końcu którego na 34-o godzinnym posiedzeniu zapadła uchwała, aby zebrano 30 koronnego i 12 tysięcy litewskiego wojska i jeszcze wspólne ruszenie.

Gdy tak obie strony przygotowują się do wojny, kozacy pod dowództwem pułkowników: Neczaja, Bohuna i Głucha coraz dalej posuwają się na Podole, zajmując miasta i zamki, hetman polny Kalinowski, czy jako stróż granic Rzpltej, ażeby położyć tamę dalszemu szerzeniu się kozactwa, czy też w celu prędszego odzyskania obszernych dóbr swoich przez kozaków zabranych ¹⁾, zebrał w Stanisławowie (dziś Stanisławczyk na mapie głównego sztabu) 7,000—12,000 wojska i 19-go lutego ²⁾ wyruszył z nimi ku Barowi.

Trudno się zgodzić na stosowność tego przedsięwzięcia. Przed wielką wojną, na którą zbierały się znaczne siły, rzucić się ze słabym korpusem przeciwko potężnemu wrogowi, a do tego dumnemu i pewnemu siebie z niedawno odniesionych zwycięstw, było to narazić się na cząstkowe rozbicie, a może i zupełne zniesienie, i osłabić niepotrzebnie siłę przyszłej armii. Z listów Kalinowskiego widać, że rachował na posiłki, ale przecie powinien był wiedzieć, jak te posiłki opieszale wychodziły w pole.

Neczaj, dowiedziawszy się o nadejściu Kalinowskiego, opuścił Bar, umknął do Kraśnego i postawiwszy straż w Woroszyłowce, pod dowództwem setnika Szpaczenki, sprawił ze swemi kozakami i mieszczanami zapusty ³⁾. Tymczasem wysłany przodem z chorągwią Wojciech Korycki, napadł niespodzianie na Szpaczenka i jego kolumnę, i tak ją sprzątnął, że ani noga nie uszła, a potem połączywszy się z naczelnikiem przedniej straży, Piasoczyńskim, podeszli w nocy pod Kraśne, gdzie pozabijawszy stojących u bram na warcie pijanych kozaków, weszli do miasteczka ⁴⁾. Postrzegłszy żołnierzy, uderzono w bęben. Powstała trwoga w mieście. Zewsząd wypadali kozacy i mieszczanie, razili z przodu i z boku, z okien i z za parkanów, ścieśnianych w wązkich ulicach żołnierzy, i już ci ostatni ustępować zaczęli, gdy Kazanowski na czele szlachty podolskiej, wyrąbawszy palisady, uderzył na kozaków z tyłu. Dopiero rzeź straszna się zaczęła. Zginął Neczaj i mnóstwo kozaków i mieszczan. Kto zdążył, ratował się do zamku. Spaliwszy miasteczko, usiłował Kalinowski resztę Neczajowców dobyć, co się ciągnęło 21 i 22-go lutego, aż do piéro z 22-go na 23-ci w nocy, gdy uchodzić chcieli, opadło ich ze wszech stron wojsko na jeziorze i wysiękto ⁵⁾.

¹⁾ Pamiętnik nieznanego, t. II, s. 152. ²⁾ Pamiętnik Michałowski, ³⁾ Pamiętnik nieznanego, t. II, s. 153 i Kostomarow, 91, 92. ⁴⁾ Michałowski.—Ekspedycyi kozackiej dyaryuszu Kostomarowa, 95. Zob. mapkę nr. 1. ⁵⁾ Tamże.

Więść o kraśnieńskiej porażce i śmierci Neczaja, jednego z najwaleczniejszych pułkowników, głęboko zmartwiła Chmielnickiego i napełniła całą Ukrainę smutkiem. Uważano to pierwsze niepowodzenie za zły prognostyk gotującej się wojny ¹⁾. Zatrwożony Chmielnicki zaczął coprędzej gromadzić wojsko, wydał uniwersały z rozkazem zbrojenia się powszechnego—w co kto może. Rozesłał po całej Polsce agentów dla podburzania ludu przeciwko panom, nakazawszy im wmawiać, że walczy za wolność nie tylko ruskich, ale i polskich chłopów. Posłał także do chana krymskiego, upraszając go o jaknajprędzszą przybycie i do sultana, aby nakazał chanowi spieszyć mu z pomocą ²⁾.

Wojsku koronnemu po tém pierwszém powodzeniu należało działać szybko i energicznie, ale Kalinowski, jakkolwiek człowiek żywego i gorącego temperamentu, w działaniach okazuje się opieszalym. Po zdobyciu Kraśnego zostaje w nim beczynnie do 27-go. Toż samo czyni po dobrowolném poddaniu się Murachwy i Szarogrodu, w którym odpoczywa aż do 3-go marca. Tego ostatniego dnia przechodzi do Czerniejowic, które się zdały na łaskę i przywodzi do przysięgi Scianę ³⁾. Poczém znowu odpoczywa aż do 6-go, gdy nastąpiła wyprawa na Jampol. Miasteczko to, jako leżące na pograniczu, było siedliskiem łotrów i rabusiów różnych narodowości, a że trudniło się handlem, było bogatsze od innych i obiecywało bogate łupy.

Posłano na tę ekspedycyą dwa pułki: wojewody bractawskiego (Lanckorońskiego) i chorążego koronnego (Koniecpojskiego) ⁴⁾. Wpadli oni niespodzianie zrana w dzień targowy, kiedy się ludzie dopiero co zjeżdżać, a kupcy towar rozkładać poczeli. Na widok żołnierzy powstał popłoch. Uderzono w dzwony, do obrony krzykniono, ale już było zapóźno. Dziesięć tysięcy ludu obojój płci, a w téj liczbie trzy pułki kozaków padło pod mieczem żołnierzy. Dostatki czeladź rozszarpała, armaty i prochy hetmanowi przywieźli ⁵⁾. Wielkie, jak widać, było rozjątrzenie, że ani płci, ani wieku nie oszczędzano; ale była tu szlachta podolska, nad którą chłopstwo także żadnej litości nie miało.

Zniszczywszy kilka tysięcy nieprzyjaciela i zdobywszy na nim bogate łupy, możnaby uważać cel niewielkiej ekspedycyi za osiągnięty i powrócić do domu, mając na widoku, że gdy Chmielnicki znaczne siły zbierze, trudno będzie z nim się mierzyć. Ale zapalczywy i zawsze dufający sobie Kalinowski, nie chciał się kontentować otrzymaném powodzeniem i umyślił odebrać Winnicę, osadzoną przez pułkownika Bohuna. Zdązał więc jakby na spotkanie, już w znacznej części zebrany zastępom Chmielnickiego. Nie śpieszy się jednak z wykonaniem zamiaru. Po powrocie partyi z ekspedycyi do Jampola postanęj, co nastąpiło 7 marca, znowu odpoczywa do 9-go. Widzimy

¹⁾ Kostomarow, t. II, s. 96. ²⁾ tamże, t. II, 97. ³⁾ u Michałowskiego dyaryusz. ⁴⁾ tamże. ⁵⁾ tamże i Kostomarow, t. II, s. 100.

z tych odpoczynek, że hetman polny wcale czasu dla nieprzyjaciela nie szczędzi.

Wyruszywszy 9-go z Czerniowic przybyli tegoż dnia do Mochawy, gdzie przemocowawszy szli 10-go do Szadkowiec ¹⁾. Posłany z tej wioski przodem Lanckoroński z 3-ma chorągwiami kozackimi: Kisiela, Koryckiego i Piaszczyńskiego, zniósł pod Ladowcami podjazd kozacki i posunął się pod Winnicę; ale tu, gdy chciał ścigać wystany z miasteczka podjazdowi sukurs, trafił na porobione przez kozaków na zamarznętym Bohu przereble, słomą nakryte, i straciwszy do 200 towarzystwa, o mały sam życia nie postradał ²⁾. Po przybyciu reszty sił, przystąpili polacy do szturm; zdobyli miasto i zamek z niemałą stratą, ale silnie umocowanego klasztoru dostać nie mogli. Bohun trzymał się mocno, a że oczekiwał odsieczy, dla wygrania na czasie wdał się z Kalinowskim w traktaty o poddanie ³⁾.

Gdy tak nieogledny Kalinowski, straciwszy już bezowocnie tyle czasu, jeszcze się traktatami zabawiał, kozacy swoim na odsiecz nadciągali. Posłany na zwiady obożny koronny (młody Kalinowski) do Kalnika, ledwie że doszedł do Lipowca, gdy straż jego przednia pod Kondrackim spotkała podjazd kozacki, z którym niepomyślną utarczkę miała. Ścigając straż przednią, wpadli kozacy na stojący niedbale oddział Kalinowskiego. Lecz syn hetmański, żywo sprawiwszy szyk, odparł kozaków i odbił im 20 języka. Od tych dowiedziano się, że kozaków pod wodzą pułkownika humańskiego było 10,000 ⁴⁾. Ostrzeżenie więc miał hetman, wskutek którego powziął zamiar odejść i po kwaterach się rozłożyć. Ale zachciało mu się jeszcze raz szturm spróbować, t. j. wyczekać aż mu kozacy na nos spadną. Tak się też i stało.

Gdy po straconym szturmie nadeszli kozacy, w wojsku powstało zamieszanie. Jednak prędko w sprawie stanęli, hetman rzucił się na most z kilkudziesięciu dragonami i kilku chorągwiami kozaków, i odstrzelał nieprzyjaciela ⁵⁾. Niebezpieczeństwa w istocie żadnego nie było, gdyż rzeka znacznie wezbrała; ale czeladź luźna i część towarzystwa z pod różnych chorągwi uciekać poczęła, inni pijani rabowali wozy i toczyli bój między sobą. Wojsko, przestawszy w szyku do północy i nie doczekawszy się napadu, odeszło wprawdzie w porządku, ale porzuciwszy wozy i działa, a także rannych ⁶⁾. Mocno to zmartwiło hetmana. Uczuł po niewczasie wyrzuty. Sarkało na niego i wojsko, wozy straciwszy, mając strudzone i znędnione bezowocną pracą konie, i to wszystko jedynie przez nieudolność i niedołęztwo wodza.

Współczesny autor dyaryusza przyczynę tej katastrofy przypisuje emulacyi między Kalinowskim i Lanckorońskim, który chciał sobie coś przyznawać przed hetmanem polnym; a także nieposzanowa-

¹⁾ U Michałowskiego dyaryusz i Kostomarów, t. II, s. 100. Zob. mapkę nr. 2-gi. ²⁾ tamże. ³⁾ tamże, rękopism biblioteki Ossolińskich, n. 224, k. 1,104. ⁴⁾ tamże, tenże rękopism, s. 1,106. ⁵⁾ tamże. ⁶⁾ tamże, tenże rękopism, s. 1,106.

niu starszyny wojskowej od żołnierza, i żołnierza od starszyny ¹⁾. Ale cała odpowiedzialność spada na hetmana, który pozwolił nad sobą przewodzić i nie umiał utrzymać swój powagi i porządku w swym wojsku. Był to człowiek osobiście waleczny, ale słabiej głowy i charakteru, a jednak ufny w siebie i lekceważący nieprzyjaciela, może dla tego niedbały i ociężały w działaniu, a nadto uparty, co jest też ciasną głową oznaką, zupełny prototyp Skrzyneckiego.

Przybywszy do Baru 24 marca, rozłożył Hetman wojsko swoje po kwaterach. Pułki tak stały: Kalinowski ze swoim w Barze; wojewoda Braclawski w Chmielniku; w-dy Ruskiego pułk w Stanisławowie, wspólnie ze starostą Krasnostawskim (Marek Sobieski), który niedawno przybył. Chorążego koronnego pułk w Braclawiu. Oboźnego koronnego w Brylinie ²⁾. Przybyły w posiłku chorągwie: starosty Żytomierskiego, starosty Halickiego, Kazimierza Piaszczyńskiego i Strubela ³⁾. Z tej dyslokacji pułków znacznie rozrzuconych widać, że się kozaków wcale nie obawiano. W istocie Chmielnicki ciężkim na nich nie był. Nie korzystał z rozproszenia wojska koronnego, co nie świadczy na korzyść jego zdolności wojennych. Kiedy ściągnęły się z kwater pułki do Baru, i kiedy wystąpiły z tego zamku do Kamieńca—dokładnie nie wiadomo.

Marek Sobieski, z obozu pod Cynkowem, pisze 6-go kwietnia, że hetman rozkazał zebrać się wojsku do Baru i do Kamieńca ciągnąć, dokąd i sam wyruszył. Ponieważ spodziewana pomoc, oprócz 14 chorągwi nie nadeszła, nie pozostało, jak odciągnąć nazad. Dodaje przytém: „Poruszyliśmy się nazbyt prędko, i dalekośmy bardzo zaszli, a teraz miejsca sobie znaleźć nie możemy.“ Najzupełniejsza prawda, szkoda, że zapóźno zrozumiana. W istocie Kalinowski, co tak nierozważnie się porwał, nie wiedział teraz, co ma dalej począć, gdyż i w Kamieńcu, w obec potęgi Chmielnickiego, nie mógł być bezpiecznym. A najrozsądniej było, nie zwlekając, iść na ogólny punkt zbioru armii, gotującej się do wojny. Nareszcie choć późno, bo aż 23 kwietnia, po długich naradach, usłyszawszy, że już Chmielnicki swe siły skupił, zdecydował się Kalinowski wyruszyć na połączenie się z królem; a w drodze pod Zerdzią, w dwóch milach od Kamieńca, odebrał o tém wyraźny od niego rozkaz ⁴⁾.

Dowiedziawszy się o zamiarze polaków wyruszenia z pod Kamieńca, już w początku maja, powziął Chmielnicki zamiar odciągnięcia ich i zniesienia. Wydzielił w tym celu ze swój armii silny korpus we 4,000 kozaków z żołdowami tatarami, pod dowództwem Asandy Demka i pułkowników Dzedżałyka i Pawicza, z rozkazem uderzyć na Kalinowskiego jak tylko się z pod Kamieńca ruszy z tyłu, sam zaś z 18,000 miał zająć im drogę przez Tarnopol z czoła ⁵⁾. Ale wojsko koronne wyruszyło pierwój nim kozacy zajęli zamierzone stanowiska.

¹⁾ Kodeks popierany bibliot. Ossol., n. 224, k. 1,106. ²⁾ List Kalinowskiego z Baru z 29 marca do podkanclerzego. ³⁾ tamże. ⁴⁾ Rękopism 224, s. 1,115. ⁵⁾ Kostomarow, t. II, s. 115.

Niezastawszy już Kalinowskiego w Kamieńcu, Demko i Pawicz puścili się za nim w pogoń; Dźedżałyk zaś zajął się szturmowaniem tego zamku, którego bronił Piotr Potocki, syn hetmana razem ze szlachtą podolską ¹⁾. Próżne jednak były usiłowania Dźedżałyka, który ze słabą artylerią i niezręcznymi puszkarzami niczego dokazać nie mógł. Demko zaś z Pawiczem nagnali wojsko koronne, w czym nie dziwnego nie ma, gdyż to nie maszerowało lecz wlokło się; bo wyruszywszy 23 kwietnia z Kamieńca, uszło w ciągu dni 16-tu t. j. do 9 maja, koło 70 kilometrów drogi do Prabużnej. Tylko po 5 kilometrów na dzień robili.

Pierwszą utarczkę, zapewne z przednią strażą kozacką mieli polacy pod Prabużną, gdzie dostali języka, ale nie się od niego dowiedzieć o sile kozackiego wojska nie mogli ²⁾. 10 czy 11, przeszedłszy kilometrów 30 od Prabużnej, i przeprawiwszy się przez Seret pod Janowem, oczekiwali potyczki z nieprzyjacielem, lecz ten ostatni „wódka się pożarł,” jak później języki zeznawały. Nareszcie 12 maja, na przeprawie przez rzekę Strypę pod Kupczyńcami, gdy od strony nieprzyjaciela tylko część obozu, ostatnie wozy zostawały, a przy nich pułk oboźnego koronnego w odwodzie, uderzyła orda z kozakami tak niespodzianie, że ledwie zdążyli przyjść do sprawy. Startszy się jednak z nieprzyjacielem i zajmwszy przeprawę piechotą, do końca ją przebyli. Zginęła przytém część piechoty z pułku Butlera, bo mało ognia dawszy cofać się zaczęła, a jazda z powodu wązkości grobli podtrzymać jej nie mogła ³⁾.

Ośmielony tém zamieszanem nieprzyjaciela, przeprawiwszy się przez rzekę, rzucił się obcesem, i aż pod tabor i pułk obwodowy podpadł. Zakazał jednak hetman wdawać się z nim w bitwę, aby go dalej od przeprawy do lasu odciągnąć. Zbывano go tylko harcami. Dopiero gdy gęsto następować począł, kilka chorągwi i prawie nad rozkaz hetmana do nich skoczyło, i gdy jedni na nich wsiadli, drudzy od lasu przebiegłszy w staw zapędzili, gdzie siła zginęło, a w tój liczbie jeden z dowódców kozackich ⁴⁾, Pawicz; inni wzięci do niewoli, i między nimi i tatarski murza Nasuch i setnik Sabelniczenko.

Skończywszy tak szczęśliwie z nieprzyjacielem, poszli na drugi dzień 13 maja do Pomorzana. Tu dowiedziawszy się, że Chmielnicki zochodzi im drogę, popalili wozy, których mieli po 10 tylko na chorągiew i poszli dalej komunikiem ⁵⁾. Do obozu pod Sokal, pomimo to że szli lekko przybyli dopiero 22 maja. Odległość koło 120 kilometrów przeszli w 9 dni t. j. koło 13 kilometrów na dzień. To daje miarę jak dalece utrudniała ruchy wojska polskiego konieczność żywienia się zasobami od mieszkańców, przez picowanie czyli jak dzisiaj furazowanie, zdobywanemi.

Tak bezowocnie skończyła się ta przedwczesna wyprawa Kali-

¹⁾ Kostomarow, t. II, s. 115. ²⁾ Kodeks popior. Ossol. n. 224. Zob. mapkę nr. 3-ci. ³⁾ tamże. ⁴⁾ tamże. ⁵⁾ tamże.

nowskiego. Ze 12,000 pięknego, dobrze wymoderowanego wojska przyprowadził on ledwie 5985 żołnierzy, konie zgnęzione, chorągwie kuse, towarzystwa nie mało, a czeladzi wielka liczba pieszo, a przy tém straciwszy obóz i armaty. Inaczej być nie mogło.

Nie wiedział Kalinowski czego chciał, i dla tego nie wojował, lecz wałęsał się i to nadzwyczaj ociężałe, kierując się pierwszą lepszą myślą lub fantazją, jaka mu do głowy trafiła. Z niewielkim korpusem nie mógł mieć zamiaru bezpośredniej walki z Chmielnickim i przywiedzenia do posłuszeństwa kozaków; a palenie miast, ścinanie ludu i choćby wytepienie kilku tysięcy kozaków, drażniło tylko, jątrzyło lud, i żadnych istotnych korzyści przynieść nie mogło. Słowem było to drażnienie i krwawienie rany, do której wygojenia potrzebna była wielka operacja. Z korpusem we 12,000 dobrych żołnierzy, jakich miał Kalinowski, można było nie mało dokazać przeciw kozakom, jak w owym czasie rozdzielonym i rozrzuconym na znacznej przestrzeni; ale nie z głową Kalinowskiego, który nie umiał ani ufności ku sobie obudzić, ani powagi hetmańskiej i porządku w swoim wojsku utrzymać.

Odbierane od hetmana pełne wiadomości o smutnym i niebezpiecznym położeniu kwarcianego wojska, w obec zbliżających się tłumnych zastępów kozackich, zniewoliły króla do przyśpieszenia odjazdu z Warszawy. Już 13 kwietnia 1651 r. wyruszył w towarzystwie małżonki, otoczony dworem do Lublina, dokąd przybył 20 kwietnia. Ztąd rozesłał trzecie wicie na pospolite ruszenie, i napominał żołnierzy, aby się śpieszyli do obozu, lecz ich zwyczajna chęć łupieżstwa wstrzymywała rycerzów ¹⁾.

W pierwszych dniach maja, wyjechał Jan Kazimierz przez Krasnystaw i Uchanie do Sokala. Dwór towarzyszył mu do Krasnostawu. Królowa chciała z nim jechać dalej i dzielić trudy obozowe; jednakże król i senatorowie uprosili ją, że powróciła do Warszawy, gdzie wspólnie z prymasem, mogła radzić o pokoju wewnątrz kraju ²⁾. 16 maja przybył Jan Kazimierz z 6,000 żołnierzy do Sokalu, gdzie podług nowego rozporządzenia wojsko zbierać się miało. Początkowo miejscem zbioru wyznaczony był Stary Konstantynów, lecz ten był przez nieprzyjaciela ubieżony. W Sokalu zastał król hetmana wielkiego koronnego Potockiego z 7,000 ludzi, a jak wiadomo wprędce potem nadsięgnął i Kalinowski ³⁾.

Chmielnicki, po niedozłych względem wojska koronnego zamyślach, udał się do Kamieńca w celu zdobycia tej twierdzy. Stracił tam kilka szturmów i widząc, że nic zdziałać nie może, ruszył 19 maja do Zbarażu—Tarnopola, gdzie się obozem położył, postanowił oczekiwać przybycia Chana ⁴⁾.

¹⁾ Albrycht Radziwiłł, s. 435. ²⁾ tamże, s. 436. ³⁾ tamże, s. 437.

⁴⁾ Kostomarow, t. II, s. 118.

W takim położeniu wojska koronne z królem pod Sokalem, a kozacy z Chmielnickim pod Tarnopolem—Zbarażem, stały długi czas przeciw sobie nic nie przedsięwzięjąc. Kozacy mieli 90,000 piechoty i 12,000 jazdy, razem 102,000, prócz Czerni, której liczyli na 100,000 ¹⁾. Ile było wojska koronnego, które ciągle się powiększało, nie wiadomo. Komput wojska, ułożony na sejmie był następujący ²⁾.

<i>Jazdy.</i>		<i>Piechoty.</i>	
Usarzów	3,050	Cudzoziemskiej	9,500
Kozaków	15,850	Węgierskiej	2,000
Arkebuzerów	700	Dragonii	2,000
Rajtarów	3,300	razem	<u>13,500</u>
razem	<u>22,900</u>		

A wszystkiego, prócz polskiej piechoty (zapewnie wybrańców) 36,400; ale ta liczba nie prędko się zebrała. Na popisie 27 maja uczynionym, okazało się chorągwi królewskiej usarskiej 400 ludzi, a innej jazdy polskiej 18,000. Ilość cudzoziemskiej jazdy i piechoty, na lustracyi 3 czerwca odbytej, było 7073, a wszystkiego razem 25,073 ³⁾. Albrecht Radziwiłł liczy w połowie maja wszystkiego wojska pod Sokalem na 30,000 ⁴⁾, liczba, która może być bliską do prawdy, jeżeli do powyższej cyfry dodamy piechotę polską.

Znajdujemy w każdym razie na stronie Chmielnickiego znaczną liczebność przewagę siły. Dla czegoż pomimo tej przewagi, nie rozpoczyna działań zaczepnych przeciwko królowi? Wiemy wprawdzie, że oczekiwał na tatarów, i że każdy rozumny wódz nie gardzi powiększeniem sił swoich, przed wystąpieniem do stanowczej akcji. Miał jednak i bez tych sprzymierzeńców potrójną liczbę żołnierza i musiał wiedzieć, że i polacy nie ściągnęli jeszcze wszystkich sił swoich. Miał więc dostateczną zachętę i powody do rozpoczęcia kroków zaczepnych, a jednak Chmielnicki się ociąga. Przyczyny tej zwłoki musimy szukać w stosunku wartości bojowej, organizacyi, sposobu wojowania, dyscypliny, wytrwałości i innych przymiotów wojsk obustronnych. A naprzód co do porządku i dyscypliny, czyli jak w one czasy nazywano „ryzy wojenné.“

Pod tym względem wojsko koronne znacznie przewyższali kozacy. Chmielnicki był dla nich bohaterem narodowym, opromienionym sławą niedawnych zwycięstw. Kozacy widzieli w nim obrońcę swych swobód, a czerńi wybacę od pańszczyzny i uległości panom. Mieli więc moralne pobudki do posłuszeństwa. Z drugiej strony znał Chmielnicki swoich ludzi, umiał im imponować i nakazywać pokorę, a względem zuchwalców i wichrzycieli rozrządzał władzą życia i śmierci, której w potrzebie bez skrupułu używał. Nie była to więc dyscy-

¹⁾ Rękopis Ossoliń. 224. ²⁾ Ręk. Ossol. nr. 186, s. 405. ³⁾ Rękopis nr. 224. ⁴⁾ Tamże.

plina nałogu, ale moralnego poczucia i strachu, nie mniej jednak skuteczna. Starszyznę trzymał hetman kozacki w takichże korbach jak i prostych kozaków, i chociaż była ona obieralna, mógł jednak niedołęgów łatwo usuwać. Tak więc wódz kozacki znikąd nie spotykał oporu, nikt mu nie krzyżował jego planów, mógł je swobodnie tworzyć i szybko wykonywać.

Nie tak było w wojskach Rzeczypospolitej. Chociaż hetmani obleczeni byli obszernymi prawami, a nawet władzą wymierzania kary śmierci i przedstawiania do szlachectwa, chociaż artykuły „ryzy wojennej“ były surowe, ale ulegało im tylko wojsko płatne czyli pieniężne, które tylko przez sprężystych hetmanów mogło być w ryzie utrzymane, przy akuratsnej wypłacie żołdu. Ale w tém właśnie była bieda, że z powodu powolnego działania śruby podatkowej, z powodu nadużyć podskarbach i poborców, żołd ten nieszczęsny nie dochodził często żołnierza. I to właśnie paraliżowało sprężystość dyscypliny. Trudno było wymagać ścisłego spełniania obowiązków od niepłatnego sługi. Służba Rzeczypospolitej była właściwie dobrowolną umową; niespełnienie zatém warunków jęj z jednej, rozwiązywało od posłuszeństwa drugą stronę. Musieli więc równie hetmani jak i inna starszyzna na wykroczenia i nadużycia swych żołnierzy często przez szpary patrzeć, i więcej prosić niż rozkazywać i oglądać się na to, żeby jaki mal-kontent, wicherzciel, których w wojsku polskiem nigdy nie brakowało nie podmówił żołnierzy do związku.

O dyscyplinie pospolitego ruszenia chyba że zbyt rzadko wspominać. Niepewność i warcholstwo tego wojska sięga jeszcze czasów pierwszych Jagiellonów. Był to właściwie balast, a nawet gorzj, bo pierwiastek demoralizujący i rozkładowy. Szczęśliwym mógł się nazwać król, jeżeli wezwane na wojnę nie skończyło na konfederacyi.

Co do wojsk panów gracyalistów, to pod względem dyscypliny, znajdowało ono w razie przekroczeń obrońców w swoich pułkownikach i rotmistrzach. Sami zaś panowie ulegali jakby z łaski, musieli być głaskani i nagradzani wyższemi w wojsku urzędami, do których prócz urodzenia, majątku i ambicyi, żadnych innych przymiotów najczęściej nie mieli. Ztąd na czele pułków (dywizyi) stały takie osobistości, jak: Szczawiński, Sapieha, Potocki; żołnierze zaś wyższych zdolności i zasług jak Czarniecki, Przyjemski, Marek Sobieski, zajmowali podrzędne stanowiska.

Co do wewnętrznej wartości i ducha wojsk, chociaż w kozakach wrzała nienawiść do panów, chociaż walczyli za to, co im najdroższem po życiu było, za wolność rycerską, chociaż uważali w wojnie z polakami za rzecz godziwą podstęp i wiarołomstwo, przecież wyraźniejszej przewagi ducha nie uwidocznili. Pod Korsunem i Żółtami Wodami zwyciężyli przy pomocy tatarów, a także podstępem i zdradą. Panika pod Pilawcami w wojsku, w którym rządziło wielu, a do tego niedołęgnych przywódców, czyli nikt nie rządził, niczego nie do-

wodzi. Pod Zbarażem z niezliczonymi tłumami nie mogli złamać garści walecznych, a pod Zborowem wygrali znowu fortelem, niespodzianką i tatarami.

Kostomarów w swoim „Chmielnickim“ fałszując liczebny stosunek wojsk, młóci szlachtę cepami i szatkuje na kapustę, a przecież, jak widzimy, dowodów na to przedstawić nie może. Dali wprawdzie kozacy dostateczne dowody swojej odwagi w śmiałych ekspedycjach morskich i napadach na brzegi tureckie; ale te czasy minęły. W epoce, do której się opowiadanie odnosi, kozacy wzięli się do pług i zbabieli. Tylko w zaporoskich mołojcach tłały jeszcze resztki bohater-skiego ducha. Kozactwo rejestrowe wcale go nie posiadało. Ale nawet w najświetniejsze czasy podnosili kozacy aż do Żółtych Wód i Korsunia ciągłe porażki od wojska koronnego. Nie wymieniając drobniejszych, wskażemy na Lubny i Kumejki, gdzie 4,000 kwarcianego wojska odniosło świetne zwycięstwo nad 18,000 kozaków pod Pawlukiem. Ztąd żołnierz powziął nawet niejaką pagardę do kozaka.

Różnica w sposobie wojowania polaków i kozaków pochodziła głównie z różnicy w składzie wojska. Pierwsze przeważało w jeździe, a drugie w piechocie. Piechota kozacka uzbrojona w szable i samopały dobrze się broniła, ale w taborach i zamkach. Lecz tabor sam przez się w polu jest narzędziem ciężkiem, nieobrotném i zajmującym, nie wszędzie użyty być może. Dobry jest w ostateczności, ale sama ostateczność jest już złą. Przypóm czas walki w taborze jest zawsze ograniczony, i chociaż kozacy mieli dobre opatrzenie i dostatek żywności, ale musiał przyjść czas kiedy się ona wyczerpywała. Co do jazdy, to nie mogła ona iść w żadne porównanie z jazdą polską. Siedziała na nędznych koniach i za wiele strzelała. Bauplau powiada, że widział jak 200 jeźdźców polskich rozproszyło 2,000 kozaków; chociaż 100 ich w taborze nie ulękną się 1,000 polaków. Zkąd wnosi, że gdyby konni kozacy byli tak waleczni jak piesi byłiby nie zwyciężeni. Atakowali zwykle kozacy ławą, długą lecz cienką linią, którą starali się oskrzydlić nieprzyjaciela. Linią tę łatwo przerywali polacy swemi ścieśnionemi i głębszemi chorągwiami, a przeciw oskrzydleniu zapobiegali tylnemi liniami i odwodem. Sposób zaopatrywania w żywność żołnierzy był w obu wojskach jednakowy. Ale kiedy kozacy mieli jej zawsze podostatkiem, a w braku, umieli się ograniczać i bez szemrania znosić głód a także zimno, upał i wszelkie niepogody i trudy od życia żołnierskiego nieodłączne, polacy w skutek nieogłędności i nieporządku często doznawali niedostatku. Wezwyczajeni do zbytku ciągnęli ze sobą rozmaite sprzęty do wygod i rozkoszy życia potrzebne, a co za tém idzie: wielkie obozy i mnóstwo nieużytecznego ludu. I nie chcieli się rozstawać z temi wozami, w których widzieli ostatnią deskę ratunku swych wygod. Trudów wojennych, życia obozowego nie cierpieli, zkąd i wojny samęj nienawidzili. Zdolności i charakter wodzów były wcale różnej miary.

Chmielnicki, jako wyniesiony igraszką losu z setnika na hetmana, ani mógł studyować ani nabyć przez doświadczenie, na małym swym stopniu służebnym, znajomości sztuki wojennej; ale posiadał chłopski spryt i dowcip, i głowę pełną wybiegów i fortelów. Zrobić zasadzkę, napaść niespodzianie, przeciąć odwrót, zaskoczyć w trudnym miejscu, gdzieś na przeprawie rozdzielone siły i inne w tym rodzaju stratagemy i sposoby były mu znane. Im też zawdzięcza swoje zwycięstwa, a jeszcze więcej wiarołomstwu i niedołęztwu hetmanów koronnych. Ale rzecz pewna, że gdyby miał przeciwko sobie Wiśniowieckiego, jako hetmana, nie uszedłby losu Nalewajki i Pawluka i całe kozackie powstanie, które go tak wysoko wyniosło, i miało nieobliczone skutki, byłoby w zarodku stłumione.

Takie to ma znaczenie dobór ludzi na ważne stanowiska. W tém też był wielki brak urzędzeń Rzeczypospolitej, że takie posady jak hetmańska dożywotniami były, i ci dożywotni i niedołęzni hetmani więcej przynieśli szkody, aniżeli zdolni mogli odnieść, przy znanych warunkach ich obowiązku, korzyści. Jan Kazimierz dowodził austryackim pułkiem, walczył z Francuzami, otarł się o sztukę wojenną europejską i jako człowiek inteligentny, musiał coś z niej przyswoić sobie, a przynajmniej nauczyć się tego, co się poznać daje okiem i postrzeżeniem. Odznaczał się też czynnością, energią, przedsiębiorczością, był waleczny, przytomny, nie tracił głowy w trudnym położeniu i umiał szybko i trafnie się rozporządzić, jak tego Zborów dowodzi, a jako potomek Wazów kochał wojnę.

Mieli więc Polacy przewagę w meztwie, w szyku, sposobie wojowania, mieli tu niepośledniego wodza w swym królu, gdyby go słuchać chcieli, a więc niewątpliwą przewagę na polu bitwy, ale w prowadzeniu wojny ustępowali kozakom. Z wojskiem źle opatrzonym, ociężałym przez swe niezliczone wozy, niesforem z braku dyscypliny w wykonaniu każdego planu wojennego napotykało się na przeszkody, bo trzeba było w pierw wojsko, t. j. starszyznę do niego nakłonić, niepodobna było z czasu i przyjaznych okoliczności korzystać, ani też owoców ze zwycięstwa wyciągnąć, gdyż po wygranej każdej żołnierz, a głównie starszyzna o tém tylko myślała, jakby co prędzej do gospodarki, interesów, żony i dzieci, do wezsu, pierzyny i smacznych półmisków powrócić. Do wojny stosowniejsze było wojsko kozackie. Chociaż i ono nie odznaczało się szybkością ruchów, ale było wytrwałe i posłuszne, mógł z niem hetman jak i kiedy chciał wykonywać swoje zamiary i eksploatować zwycięstwa. Znał doskonale wartość wojska koronnego Chmielnicki, z którym odbył niejedną wyprawę i stosunek, jaki zachodził między nim a jego kozakami i czernią, i tém tłómaczy się jego ociąganie; bo czas był wrogiem Polaków, a spotkanie z niemi niebezpieczne. Wolał więc zaczekać na Tatarów.

Co do tych ostatnich, to najgroźniejszą była ich liczba, którą zwykle nieliczne armie polskie mogli opasać i pozbawić pożywienia, a potem ich obrotność, lekkość i zwinność, w skutek której walczyli

kiedy chcieli, a kiedy chcieli uchylali się od bitwy. Wytrwałość ich na zimno, upał i niepogody były nadzwyczajne, a pożywienie mało co różniące się od pożywienia pierwotnych ludzi; składało się bowiem z surowej prawie koniny, a ścierwem nie gardzili, małą zaś t. j. małyga prosiana była dla nich przysmakiem. Wojsko tatarskie składało się jedynie z jazdy, uzbrojonej w szable i łuki z sajakiem o 18—20 strzałach. Mieli prócz tego u pasa: nóż, krzesiwo i 5—6 sążni skórzanego sznura do wiązania jeńców służącego. Każdy z nich nadto był zaopatrzony w kwadrant norymberski (zapewnie bussolę?). Bogaci przywdziewali zbroję, ubodzy zaś szli na wojnę w zwyczajnej odzieży. Mieli ręce konie-bachmaty, na których 20—30 mil (francuzkich) bez odpoczynku przebiegali. Ale siedzieli na nich ohydnie, na krótkich strzemionach, podgiąwszy kolana; kład wyglądali, jak małpa na charcie (Bauplan). Taktyka ich zajeżdżała głównie na strzelaniu z łuku, z którego strzały leciały dwa razy dalej, aniżeli kule z ówczesnej broni palnej i o 60—100 kroków mogli trafić w nieprzyjaciela. Szyku porządnego nie mieli; a stawali do boju i potykali się nieformalnymi tłumami. Szyk porządnym u nieprzyjaciela im imponował. Zajeżdżli wtenczas ze skrzydeł, szczególnie z lewego, bo na niego zręczniejsi im było puszczać strzały, zagrażali tyłom; a co najwięcej przejeżdżali przed czołem kupa za kupą, wypuszczając strzały do szeregów i to powtarzali razy kilka, zawracając i przechodząc z tyłu swoich. Jeżeli zaś to wszystko nie skutkowało i nieprzyjaciel stał nieporuszenie, lub zaczynał nacierać, to zmyślali ucieczkę, wypuszczając w pełnym biegu strzały przez lewe ramię. Gdy ich ścigano zatrzymywali się, wypuszczali strzały i uchodzili dalej, ufni w ręcość swych koni. Lecz jeżeli postrzegli, że ścigający utracił porządek i posiłków za sobą nie ma, natychmiast obracali się i przechodzili do zaczepki; a w takim pojedynczym boju, że byli doskonali harcerze, najczęściej pokonywali nieprzyjaciela.

Wypadałoby mi tu dać opis teatru, na którym się działania téj wojny odbywały. Ale jedno, że oblicze kraju znacznie się zmieniło; wiele lasów wycięto, wiele błot i trzęsawisk wyschło. A potem, o strategii naszym wodzom jeszcze się nie śniło. Obchodzili się bez magazynów i dépot, równie jak bez szpitalów. Nie zakładali podstawy działań, nie dbali o komunikacye. A więc liczba i stan dróg, również jak węzły tychże, jako strategiczne punkta, nie miały tego co dzisiaj znaczenia. Nie uwzględniał się téż tak dalece charakter teatru wojny, odkryty lub pokryty lasami, równy lub poprzecinany. Ani téż rzeki z ich przepawami i góry z ich przejściami nie stanowiły linii obronnych. Ograniczam się jedynie na załączeniu mapek, ze wskazaniem rzek, jako linii naturalnych, po wsze czasy do oryentowania się służących, a także miast i wiosek, o których tu mowa, dla uprzytomnienia czytelnikowi wzajemnego położenia i ruchu wojsk toczących wojnę.

Gdy już wojska dużo się w obozie zebrało, przystąpił król 27 maja do popisu pieniężnych chorągwi równie starego jak nowego zaciągu;

a że trudno było w jeden dzień tę operacją odbyć, rozdzielono wojsko na troje: jazdę polską, jazdę i piechotę cudzoziemską, i węgierską i polską piechotę ¹⁾.

Odbywał się więc wspomnianego dnia popis jazdy piętnej polskiej. W tym celu wyprowadzono ją za Bug, gdzie stojącą w szyku Jan Kazimierz objeżdżał i wszystkie pułki rewidował; a potem przy przechodzie przez most, w obec króla, orszakiem wyższych urzędników otoczonego, pisarz polny koronny, Zygmunt Przyjemski, chorągwie popisował, i rejestra o liczbie ludzi i koni od rotmistrzów i poruczników odbierał ²⁾.

Dla bezpieczeństwa i uchylenia możebnej ze strony nieprzyjaciela jakiejś niespodzianki osadzono wały piechotą, równie cudzoziemską jak i polską, i prócz tego wyprowadzono w pole 2000 jazdy cudzoziemskiej, ludzi podkanclerzego W. Ks. Litew., Sapiehy, i chorągiew usarską królewską, pod którą było do 400 pniań ³⁾.

Okazało się jazdy polskiej na tej lustracyi 18000. 3-go czerwca popisywano jazdę i piechotę cudzoziemskiego autoramentu niemiecką. Naliczono tego wojska: jazdy 1733, piechoty 4264 i dragonów 1076 ⁴⁾.

1) Rękopism N. 224. 2) Tamże. 3) Tamże.

4) Kodeks papierowy N. 224. Przy przepuszczaniu pojedynczo przez most 3-go czerwca w obec króla wojska cudzoziemskiego, znalazło się:

Rajtarya.

Regiment ks. Bogusława Radziwiłła.

Prowadzono 4 konie i jezdnych za nimi trębaczy 6.

Kompanie tego regimentu.

Buttler	koni 134
Ternhausen	„ 93
Kamher	„ 90
Bokum	„ 90
Perbant major	„ 84
Dębiński	„ 96

Razem 587

Regiment ks. kurlirsa Brandenburskiego.

Wolrat	koni 88
Maidel	„ 87
Kompania samego pułkownika	„ 37
Sakien	„ 48
Essen	„ 79
Metz	„ 63

Razem 402

Stanisław Dönhof s-ta Wieluński	koni 192
Bogusław Leszczyński	„ „ 117

Regiment w-dy Malborskiego Weyhera.

Szafgocz	koni 114
Ful	" 91
Giral oberstwachmistrz	" 78
Zawadzki	" 71
Zernitz	" 81

Razem 435

Wszystkiego rajtaryi . . . 1733

*Piechota.**Regiment króla JMci.*

Wolf oberster	144
Racki	152
Giża major	153
Cymerman	162
Wejlbruch	162
Wall	161
Buttler oberster lejtenant	163
Wall	162

Razem 1259

Regiment Bogusława Radziwiłła.

Frejtag	142
Gulden	143
Stratz	123
Wall major	174
Berg	150
Gos	165
Berg młody	116
Łoś	139

Razem 1152

Regiment królewicza Karola.

Kruż oberster	102
Toniz	87
Szepner	87
Krejz major	87
Szilfeld	80
Oltarzowski	87

Razem 704

Regiment pana Honwalda.

Szenk oberst lejtenant	84
Bieliński porucznik	89
Suski	92
Kostka	93
Trembek major	90

Suski	83
Ostap	86
Glikspan	87

Razem 704

Regiment p. Jana Rozrażewskiego.

Flamm kapitan lejtenant	95
Oberster lejtenant	102
Lipka	126
Morawa	101
Szulka	104
Bojanowaki	91

Razem 619

Wszystkiego piechoty . . . 4264

Dragoni.

Dragonów króla	150
--------------------------	-----

Regiment w-dy Malborskiego (Weyhera), zimową
kampanią zrujnowany.

Malzan major koni	34
2-ga kompania "	30
3-ia "	27
4-ta "	28
5-ta "	27
Piechotę szli, co im koni pobito	51

197

Regiment p. Zygmunta Przyjemskiego, zimową
wojną zrujnowany.

Kompania samego koni	80
Wdeth "	57
Gloybitz "	49
Pieszycy szło "	17

203

Regiment p. Henryka Döhnhofa także zrujnowany.

Kompania samego koni	75
Flik oberst lejtenant "	79
Copius "	69
Pieszycy szło "	73

291

Regiment p. Korfa także zrujnowany.

Kompania samego koni	57
Perpce "	57
Jakób Bazel "	44
Buttler "	77

235

Wszystkiego dragonów . . . 1076

5-go lustrowano węgierską i polską piechotę, których znaleziono: pierwszój 23, a ostatniej 31 chorągwi ¹⁾.

Do obozu codzieln prawie przybywały nowe roty i pułki i prezentowały się królowi, a mianowicie ²⁾:

21 maja przedstawiał swoje chorągiew Dymitr Wiśniowiecki.

26 prezentowali królowi trzej bracia Lubomirscy 18 chorągwi.

28 maja lustrował król przybyły pułk rajtaryi Albrechta Radziwiłła i synowca jego 3 pułki.

29 przybyło 100 piechoty kasztelana Bełzkiego.

1 czerwca w-da ruski przyprowadził 3 chorągwie kozackie i innych różnych 7.

3 czerwca przysłał królowi 100 rajtarów elektor Brandenburski.

5 „ dwaj bracia Piaseccy przywiedli zebrany swoim sump-tem pułk jeden.

6 czerwca prezentował Radziejowski swoje rajtaryą.

7 „ przybył do obozu Zamojski starosta Kałuski z 1,100 swoich żołnierzy dobrze przybranych. Tegoż dnia Duplessy przyprowadził piechoty cudzoziemskiej 6 chorągwi.

10 czerwca darował królowi 100 jazdy, z własnego worka zaciągnionych szlachcic Fredro.

Razem zaś wojska cudzoziemskiego niemieckiego.

Rajtaryi	1733
Piechoty	4724
Dragonów	1076
Suma	7073

¹⁾ Kodeks papierowy Bibliot. Ossolińs. 224. Z 23 chorągwi węgierskiej piechoty (hajduków), znajdujemy poszczególne wyjaśnienia chorągwi jednego tylko pułku Nakielskiego.

Hajduków 14 około niego z muszkietami, w srebrze kapitani.

Włostowski	105
Kurdwanowski	102
Lubowicz major	96
Gusso	96
Przybylski	111
Herberg	98
Rulak	92
Majer	101
	801

Szwadron Koniępcolskiego Stanisława.

Kompania samego	81
Witun	84
	165

²⁾ Albrecht Radziwiłł s. 439.

12 czerwca przybyło do obozu kilkuset żołnierzy Dönhofa i podskarbinsy koronnej wdowy.

A od 7—11 czerwca zaczęła przybywać szlachta pospolitego ruszenia ¹⁾ i tegoż 11-go król obierał miejsce dla ich obozu ²⁾.

Król był ciągle czynny. Kazał usypać około obozu porządne wały. Rozsyłał ciągle podjazdy dla zasięgnięcia wiadomości o nieprzyjacielu. Wprawiał w ryzę wojenną i rozkazał dwóch rotmistrzów Pawłowskich za nadużycia i gwałty publicznie na Majdanie dla przykładu śmiercią ukarać. Zajmował żołnierzy ćwiczeniami i manewrami; z czego się starzy wojskowi śmieli, jak równie zarzucali mu, że obce porządki w wojsku polskiem wprowadza ³⁾.

Znał te porządki Jan Kazimierz ze służby w wojsku austryackiem. Był nadto otoczony cudzoziemcami, między którymi znajdowało się wielu światłych oficerów. Nic więc dziwnego, że starał się wprowadzić niektóre reformy i ulepszenia, znane w wojskach europejskich, które w ciągu wojny 30-letniej znacznie postąpiły. Ale nie były to czasy Zygmunta i Batorego. Polacy prawie zaprzestali zwiedzać Europę i nabierali zarozumiałości i dumy narodów zacofanych.

Mogło być do tego i samo zaprowadzenie form i sposobów obcych, nieumiejętne, nie zastosowane do miejscowych warunków. Tak np. zarzucają królowi, że obowiązki strażników, oboźnych i sędziów, pomimo zajmujących te posady osób, kazał pełnić cudzoziemcom, których nikt słuchać nie chciał, z kąd pochodził zamęt i nieporządek w obozie.

Trudno było coś począć z obyczajami, w państwie tak konserwatywnym jak Polska, i napróżno się Jan Kazimierz na nie porywał. Naznaczając cudzoziemców, postępował on nie bez powodu. Zapewne znajdował ludzi zajmujących miejsca strażników, oboźnych i sędziów nie odpowiadających swemu przeznaczeniu; a że nikt z rodaków nie podjąłby się ich zastąpić, jako dożywotnich, zmuszony był naznaczyć obcych. Ale nieulega wątpliwości, że tym postępowaniem nietylko uraził sobie osoby, które jakby samowolnie rugował z posad, ale i całe wojsko za nieuszanowanie jego obyczajów.

Zebrałe w obozie wojsko podzielił król na 10 dywizji, z których pierwszą, złożoną z 8—12 tysięcy żołnierzy zostawił przy sobie. Innych w liczbie od 2—4000 w każdej ⁴⁾ dowódcami naznaczył: hetmanów Potockiego i Kalinowskiego, w-dę brzeskiego Szczawińskiego, w-dę ruskiego Jeremiasza Wiśniowieckiego, w-dę podolskiego Stanisława Potockiego, m-łka koronnego Jerzego Lubomirskiego, w-dę bractawskiego Stanisława Lanckorońskiego, podkanclerzego litewskiego Lwa

¹⁾ Rękopism 224. S. 1131 podług rękop. N. 225: 7-go czerwca już miały być posp. rusz. w-dztw: Lubelskiego, Bełzkiego, Chelmskiego, Podlaskiego, a Sandomierskie przyjsć miało 11-go. ²⁾ Albr. Radz. str. 441.

³⁾ Kostomarow T. II, st. 120, Kubala s. 244. ⁴⁾ Rękopism N. 225.

Kazimierza Sapiehę i chorążego koronnego Aleksandra Koniecpolskiego ¹⁾.

Służba polowa, stráže i zwiady odbywały się starannie, pilnie i troskliwie. Gałąź ta służby u Polaków nie ustępowała w niczem praktykowanej w wojskach europejskich.

Podjazdy codzien prawie przyprowadzały jeńców kozackich ²⁾. Zeznania ich znacznie się między sobą różniły. Jedni powiadali, że Chmielnicki zostaje w Tarnopolu; drudzy, że idzie na Sokal; inni że poszedł na Dubno i Otykę, to znowu inni, że tylko część wojska wystął na Sokal dla spróbowania szczęścia z Polakami, i że oczekuje Tatarów.

Prawdą jednak było, że Chmielnicki stał zawsze pod Tarnopolem-Zbarażem i oczekiwał przybycia Chana. W wojsku jego powstały zaraźliwe choroby, tak że 260 wozów trupa wywieziono i głód w skutek leżenia w kraju, poprzedniami wojnami zniszczonym, przez co zmuszony był posyłać w dalekie okolice Wołynia i Polesia dla zebrania żywności i furazu ³⁾.

Wieści o nieprzyjacielu wywierały naturalnie wpływ na zamiary i postanowienia króla i jego rady, i zmieniały się ze zmianą tych wiadomości. Posądzano go za to o niestałość ⁴⁾. Ależ decyzye i plany działań muszą się zmieniać stosownie do położenia i zamiarów nieprzyjaciela, a więc i podług wiadomości o nich.

Gdy Chmielnicki długo się ociągał z rozpoczęciem kroków zaczepnych i siedział beczynnym, obawiając się, żeby się na Ukrainę nie cofnął, powziął Jan Kazimierz myśl przeniesienia obozu do Beresteczka, z zamiarem uprzedzenia go w drodze do Kijowa. Wystął więc 9-go maja chorążego koronnego z 2500—3000 jazdy, z rozkazem zajęcia Beresteczka i przepraw na Styrze ⁵⁾.

Gdy potem 11-go czerwca doszła wieść, że już Chan z Chmielnickim się połączył, w oczekiwaniu z ich strony kroków zaczepnych zdecydowano się pozostać na miejscu. W skutek czego odwołano Koniecpolskiego i oddano rozkazy lepszemu opatrzenia wałów, i przeniesienia się do obozu dla tych, którzy zewnątrz onego stali. Otrąbiono także przy hasle, ażeby żołnierz w żywność się zaopatrzył ⁶⁾, która się już zaczęła wyczerpywać. Szczególnie kwarciani, bez żadnych zasobów z kampanii zimowej przybyli, głód cierpieli. Zagrozili nawet, że pozbawieni koni wozowych i pocztowych, czeladzi, rysztyunku i wszystkiego, czego dobremu wojownikowi potrzeba, ruszy się w pochód nie będą mogli, póki nie otrzymają jakiego zasiłku ⁷⁾.

Nie było jednak żadnych środków do zadosyć uczynienia tym słusznym wymaganiom. Zrewidowano depozyta szlacheckie w Sokalu

¹⁾ Moraczewski s. 80. ²⁾ Rękopism 224. ³⁾ Kustomarov T. II, str. 118, 121. ⁴⁾ Rękopism 224 Bibl. Ossolińs. ⁵⁾ Tamże. ⁶⁾ Tamże. ⁷⁾ Tamże.

złożone, a gdy pożądaných skarbów w nich się nie znalazło, ucieczono się do składki, z której na chorągiew po 1000 zł. i po 7½ złotych na towarzysza (zapewnie na konia) przypadło ¹⁾).

Dla zebrania zaś potrzebnej żywności, piechota i czeladź luźna rozbiegła się po okolicy i zabierając bydło, owce i co gdzie znaleźć mogła, wnet obóz zabezpieczyła od głodu ²⁾).

Współcześni t. j. szlachta z oburzeniem o tém mówi, że król dał pozwolenie na rabunek własnych obywateli, ta szlachta u której grosza podatku wymęczyć nie można było. Pytanie, co miał robić król w takiej alternatywie, gdy nie było pieniędzy w kasie? Rozpuścić wojsko i zostawić bez obrony ojczyznę, albo jak mógł i czém mógł zaspokoić.

Wieść o nastąpieniu Chmielnickiego okazała się mylną i Jan Kazimierz zaczął znowu przemyślać o zmianie miejsca obozowania, a to z tych powodów ³⁾:

1-mo. Od długiego stania i smrodów powietrze psuć się zaczęło i choroby powstawać.

2-do. Ciasnota miejsca, na którym wszystkich sił rozwinąć nie można było, zwłaszcza gdy całe popolite ruszenie się zbierze.

3-io. Las przed czołem obozu, z którego mógł korzystać nieprzyjaciel.

Z tych racyi polecił król Przyjemskiemu t. j. pisarzowi polnemu, a nie oboźnemu, do którego właściwie należało obierać miejsce dla obozu. Oboźnym był syn Kalinowskiego. Widać, że król uważał go za nieudolnego do pełnienia swęj funkcyi, dla tego kazał pisarzowi polnemu wynaleźć dogodniejsze miejsce dla obozu, którego zapewne w pobliżu Sokala nie znalaziono ⁴⁾).

Gdy potém wynikło pytanie dokąd się przenieść? głosy się rozdzieliły ⁵⁾).

Jedni byli zdania iść na Beresteczko, dla tego, że nieprzyjaciel od Wiszniowca nie mógł gdzieindziej zmierzać tylko ku wojsku i — Beresteczka minąć nie mógł, tedy lepiej zawczasu przeprawy tamte opanować, przy których pole do bitwy przestronne i paszy dla koni dostatek, a rz. Styr nie małą wojsku miała czynić obronę. Jeśliby zaś kozacy na Ukrainę rejterować się chcieli, łatwo ku Kijowu zająć im drogę.

Drudzy, mając na pamięci list Chmielnickiego do Rakoczego, w którym go do napadu na Kraków zachęca, radzili iść do Glinian, gdzie i o żywność łatwo i pas do Krakowa nieprzyjacielowi przecięty; po odciagnieniu zaś do Beresteczka, gdy się na Kraków ruszy, mógł wojsko i króla na koszu zostawić. Inni, widząc niesprawę wojska i niedoświadczenie króla i wodzów w prowadzeniu wojny z tak potężnym nieprzyjacielem woleli na miejscu pozostać.

1) Kodeks papierowy Bibl. Ossolińs, N. 225. 2) Tamże. 3) Tamże. 4) Tamże. 5) Tamże.

Niepodobna tu nie zauważyć, jak zdrowe pojęcia o sztuce wojennej panowały w radach królewskich. Stanowisko u Beresteczka odpowiadało w istocie więcej niż Sokal działaniom w znaczeniu zaczepnym i odpornym, dogodniejsze było także (o czem niżej) we względnie taktycznym i gruntowało się na rzeczywistym położeniu rzeczy, które stało przed oczami; tymczasem gdy rada przeniesienia się do Glinian spoczywała na niepewnej supozycji.

Co się tyczy pozostania na miejscu, to na to zdanie zapisała się zapewne najociężalsza i razem najzacofańsza część szlachty, która z własnej ciemnoty, nie rozumiejąc rozporządzeń króla, posądzała go o brak doświadczenia.

Widzimy jednak, że wszystkie propozycje i projekta więcej ciążyły ku obronie. Dla czego, będąc już w znacznej sile, nie szukają spotkania z wrogiem, nie idą wprost na niego? Dawniej i z mniejszemi siłami niezawodnieby dotąd znieśli i skończyli z nieprzyjacielem. Pokazuje to, że wojsku koronnemu, po porażkach pod Zółtemi Wodami, Korsuniem i Zborowem doznanych serce upadło. Tak zwykle bywa na wojnach, że niepowodzenia przygnębiają ducha. Chociaż waleczność jeszcze tak dalece w wojsku nieupadła, żeby nie mogli dać rady kozakom i źródłem porażek były okoliczności zewnętrzne; ale w owe czasy nie zdawano sobie sprawy z wypadków i zjawisk, nie zagłębiano się w wyszukiwaniu ich przyczyn. I to się daje spostrzegać nietylko w tym, ale i w wielu innych razach.

Gdy zapadła decyzja przeniesienia się do Beresteczka powstało pytanie, jako się ruszyć? ¹⁾

(d. n.)

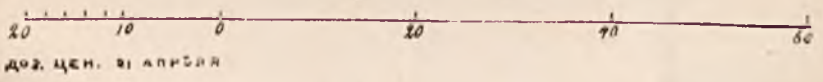
¹⁾ Kodeks papierowy Bibl. Ossolińs. N. 225.



№ 1
MAPKA

służąca do objaśnienia działań hetm. Kalinowskiego w r. 1651.

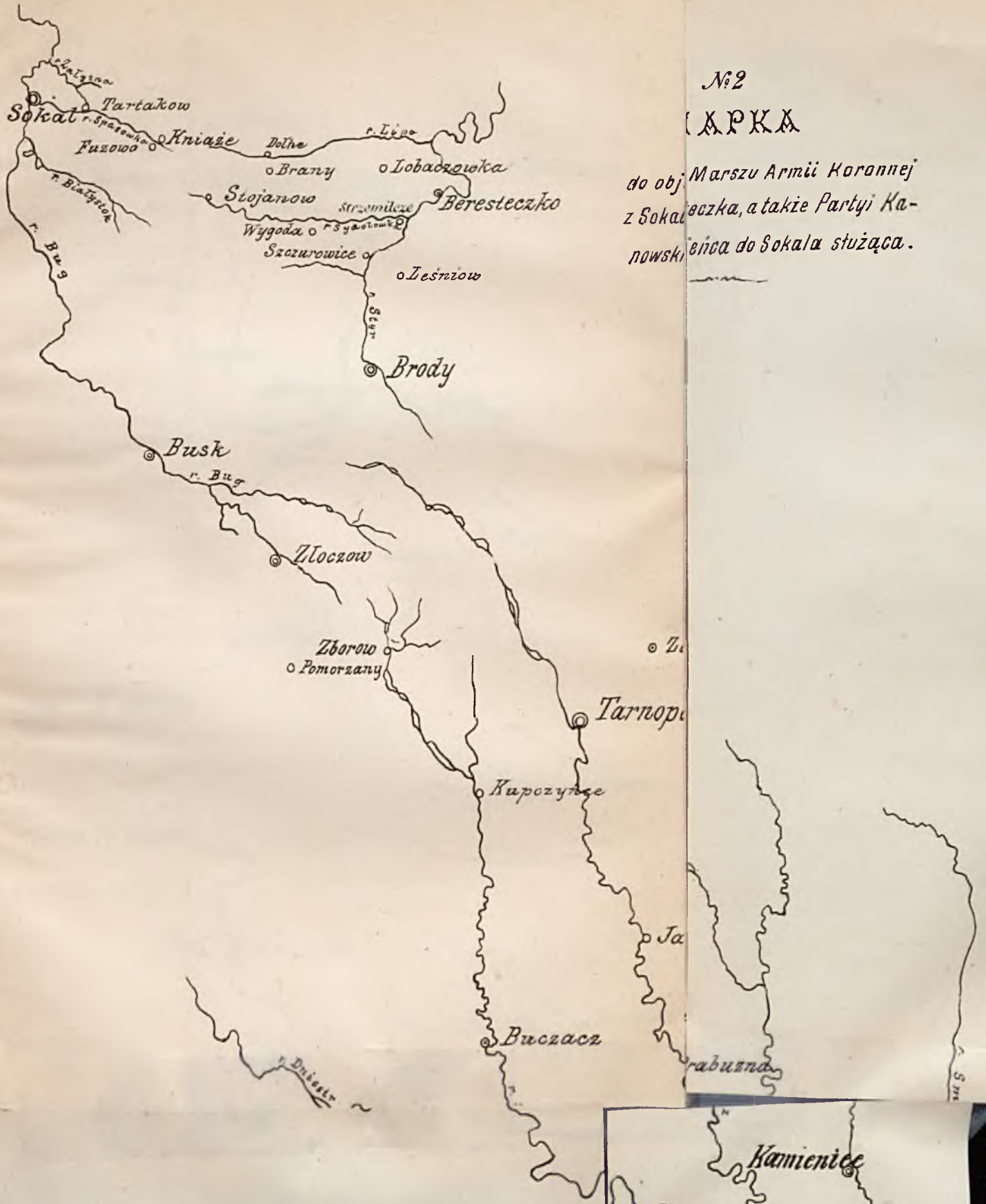
Skala
 $\frac{1}{840000}$ Wielkości rzeczywistej
 20 Wiorst w calu Angielskim



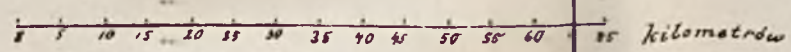
№ 2

КАРТА

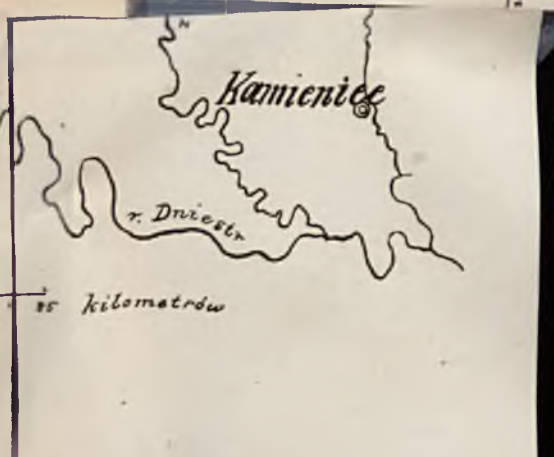
do obj. Marszu Armii Koronnej z Sokalaczka, a także Partyi Kanowskięńca do Sokala służąca.

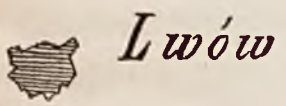


Skala $\frac{1}{884,000}$



ДОЗ. ЦЕН. 21 АПРѢЛЯ





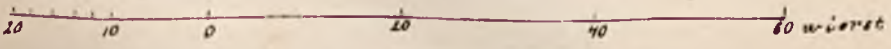
Lwów

№ 3
MAPKA

służąca do objaśnienia działań Polaków i Kozaków poprzedzających

bitwę pod Beresteckiem

Skala
 $\frac{1}{840,000}$ Wielkości rzeczywistej
 20. Wiorst w calu Angielskim



NA SZEROKIM ŚWIECIE.

POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

S e w e r *).

X.

Dalekie szумы, podobne do przycichającej burzy, zbudziły dziewczynę. Usiadła na łóżku, wsłuchując się w tę dziwną muzykę życia miliona ludzi.

— Nareszcie jestem,—szepnęła. Paryż zaczyna żyć, miliony uśmiechów i westchnień, głosów radości i płaczu, zlewają się, tworząc te dziwne gwary. Nareszcie jestem,—zawołała, zarzuciła na siebie szlafrok, na nogi nasunęła pantofelki i pobiegła do okna, podniosła zasłonę.

Bulwary i ulica De la Paix—na prawo kościół Magdaleny. Szeregi olbrzymich domów ginące w przestrzeni i wystawy sklepów błyszczące zbytkiem. Środkiem ulicy mijały się najróżnorodniejsze zaprzęgi: ładowne wozy, obok modnych ekwipaży, omnibusy wypełnione ludźmi i dwókołowe wózki przekupniów. Po obu stronach chodników fale ludzi płynące w jedną i drugą stronę, bez początku i końca. Zajęte wyłącznie sobą, spieszące się, ruchliwe, obojętne na wszystko, co się koło nich dzieje, płynące do nieznanych celów.

Otworzyła okno—jesienne świeże powietrze i gwar uliczny, po nad którym panowały wołania chłopców, roznoszących poranne dzienniki i wykrzykniki przekupniów rozciekawiały dziewczynę.

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. kwiecień b. r.

— Ubrać się, wyjść, zmieszać się z tłumem, biedz z nim razem i dotrzeć tam, gdzie on płynie... Podstuchać jego rozmów, jego pragnień i jego namiętności... Zamknęła cicho okno, przeszła do pokoju matki, uchyliła kotarę nad łóżkiem. Zmęczona podróżą spała. Na palcach wróciła do siebie, ubrała się skromnie, wzięła w rękę parasolkę do kieszeni portmonetkę i wyszła.

Na ulicy, sama nie wiedząc dlaczego uczuła pewien strach, i zarumieniła się, mimowolnie zsunęła woalkę. Pod osłoną gazy zdawało jej się, że jest więcej bezpieczną i pewną siebie. Namysłała się chwilę, w którą iść stronę. Na lewo nęciły ją bulwary i kolumna Bastylli, na prawo kościół Magdaleny i plac Zgody, poszła jednak jako polka prosto ulicą de la Paix zobaczyć kolumnę zwycięstwa.

Z początku nieśmiało i bojaźliwie, oglądając się, szła wolno lub przyśpieszała kroku. W miarę jednak jak się przekonała, że nikt się nią nie zajmuje, nikt na nią nie zwraca uwagi, nabierała więcej odwagi i pewności siebie.

Stanęła na placu Vandôme.

— Wiele potrzeba było krwi do odlania tój kolumny—zapytywała siebie, patrząc na ciemny słup, rzeźbiony dziejami zwycięstw? Dreszcz ją przeszedł, zmrużyła oczy i odwróciła się. Zaledwo pół wieku upłynęło, gdy ludzie wierzyli w szczęśliwego zwycięzcę jak w Boga—dziś... „Szukajmy prawdy jasnego promienia, szukajmy nowych nieodkrytych dróg.“ Poszła na ulicę Rivoli.

Idąc pod arkadami, zatrzymała się patrząc na snujące się tłumy.

— Gdzie ja mam szukać prawdy jasnego promienia? Obok niej przechodzili ludzie jedni za drugimi, spieszący się, obojętni, zajęci sobą i swojemi sprawami. Z ich twarzy zmęczonych pracą, nieosiągniętymi pragnieniami, niezaspokojoną ambycją; z ich ruchów niespokojnych, nerwowych, łatwo można było odgadnąć egoizm i wyostzone instynkta do zdobyczy i posiadania.

— Pusto—szepnęła. Ani jednéj twarzy, opromienionéj ideą i szlachetnemi porywami. Ludzie ci gotowi do walki o posiadanie i nic, i nic więcej.

Przez ogród Tuileryjski dostała się na plac Zgody i oczarowana stanęła. Przed nią Pola Elizejskie, zakończone bramą tryumfalną, kąpały się w słońcu—na lewo pałac Sprawiedliwości, tuż obok niej obelisk egipski, po za nią ogród i ciemne mury Tuilryjskiego gmachu.

— Wspaniałe,—szepnęła, wspaniałe, jestem w samym środku cywilizacji i w najpiękniejszym mieście na świecie, w najpiękniejszym jego punkcie. Zbiegła żywo po kamiennych schodach, odchyliła woalkę i poszła prosto wśród kłębów drzew i zielonych trawników ku bramie tryumfalnej.

Zbliżało się południe. Cały świat elegancki i bogaty, wielkie imiona i miliony przejeżdżały przez aleje Pól Elizejskich do Bułońskiego lasku. Bankierzy i kobiety półświata, strojne, cynicznie uśmiechnięte. Panie z arystokracji powoziły się same. Szyk, wytwor-

ność i wszędzie na każdym kroku ten właściwy Paryżowi smak,—zaimponowały dziewczynie. Przypatrywała się ciekawie powożącym się paniom.

— I Ja się zaprezentuję ze swoją zręcznością myślała. Niech tylko konie wypróbuję i poznam się z niemi. Myśl zwyciężenia tych pięknych pań w mieście świata, na Polach Elizejskich, zawładnęła nią. Nie zwracała uwagi na przechodniów, na bawiące się dzieci, na karuzele, na przekupniów. Nic nie widziała: młodzieży przypatrującej się jej ciekawie, kobiet strojnych, robotników w bluzach nie mających pracy, bladych, ponurych, wygrzewających się na słońcu. Myśli jej pochłonął świat, do którego miała prawo należeć, a który pragnęła poznać i żyć się z nim.

Zmęczona usiadła przy stoliku kawiarni. Usłużny garson oprócz filiżanki czekolady, przyniósł jej paczkę dzienników: Temps, la Republique, i Petit Journal. Pochwyciła ten ostatni, ciekawa plotek i wiadomości dnia wielkiego miasta.

Nieprzejednani zwołują do Hipodromu na walne zgromadzenie swych stronników.

— Ci ludzie nie dadzą się przejednać nigdy i niczem. Zapra gnęta tam iść, zobaczyć, usłyszeć... Gdyby tylko można, gdyby mi było wolno.

W wielkiej operze Hamlet Thomasa—w ciele prawodawczem zapowiedziana na jutro wielka mowa Gambetty. Na Bulwarach wystawa obrazów Courbeta... Wszystko chciała widzieć i słyszeć, wszędzie być.

Zadzwoiła na garsona, podała mu pięciofrankówkę, nie przyjęła reszty i szybko odeszła.

— Albo wygrała zakład, albo zakochana, a niezawodnie cudzoziemka, pomyślał patrząc za odchodzącą. To musi być Angielka. Jest u niej szyk, lecz nie nasz, nie paryżki.

Dziewczyna wracała szybko, bojąc się o matkę, o jej niepokój, przestрах.

— Place de la Concorde, Madlaine, rue de la Paix—zawołał konduktor przed stacją omnibusów. Zatrzymała się, weszła do biura.

— Rue de la Paix powiedziała rumieniąc się, sama nie wiedząc dla czego.

Urzędnik, nie patrząc na nią, podał jej 6-ty numer, wybity na czerwonej, okrągłej dykturze.

Nie wiedziała, co z nim zrobić.

— Idź pani do omnibusu, odchodzi, dodał urzędnik.

Pobiegła, oddała numer konduktorowi, ten jej wskazał miejsce, usiadła, rozglądając się zawstydzona i nieśmiała.

Obok niej siedziała przystojna, dwudziestokilkoletnia francuzka, o białej cerze, ciemnych oczach, czarnych włosach i malutkich, ledwo dostrzegalnych wąsikach. Widocznie pochodziła z południa, co po-

twierdzały nerwowe jęj ruchy, silnie wykrojony kontur ust i ogień w biegających ciekawie oczach.

Zosia zwróciła jęj uwagę na siebie. Rzucała na nią spojrzenia, zobaczyła w uszach brylantowe kolczyki i na ręce białej i wypieszczonęj pierścionek wysokięj wartości.

— Racz, milady—rzekła, robiąc miejsce przysunąć się do mnie bliżęj, będzie ci wygodnięj.

— Dziękuję, odpowiedziała Zosia, lecz dlaczego bierzesz mnie pani za Angielkę.

— Dla czego?.. Bardzo naturalnie—posiadasz pani dystypkcyą angielskięj damy z wielkiego świata

— A mimo to angielką nie jestem—odparła.

— Przebac, pani hrabino,—zawołała—niezawodnie jesteś włośzką. Powinnam się była tego domyślić odrazu.

— Nie włośzką i nie hrabiną.

— A więc... francuzka się zatrzymała, czekając na odpowiedź.

— Polką.

— Biedni polacy, chciała powiedzieć, lecz nie powiedziała. Uważała to za zbyt pospolity frazes w obec tak wielkięj damy. Szlachetny naród odezwała się głośno, i cieszę się, że reprezentkę tego narodu poznaję w pani.

Odezwaniam się tem chwyciła Zosię za serce. Uśmiechnęła się i lekkim skinieniem głowy podziękowała jęj.

— Pani niedawno w Paryżu—zaczęła indagacyą ciekawa francuzka.

— Od wczoraj wieczór.

— Od wczoraj? I chciała dodać: już w omnibusie.

— Za prędko poznałam się z omnibusami wszak prawda? Wyjęczyła ją Zosia.

— Nie, lecz w sam czas, bo pocóż pieniądze na remizy wydawać. Omnibus stanął przed „Magdaleną.“

— Powiedz mi pani, gdzie lepiej wysiąść, chcąc się dostać do Grand hôtél?

— Na rogu ulicy de la Paix—zawołała francuzka.

— Pani mieszka w Grand hôtél?

Zosia poświadczyła skinieniem głowy.

— W tym czasie—mówiła szybko francuzka—zajmuję się ubieraniem kapeluszy w najpierwszym magazynie. Pracowałam dwa lata u Wohrta. Przeczuwam, że pani będziesz potrzebować moich usług. Oto moja karta. Proszę parę wyrazów napisać, a na zajutrz rano jestem.

— Kapelusza potrzebuję dziś—zaraz.

Jakiego? w jakim fasonie,—na ulicę czy do powozu?

— Do powozu, zwykle sama się powożę.

— Pani hrabino, kapelusz będzie za godzinę, pełen e legancyi i gustu. Księżna de Cobourg podobny od nas wzięta, lecz ten, który

przyniosę, będzie ładniejszy. Oto Grand hôtel. Pani hrabina nie życzy sobie przed nim wysiąść—rozumiem. Na stacyi przy ulicy de la Paix będzie wygodniej i bezpieczniej. Otóż i stacya—pani hrabina pozwoli, że ja pierwsza wysiądę, aby jęj podać rękę. Należy wysiąść ostrożnie. Pani hrabino, jestem za godzinę—o kogo mam się pytać w hotelu.

— Apartament na pierwszym piętrze, numeru nie pamiętam.

— Ach to przecież dosyć. Skłoniła się i pobiegła.

Zosia wróciła do hotelu. Nie widziano jęj, gdy wychodziła i zjawienie się jęj wywołało pewną ciekawość.

— Zosiu—zawołała matka na jęj widok—nadręczyłaś mnie tyle godzin. Już chciałam wysłać za tobą pogoń. Wychodzić samęj w mieście, którego się nie zna, jeszcze do tego w Paryżu...

— Mamusiu, mówię po francuzku i przekonałam się, że akcent mój nie był gorszy od akcentu mej nowo nabytęj przyjaciółki.

— Od kogo?

— Przyjaciółki, mamusiu. Poznasz ją niedługo, przyniesie mi kapelus, ładniejszy od kapelusza księżnej Cobourg. Gdy mamusia spała, córka jęj pracowała. Paryż jest piękny, mameczko. Pola Elizejskie...

— Byłaś na Polach Elizejskich sama?

— Niestety. Protegowanemu mamy dałam schadzkę na tych czarownych polach. Zdradził mnie, nie przyszedł. Co za konie widziałam, jakie zaprzęgi, co za wytworność. Paryżanki z arystokratycznego świata umieją powozić, lecz nie lepiej odemnie. Przekona się mama.

— Moje dziecko, pozwól sobie powiedzieć, że tego rodzaju awanturnictwo może cię zgubić.

— Mamo, na zachodzie jest ten barbarzyński zwyczaj, że kobiety same chodzą i nikt na to nie zwraca uwagi.

— Lecz nie w Paryżu, moje dziecko,—powiedziała matka poważnie.

— Rzeczpospolita zaczyna usamowalniać nawet Paryżanki—odpowiedziała również poważnie Zosia.

Matka jak zawsze pokonana zamilkła, lecz smutne myśli i niedobre przecucia opanowały ją. Nie mogła się z pod ich wpływu wydobyć.

Podano śniadaanie.

— Zosiu, musisz być głodna.

Dziewczyna nie śmiała się przyznać przed matką do wypitej filiżanki czekolady w kawiarni. Usiadła przy zastawionym stole i obie w milczeniu zabrały się do jedzenia. Matka nie mogła długo utrzymać obrażonego tonu względem jedynaczki.

— I nic nie mówisz, nie opowiadasz o cudach Paryża?

— Nie śmiem wobec gniewu mamy.

— Zosiu, Zosiu—przerwała jój—czyż nie wiesz, że słabość moja dla ciebie...

— Jest wielkim grzechem—dokończyła dziewczyna i pochylając się, nadstawiała twarz do pocałowania.

Serdeczną tę scenę przerwał garçon, zapowiadając przybycie modniarki.

— Wprowadzić ją—dała rozkaz Zosia. To moja przyjaciółka—szepnęła matce.

Otworzyły się drzwi, weszła francuzka w materyalnej czarnej sukni, za nią dziewczynka, niosąc pudła z kapelusami.

— Otóż jestem, słowność jest podstawą zaufania. A przyznam się, że chciałabym zasłużyć na nie. Na dany znak, dziewczynka postawiwszy pudła wyszła.

— Przeczuję, że i dla pani hrabiny-matki kapelusz będzie potrzebny. Zaczynam od najpiękniejszego, najwięcej fashionable. Otworzyła pudło. Dla brunetki, owal twarzy nieco pociągły. Jeżeli w Paryżu znajdzie się piękniejszy...

Podąła Zosi kapelusz.

Proszę mi pozwolić — włożyła go na głowę Zosi. A teraz racz pani hrabina się przejrzeć i wyobrazić sobie, że się siedzi na koźle ślicznego ekwipażu i powozi pięknymi końmi.

Zosia mimowoli uśmiechnęła się do siebie samą w lustrze. Kapelusz był wytworny, zgrabny i wdzięcznie uwydatniał owal jej twarzy, czarne, duże oczy, usta wąskie, lecz silnie zarysowane i brodę o tyle tylko podłużną, o ile do rysunku owalu jej twarzy było potrzeba.

— Świetnie—zawołała francuzka, zwracając się do matki—jeszcze mi się nie zdarzyło w moim zawodzie, tak od razu dobrać do twarzy.

Matka podzielała jój zdanie, wpatrując się z rozkoszą w córkę.

— Jest kapelusz, lecz cóż, kiedy koni nie ma—powiedziała Zosia, robiąc naiwną minę.

— Koni nie ma — powtórzyła francuzka. — Lecz mogą być. W Paryżu, jak na skinienie róższeczki czarodziejskiej, wszystko z pod ziemi wyrasta. Kuzyn mój, mówiąc to spuściła oczy, zarządzając wielką stajnią tuż zaraz obok pól Elizejskich, nie wątpię, że on znajdzie dla pani hrabiny ekwipaż.

Zosia spojrzała na matkę.

— Poproś pani swego kuzyna, aby się do nas zgłosił — uprzedziła odpowiedź córki. Moja Zosiu—dodała po polsku—wołę, stokroć razy wołę, abyś szalała po Paryżu, siedząc na koźle swego powozu, jak gdybys to samo robiła, biegając po ulicach piechotą.

— A zatem, kuzyn mój stawi się za godzinę, jeżeli panie pozwolą—zapytała francuzka.

— Zgoda, a tymczasem proszę o parę najmodniejszych sukien jesiennych.

— Suknie zrobi Wohrt i z nim raczy się pani hrabina porozumieć.

Francuzka skłoniła się nisko, odchodząc, zatrzymała się przy drzwiach i gdy Zosia nadeszła, szepnęła jej:

— Zawsze na rozkazy jestem gotowa, wierna, dyskretna i nie czekając odpowiedzi wybiegła.

Zosia nie zwróciła na to półtajemnicze pożegnanie uwagi, pospieszyła do matki i stając przed nią zapytała się:

— A więc mama koniecznie chce zrobić ze mnie wielkoświatową damę, imponującą sztuką powożenia na torze pól Elizejskich i Bułońskiego lasku?

— To ty raczej, moje dziecko. Ja cię chciałam mieć pocziwą szlachcianką polską.

— A ja jestem niepocziwą.

— Nie żartuj. Tyś mnie przywiozła do Paryża.

— W takim razie wracajmy, mamó, za trzy dni.

— Na to się nie zgodzę. Miałabyś żal do mnie i w Zalesiu czytałabym w twoich oczach wyrzuty. Nie znalazłaś męża w Krakowie, nie chciałaś go w Dreźnie, może Paryż będzie szczęśliwszy.

— Chcesz mnie gwałtem wydać zamąż?

— Dla mnie chciałabym cię mieć całe życie dzieckiem, lecz cóż, nie chcesz niem być i nie jesteś. Cóż ja biedna uo to poradzę.

— Kochać swoje dziecko takim, jakim jest—i przebaczać mu jego zbrodnie.

— Kocham—odpowiedziała cicho, wyciągnęła ręce, ujęła w nie twarz jedynaczki i pocatowała. Łzy, sama nie wiedząc dlaczego, zaświeciły jej w oczach, lecz ich nie widziała Zosia.

Wszedł kuzyn modniarki w czarnym surducie i cylindrze w ręku—poważny, zamyślony, usiłujący być wytwornym i stanowczym.

Wytworność i stanowczość francuza wywołały uśmiech na usta dziewczyny.

Francuz uśmiech wziął za dobrą wróżbę. Przedstawił parę pięknych koni rasy angielskiej, krzyżowanej z andaluzyjską, młodych, pełnych ognia i dobrze wytresowanych, do tego dwa zaprzęgi i ekwipaże, wziął za wszystko razem dwadzieścia tysięcy franków, podjął się utrzymywać konie i ludzi za umówioną cenę, i dziewczyna w pierwszym dniu swego pobytu została właścicielką pięknych, o długich, lśniących, miękkich jak jedwab grzywach koni. Bat kupiła na bulwarach. Wohrt w dwadzieścia cztery godzin dostarczył kostiumów.

Trzeciego dnia po przyjeździe do Paryża, Zosia, uzbrojona w bat i rękawiczki, o piątój po południu wyjechała, wioząc matkę, przez bulwary obok kościoła Magdaleny na plac Zgody.

Zacna kobieta truchlała na widok setek ludzi, uwijających się tuż przed powozem, przebiegających koniom drogę. Dziewczyna, jak wytrawny szermierz, nie straciła na jedno mgnienie oka przytomno-

ści, mijała jednych, zatrzymywała konie przed drugimi. Dopiero na polach Elizejskich wypuściła kłusa, do jakiego tylko konie zdolne były.

Mijała powozy i jeźdźców. Przytomna i śmiała, oczy wszystkich zwrócone były na nią. Damy półświata patrzyły wyzywająco, kobiety z towarzystwa ciekawie a nawet z odcieniem zazdrości. Śmiałość dziewczyny, jej brawura, zręczność, strój gustowny, lecz skromny — zwyciężył.

— Kto ona — pytały kobiety z półświata. Czy ona do nas należy — zadawały sobie pytanie damy z arystokracji.

W lasku Bulońskim zwolniła w biegu. Konie szły stępą i tym sposobem pozwoliły młodej dziewczynie wpatrywać się w piękności lasku, stworzone estetycznym smakiem francuzów.

Mijali sztuczną grotę, okrytą zasłoną spadającą wody. Matka i Zosia zapatrzone, nie spostrzegły powozu i siedzącego w nim poważnego o białych włosach mężczyzny, wpatrującego się w nie ze wzniesionym zdziwieniem i ciekawością.

Konie, niosące białowłosego starca, szybko objechały sadzawkę, aby poraz drugi spotkać się z Zosią i jej matką. Zanim się minęli, mężczyzna ostentacyjnie zdjął kapelusz i zatrzymał powóz.

— Nareszcie się spotykamy — odezwał się wesoło, wysiadł i z kapeluszem w ręku zbliżył się do pań.

— Hrabia — zawołała matka — nareszcie po latach spotykamy się, tu w sąsiedztwie pól Elizejskich.

— Panna Zofia — mówił dalej hrabia, wpatrując się w dziewczynę — ktoś się mógł domyśleć, że z ciemnej gąsieniczki taki wspaniały motyl wyrośnie. Przemiana cudowna. Przebacz pani staremu trywialność.

— Siadaj hrabio przy mnie — wskazała matka miejsce przy sobie.

— Z rozkoszą. Stęskniony jestem za ludźmi z mój ojczyzny, jeszcze za tak dobrymi przyjaciółmi. Lecz czy zasłużyłem, aby mnie tak wykwinął wóznica wiozący?

— Najzupełniej. Zosiu wracamy do siebie.

Zosia zwolniła lejce, konie oswobodzone z więzów dały folgę swą niecierpliwości.

Obecność hrabiego obok matki Zosi, zrobiła wrażenie na towarzystwie lasku Bulońskiego. Hrabia znany był jako człowiek surowych zasad, poważny i w wyborze otoczenia wybredny.

— Ona do nas należy — myślały panie z towarzystwa i niezawodnie jest polką.

— Nie nasza — szeptały do siebie damy z półświatka i dobrze. Ma ona w sobie dumę, namiętność i odwagę, trzy sity pociągające ludzi i dające możność panowania nad nimi.

Dziewczyna, mijając bramę Tryumfalną, wpadła na pola Elizejskie szalonym kłusem. Prześcignęła amerykankę, którą powoził młody człowiek, mijając ją na szerokość dwóch cali. Mężczyzna z wyso-

kości amerykanki spojrział zdziwiony na piękną dziewczynę, stary hrabia zaparł oddech z przerażenia, lecz z galanterii nie powiedział ani jednego słowa skargi. Dziewczyna popędziła dalej, mijając ludzi i konie. Zaledwo na bulwarach Magdaleny, zatrzymana znakiem sierżanta policyi, musiała wjechać w koleją i posuwać się zwolna za poprzedzającymi ją powozami.

Przed jednopiętrowym domem, ciemno malowanym na ulicy, przytykającej do Faubourg St. Germain zatrzymała konie. Portyer wybiegł pomódz jej zejść z koźła, woźnica siedzący za powozem poskoczył odebrać lejce.

— To mi się nazywa powozić — rzekł z uśmiechem dumy i zadowolenia hrabia, podając rękę matce. Neron, który uchodził za świetnego woźnicę, musiałby się ukorzyć.

— Lub kazałby mnie zamordować, chociażby z zazdrości — odpowiedziała Zosia.

— Nie odważyłby się. Był on również dobrym znawcą i czcicielem piękna. To wielki artysta.

— Widocznie hrabia go protegujesz.

— Podziwiam — odpowiedział, przypatrując się ze wzrastającym zajęciem dziewczynie.

— Co za szczęśliwy traf rzucił hrabiego na naszą drogę — rzekła matka w salonie, wyciągając do uścisku rękę, którą hrabia dawnym obyczajem ucałował.

— Ja to raczej powinienem powiedzieć o sobie. Prawie samotnik znalazłem przyjaciółkę z młodych lat i przedmiot do podziwu — schylił głowę przed Zosią.

— Pan hrabia wprowadzasz mnie w kłopot galanterią — nie wiem co odpowiedzieć.

— Przyjąć jako należny hołd i zgodzić się z losem. Zaimponowaliśmy dziś Paryżowi, a to trudno, bardzo trudno. Skorzystałem i ja z tego, ludzie mnie sobie przypomnieli. Mówiąc o pani, muszą wspomnąć i o mnie.

— Hrabia nie bywasz teraz w świecie — zagadnęła go matka.

— Bardzo rzadko, jedynie, aby nie zrywać stosunków. Nareszcie nie jestem stałym mieszkańcem Paryża. Zimy zwykle przepędzam we Włoszech, czasem w Kairze lub Aleksandryi.

Podano obiad. Hrabia poprowadził matkę do stołu.

— Nie ulega wątpliwości, że panie zechcecie poznać tutejszy świat. Dla mnie przypadnie wdzięczna rola towarzysza. Dumny będę — dodał z uśmiechem — lecz nie powiem dlaczego, aby nie dać pannie Zofii sposobności do skarg na mnie o wprowadzanie ją w kłopot.

— A zatem mów hrabio, co tylko zechcesz. Nie chcę cię krępować w niczem, tem więcej w naszym domu.

Hrabia się skłonił.

— Wejście do towarzystwa — mówił dalej — nie przedstawia dla

pań żadnych trudności. Należy tylko przejść przez salon księżnej Światopełk.

— Księżę poznałem kilka lat temu w Krakowie.

— Wybornie; sprawa skończona, podwoje salonów otwarte do przyjęcia królowej. W tej chwili pewno w niejednym buduarze mówią o nieznajomej, która najlepiej w Paryżu powozi. Ciekawość rozbudzona—czekają chwili, aby ją jak najprędzej poznać.

— Kochany hrabio, teraz ja muszę protestować jako matka.

— Mamo, układ zawarty, nie odstrasżajmy naszym rygiorem przyjaciół.

— Nie odstrasżajmy, powtórzył hrabia. Białe moje włosy dają mi pewne prawa.

— Najzupełniejsze. A ja, moja mamó, wiem, że hrabia jest z tych dobrych czasów, w których brane byłyśmy za „białe anioły.”

— Dobre to były czasy — dodał hrabia.

— Dla nas—dokończyła Zosia. Dziś „białe anioły” w opinii wyglądają popielato, u pesymistów czarno. Przyjemnie nam choć chwil parę w towarzystwie hrabiego przeżyć w epoce naszej białości. Wszak prawda, zwróciła się do gościa.

— Na honor wieczna cześć kobiecie—i tak być powinno zawsze. Narody, które o tém zapominają — giną, dodał z mocą.

Dziewczyna uśmiechnęła się serdecznie, matka jej podzielała głośno opinie przyjaciela.

Po obiedzie Zosia zapragnęła zrobić przechadzkę po bulwarach. Hrabia z gotowością, przypominającą dobre czasy, ofiarował się na towarzysza.

X.

Salon księżnej Światopełk nie odznaczał się ani zbyt wielką wykwintnością, ani bogactwem, ani nie zgromadzał tłumów pięknych kobiet i głośnych imion dnia, lecz za to posiadał wielką zaletę — towarzystwo w nim zbierało się dobrane. Stare rody, wytworność, umiejętność utrzymania rozmowy, dawały sobie w nim schadzki.

Księżna, pamiętająca świetne czasy rozkwitu salonów, umiała przyciągać ludzi i utrzymać ich przy sobie. Tło, a raczej koloryt jój salonu stanowiła opozycja przeciw dzisiejszym prądom w literaturze, sztuce i polityce. Towarzystwo wykwintne nie mogło się godzić na szkołę naturalizmu, reprezentowaną przez Zolę w piśmiennictwie, Courbeta w malarstwie, Rocheforta i Vallésa w polityce. Nie godziło się również i na politykę kierowaną przez Gambettę. Tradycja dla niego miała urok, a postępek w konserwatywnym duchu był ideałem rozwoju społeczeństw.

Podczas przedobiedniej herbaty, nazwanój z angielska *fife o cklock*.

— Mam nadzieję, że nasza rodaczka nie będzie się nudzić

w mym domu, odezwała się księżna do trzydziestokilkoletniego mężczyzny, opartego o marmurowy kominiek w jej buduarze.

— To od niej zależy.

— Musimy ją rozbawić.

— Jeżeli sama nie posiada téj sztuki.

— Młoda dziewczyna, której rozumem zachwyca się mój kuzyn.

— Przebacz księżno, lecz musiała hrabiego schwycić za serce kilkoma komunałami lub zręcznymi frazesami. Do tego jest przystojna, a hrabia dziś jeszcze, pomimo siedmdziesięciu blisko lat przepada za gładkiem liczkciem, jak mówili nasi ojcowie.

— Widziałeś ją pan?

— Na kozle, przesunęła się obok mego powozu, na odległość dwóch cali.

— I gdyby zawadziła?

— Roztrzaskałaby powóz, a samaby się rozbiła. Pędziła z brawurą polskiego szlachcica.

— To mi się w niej podoba. Paniom naszymi, którym się zdaje, że powożą, jak nikt na świecie, zainponuje.

— Za dużo w jój jeździe szlacheckiego animuszu.

— Przecież nie trzaskała z biczem?

— Tego nie powiem, co do form w niczem się nie różni od naszych pań.

— I mówisz hrabio, że ładna?

— O ile dostrzedz mogłem w przelocie, twarz oryginalna, wzbudzająca ciekawość. Brunetka silna, a mimo to w niczem nie przypomina ani rasy semickiej, ani typów włoskich. Gdyby nie miała parzyckiego kapelusza, nasuwałaby na myśl antyki.

— Aż tak — i co do układu w niczem się od nas nie różni. Jeżeli się sprawdzą opowiadania mego kuzyna, który widocznie musi być zakochany w pięknej dziewczynie, to salon mój będzie miał pewną atrakcją.

— Słońcem, a zatem i atrakcją zostanie zawsze pani tego domu.

— Pochlebco, występujesz w roli mego poczciwego kuzyna.

— W roli sumiennego sprawozdawcy.

— Raczej pozyskanego reportera.

— Księżna wybornie wiesz, czém jesteś dla nas.

— To raczej ty, mój hrabio, wiesz wybornie, że pochlebstwa bez różnicy wieku jednakowo działają. Czy masz ochotę poznać tę małą?

— Przyjdzie to samo z siebie, gdyż ją prawdopodobnie poznam w salonie księżnej.

— Nie rozciekawia cię.

— Byłbym bardzo rad, gdyby mnie coś rozciekawić mogło.

— Za dużo żyłeś.

— Trzydzieści pięć lat.

— Odetnij od tego dwadzieścia na młodość.

— Zostaje piętnaście. Poeta mówi, że w jednej chwili można więcej przeżyć, niż całe życie. W ciągu piętnastu lat wieleż to mogło być takich chwil...

Księżna się zamyśliła i westchnęła.

— Wieleż u mnie tych chwil — a mimo to wszystko, czuję się jeszcze tyle młoda, że jestem ciekawa i żyć pragnę.

Hrabia chciał odpowiedzieć.

— Domyślał się, co powiesz i dlatego przerywam. Bardzo by-łoby mi przyjemnie, aby młoda dziewczyna nie nudziła się wśród nas zmęczonych i przeżytych. Liczę na pomoc moich dobrych przyjaciół.

Hrabia się skłonił, rozmowa weszła na politykę dnia. Rozbie-rano wczorajszą mowę w izbie. Hrabia mówił złośliwie o „Revue nouvelle“ i jej redaktorce, a trybuna traktował z góry i lekceważąco; dla niego był to człowiek mały i śmieszny.

— Księżna go bronila.

— We Francji ludzi nie brak i jeżeli on ich wszystkich przeróst głową, nie musi to być zwyczajna pospoliczość — odpowiedziała.

— A zatem jest nadzwyczajną i gdy do tego dodamy nadzwyc-ajne szczęście, wielkie kłeski Sedanu, które mu dały władzę — wy-prawę balonem z Paryża... Takie okoliczności mogą ulepić wielkość.

— Życzę ci, hrabio, z całego serca — mówiła księżna poważnie i spokojnie — aby szczęście było zawsze z tobą. O, wieluż więcej mielibyśmy wielkich ludzi, gdyby na ich drodze było szczęście z nimi...

Nowy gość przerwał rozmowę, księżna zwróciła się ku niemu, przechodząc do salonu. Hrabia się cofnął i za chwilę wyszedł.

Wyniosła postać, chód pewny siebie, wykintny strój, zwracały na niego uwagę. Ludzie mimowoli robili mu miejsce, schodzili z jego drogi. Oznaki te brał jako należną dla siebie cześć, do której był przyzwyczajony. Podłużna jego twarz, nos rzymski, suchy, oczy duże osadzone głęboko, brwi ciemne, usta szczelnie zamknięte, wązkie a długie i włosy ciemno-blond nadawały mu wyraz siły, utajonej am-bicyi i wielkich planów. Szedł zamyślony.

— Czekajmy — powtarzał — może i na mojej drodze szczęście się do mnie uśmiechnie. Czas już zacząć działać, pomyślał. Lecz gdzie?... Czy wrócić do Austrii na swój grunt i ująć władzę w swe ręce? Czy też korzystać ze stosunków we Francji i tu wystąpić do walki.

W moim kraju miejsca zajęte, ludzie związani w koterye jedno-ścią interesów, małych ambicyi i zawiścią partyjną. Porozrywać te koła, zaprządz jednych do swego wozu, drugich zepchnąć w przepaść — praca ciężka i długa. Gdy tu wielkie wypadki zmieniają się jak na scenie. Społeczeństwo podobne do wzburzonego oceanu, wyrzuca na wierzch jednych, daje im władzę, a topi drugih.

Trzeba być zręcznym stronnikiem, przebiegłym i odważnym. Zręczność to nie jest wielkość, powtarzał dumnie. Zręcznym jest Gambetta, wielkimi byli: Napoleon i Richelieu.

Z myślami temi wszedł do klubu. W głęboko osadzonych jego

oczach świecił ogień namiętności, zamknięte usta poruszały się nerwowo.

Nie zastał nikogo, służba przyjęła go z oznakami wielkiego szacunku. Kazał podać obiad, rzucił się na dzienniki i pochłaniał je gorączkowo, jak gdyby w nich spodziewał się znaleźć dla siebie drogę do wielkości.

Wieczorem klub zaczął się wypełniać przeważnie młodymi ludźmi z arystokracji świata. Wesołość ich, dowcipy, rozmowa powtarzająca się, bezbarwna, o kobietach i koniach, zakładach i grze, dziś go męczyła i denerwowała. Wrócił do siebie, wdział frak i biały krawat i kazał się zawieźć do wielkiej opery.

Hamlet Thomasa nie schodził ze sceny. Reszke w roli Ofelii, czarowała paryżan.

Sala opery była wypełniona cudzoziemcami, światem giełdy paryżkiej i bogatym mieszczaństwem. Zaledwie gdzie niedzie w łóżach parterowych widać było mieszkańców przedmieścia St.-Germain. Hrabia z fotelu pierwszego rzędu zrobił przegląd.

— Nikogo—rzekł poważnie—i usiadł, aby wysłuchać pierwszego aktu ze spokojem i cierpliwością człowieka lubiącego muzykę.

Po skończeniu pierwszego aktu dokonywał w dalszym ciągu przeglądu, szukając znajomych ze swej sfery.

Do jednej z łóż pierwszego piętra wszedł kuzyn księżnej, biało-włosy hrabia, witając się serdecznie z dwoma kobietami.

W młodszej poznał zręcznego woźnicę z pól Elizejskich, w starszej domyślił się jej matki.

Zosia wyglądała w świetle lamp czarująco. Czarne jej włosy i białe ramionu, uśmiech zadowolenia i pewności siebie, zdrowie, świeżość i życie wyróżniały ją wśród otoczenia znużonego zbytkiem i użyciem.

Gdy po raz drugi przyłożył szkła do oczu, zobaczył łożę pustą. Domyślił się wyjścia pań w towarzystwie hrabiego do foyer opery. Nie robiąc żadnych planów, popychany ciekawością, do której się nie przyznawał, poszedł. Na samym wstępie zobaczył hrabiego, towarzyszącego paniom — uklonił się.

— To także nasz rodak, odezwał się hrabia do pań, przesiaduje od kilku lat w Paryżu, w połowie francuz, podobnie jak ja.

Powierzchnowość ujmująca — powiedziała matka.

— Jest to młody człowiek bez zarzutu. Dawniej podobno grał namiętnie. Od dwóch przeszło lat nie widziałem go przy zielonym stoliku. Wygrał i w porę się zatrzymał — to sztuka, wielka sztuka. Zosia patrzyła za nim i rada była, gdy się odwrócił i przeszedł po raz drugi.

Rysy twarzy, spokojność i pewność siebie, uderzające na pierwszy rzut oka, pociągały ku niemu dziewczynę.

Stary hrabia domyślił się przyczyn powtórnego przejścia przez pasaż młodego człowieka, lecz nic nie mówił. Nadto był dobrze wy-

chowany, a i troszeczkę zazdrosny. Obawiał się, aby zbyt prędko nie pochwycono pięknej dziewczyny i nie zabsorbowano. W jej towarzystwie czuł się młodszy i rzeświejszy — prędkiej myślał, nabierał humoru i wymowy.

— Świeża i zdrowa — pomyślał młody hrabia. Na miliony jej pa-trzy kuzyn księżnej, przez teleskop galicyjskich stosunków, jak rów-nież i na jej rozum i dowcip. Mimo to ogień w jej oczach i uśmiech tryumfu pociągają. Jak każda szlachcianka polska usiadłaby na tro-nie i zdawałoby się, że do tego miejsca i do tego stanowiska jest od dzieciństwa przyzwyczajona.

Być może, że pierwszy raz jest w tych przepysznych salonach opery, wobec tych ludzi, pełnych dystynkcji, kobiet czarujących; mimo to, jest tu jak u siebie, wierzy, że jest królową, a mało brak, aby i lu-dzie, którzy ją otaczają, nie wierzyli w to.

Hrabia stał w rogu wielkiej sali, patrząc na Zosię, jej ruchy i usuwanie się przed nią dygnitarzy i milionerów.

— Pan nie obok swój rodaczki, zagadnęła go jedna z dam.

— Nie poznałem jej dotąd.

— Kiedyż ten poczciwy cerber...

— Okrutny, poprawił hrabia.

— Na okrucieństwo za słabe ma zęby i dlatego oddajmy spra-wiedliwość jego poczciwości.

— Brawo!

— Kiedy nam ją pokaże.

— Piérwszy jej występ ma być na recepcji u księżnej.

— Nudno tam, lecz gotowam pójść, aby ją poznać.

— Ciekawość do zazdrości.

— Raczej do niepozazdroszczenia. Ciekawi wyobrażają sobie wielkie rzeczy, a znajdują zwykle małe. Zaimponowała mi swoją bra-wurą na koźle.

— Mało brakowało, aby nie roztrzaskała mego powozu.

— Wyobraź pan sobie i mego. Przeleciała obok mnie lotem strzały. Dreszcz mnie przeszedł i wdzięczną jej jestem za tę odrobinę emocyi.

— Chcesz ją pani poznać, aby jej podziękować?

— Za urotowane życie. Zdobyła sobie szturmem tor pól Eli-zejskich. Uciekamy przed nią.

— Uciekacie więc panie przed emocją.

— Emocye nieoczekiwane są tylko przyjemne.

Zadzwoniono.

— Chodź pan do naszej łoży — mówiła dalej — będziesz mógł swobodnie wpatrywać się w swoją rodaczkę, uroczą dziewczyna. Wi-dzisz, nie jestem zazdrosną.

— Gdy się niema powodów, brak zazdrości przestaje być cnotą.

— Zwrot chociaż nie oryginalny, zręcznie zastosowany.

— Oryginalność wielki wyraz, mali muszą się cieszyć zręcznością.

Nadszedł mąż młodej kobiety i we troje, przy akompaniamencie szczebiotu młodej francuzki, weszli do łoży.

Nieopodal siedziała Zosia. Nie potrzeba było szkieł, aby jej rysy i wyraz twarzy z całą dokładnością śledzić.

— Z rysów jęj twarzy można przeczuć dzielność — mówiła dama — patrząc na nią. I jeżeli jest republikanką, widzielibyśmy ją na barykadach.

— A jeżeli monarchistką?

— Na czele szwadronu z białą chorągwią.

— Joanna d'Arc.

— Dziś oboje nie grzeszymy oryginalnością porównań — odparła młoda kobieta z uśmiechem. Mimo swęj dzielności, ma ona i dużo słodczy w twarzy. Ruchy jęj są omdlewające, podobne do ruchów pantery. Strzeż się pan.

— Pani jesteś w nięj zakochana.

— Zaintrygowana raczję, póki jęj pewno nie poznam. Lecz gdy się nie zawiodę przeczuwam, że mogłabym z nią żyć w przyjaźni. Niezawodnie, o ile dobrze powozi, o tyle i dzielnie konno jeździ.

— Bezwątpienia.

— Awanturniczość czuje, tkwi w mojęj krwi.

— Raczję odwaga krzyżowców.

Zosia się domyśliła, że o nięj prowadzi rozmowę młody człowiek z pociągającą i wykwinną kobietą. Odwróciła się nieco ku scenie.¹

— Przepyszne ma włosy — mówiła dama i to szczególne, że wszystkie jęj własne.

Wejście Ofelii zwróciło ogólną uwagę na scenę.

Zosia wzbudziła ciekawość i chociaż nieznana zjednywała sobie sympatyą. Sympatyczne usposobienie opinii oddziałało również na umysł hrabiego.

XI.

Podczas większych przyjęć u księżnej, przesuwało się przez jęj salon liczniejsze niż zwykle towarzystwo. Zabawić chociażby chwil parę w tłumie arystokratycznego świata, należało do obowiązków. Dnia dzisiejszego pewną atrakcją stanowiła odważna i piękna polka. Widziano ją na koźle, chciano poznać w salonie.

Siedziała obok księżnej. Białowłosy hrabia towarzyszył jęj matce.

Księżna zwykle zajmowała się wyłącznie osobami, które pierwszy raz pojawiały się w jęj salonie. Pochlebiało jęj, gdy reprezentanci polskiego towarzystwa z kraju przychodzili złożyć jęj hołd. I nie dziw, że była uprzedzająco grzeczna, a nawet serdeczna dla matki i córki. Zarzucała Zosię pytaniami o stosunki w kraju i dziwiła się trafności

jej odpowiedzi. Mówiły po polsku. Księżna ostentacyjnie używała tego języka w swym salonie.

Przez tłum przesuwała się wśród ukłonów mężczyzn, robiących jej miejsce, młoda dama, aby powitać księżnę. Zosia poznała w niej znajomą, widzianą w łoży. Wzruszyło ją to nieco i wywołało lekki rumieniec.

Po przywitaniu i wzajemnem przedstawieniu francuzka, wiodąca ród swój od krzyżowców, zwróciła się do Zosi.

— Nareszcie pozwolono nam poznać panią, zaszcebiotała dźwięcznym jak dzwonek głosem, siadając przy niej. Czekałam na tę chwilę, aby pani podziękować za lekcye powożenia, udzielone nam na „polach.” Zazdroszczę pani zimnej krwi, odwagi i pewności siebie.

— Pewna prawda i dobry wzrok, to wszystko — odpowiedziała Zosia.

— Pani jeździsz konno?

— Ulubiona moja rozrywka w kraju. W Paryżu nie mam konia.

— Ja mam dwa i jeżeli łaska, będziemy razem galopować po lasku Bulońskim i jego okolicach. Nie mam towarzystwa do konnej jazdy, a sama się nudzę. Jakże Paryż?

— Czaruje — odparła Zosia.

— Czas jakiś. Potem trzeba koniecznie umieć samemu się bawić.

Zbliżył się hrabia Dunin.

— Mój wczorajszy w łoży towarzysz—mówiła wesoło francuzka. Nie powiem, aby wyłącznie zajęty był swoją towarzyszką, starał się ją bawić i rozweselać.

— Niestety nie należę ani do wesołych, ani do zabawnych, odpowiedział hrabia z uśmiechem.

— Nie oskarżaj się pan, bo to wtedy tylko ma miejsce, gdy nie chcesz. Znasz ludzi, posiadasz dostateczną dozę cynizmu i to czyni cię zawsze ciekawym, a często zabawnym.

Powstała i zwracając się do Zosi, wyciągnęła do niej serdecznie rękę.

— O konnych wycieczkach porozumiemy się. Pani się zgadzasz?

— Z ochotą — odpowiedziała.

Francuzka odeszła; hrabia Dunin zajął jej miejsce obok Zosi.

— I pani będziesz mieć odwagę towarzyszyć hrabinie de la Tour odezwał się po polsku.

— Jeżeli ją poznałam w domu księżnej, a pana widziałam wczoraj w jej łoży, wszelkie obawy upadają. Być może, że pan ma na myśli jej szaloną jazdę.

— Nie pani, gdyż nie wątpię, że jesteś tyle odważną co hrabina.

— A zatem — spytała Zosia.

— Hrabina de la Tour ma jedną namiętność. Chce wszędzie i zawsze być otoczoną gromadą wielbicieli, chce być kochaną przez wszystkich.

— Namiętność dość zwyczajna kobiet w świecie, w którym żyje hrabina.

— Pani również...

— Jeżeli chcemy się bawić, nie lubimy być same.

— Specjalnie lubisz pani zabawę?

— W Paryżu. Nareszcie nie wiem, co ja lubię specjalnie. Dawniej lubiłam szaleć na koniu.

— Dziś?

— Wszystko i nic. Obecnie dręczy mnie ciekawość poznania społeczeństwa, w którym żyję — ludzi.

— Korzystasz pani z każdej sposobności.

— Przyjmuję wszelkie wezwania.

— I dla tych powodów rozmawiasz pani ze mną łaskawie.

— To raczej pan zaszczycaś mnie swoją rozmową i raczysz dawać mi pytania.

— Pani na nie odpowiadasz szczerze.

— O ile szczerze są pytania.

Zamilkli na chwilę oboje.

— Jeżeli już pani pozwalasz na indagację — jakie na pani Paryż zrobił wrażenie.

— Nie znam go prawie, lecz dotąd zdaje mi się, że wszystko się tu robi dla zabawy. Wszelkie wysilenia pracy, sztuki, gustu, twórczości, mają za cel zabawę jednych, zysk drugich i ogólne wywołanie podziwu. Lecz ponieważ miasto to jest kolebką nauk, wielkich wynalazków, wielkich idei, poświęcenia...

— Wierzysz pani w wielkie idee i poświęcenia?

— Czyż można nie wierzyć w to, czego są tak liczne dowody?

— Złe się wyraziłem, pani zbyt materialnie to rozumiałaś.

— Nie powiem, abym była materialistką w ścisłym znaczeniu tego wyrazu — odpowiedziała Zosia z uśmiechem — lecz za to radabym, aby realizm był moim przewodnikiem.

Hrabia spojrział na nią uważnie i ciekawie, jak gdyby chciał z jej rysów odczytać myśli ukryte pod czaszką.

— Pani studyowałaś filozofią?

— Specjalnie nie, lecz znam nieco jej historią.

— Stanowisz wyjątek pośród tutejszych kobiet.

— Nie wyłączny, gdyż w Paryżu są kobiety...

— Mówię tylko o kobietach naszego towarzystwa. Cóż nas obchodzą robotnice, które zamiast pracować igłą, wzięły się do pracy w naukach ścisłych lub filozoficznych.

— O tamtych nigdy pan nie myślisz?

— Są one poza naszą sferą, skazane pracą zdobywać kawałek chleba. A czy pracują z igłą w ręku czy z książką, wszystko to jedno i dla nas obojętne.

Zosia z kolei wpatrywała się w poważną, pełną wyrazu, zamyśloną twarz. Pierwszy raz usłyszała stanowczo i otwarcie wypowiedzia-

ne opinie tak egoistyczne, bez żadnej przymieszki egoizmu lub sarkazmu.

Po krótkiej chwili milczenia zapytała:

— Pan jako arystokrata jesteś chrześcianinem?

— Bez kwestyi—odpowiedział, jest to instytucya niezbędna dla utrzymania w korbach porządku społeczeństwa.

— Tylko?

— Powiedziałem o jój niezbędności i dla tego nie wymazuję z życia jałmużny, a nawet i ofiary.

A gdyby traf, obdarzając pana wielkimi zdolnościami jednocześnie wydziedziczył go i postawił na stanowisku drwala.

— Jako dobry chrześcianin rąbałbym drzewo bez szemrania. Chociaż wielkie zdolności i szczęście, lub lepiej opatrność, wyrzucają ludzi po nad zwykły poziom—i my tych ludzi, gdy przychodzą do nas, nie odpychamy od siebie.

— W jakim celu?

— Aby uam pomagali rządzić i panować, a raczej prowadzić ludzkość tą drogą, jaką iść powinna.

— Zkądże pewność, że ludzkość tą drogą a nie inną iść powinna?

— To przekonanie daje nam objawienie i wiara w nie. I oto nowy dowód, że religia jest instytucją konieczną i niespożywą.

Dziewczyna oburzyła się w głębi, lecz nie była w stanie walczyć. Logika, spokój i pewność hrabiego, działały na jój umysł przygniatająco. Rozsunęła wachlarz i wachlowała się nim, chcąc rozpedzić tłoczące ją myśli. Tymczasem hrabia wpatrywał się w nią uparcie. Wzrok jego spokojny a pewny siebie działał na jój nerwy, zaciężył na sercu, nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Czuła wpływ jego, rada była wstać, lecz nieznana jój dotąd nieśmiałość przykuwała ją do miejsca.

Aby przerwać denerwujące milczenie odezwała się znowu.

— Dziś jednak panowanie, przynajmniej we Francyi, nie w rękach panów.

— Krótki to antrakt, dla nas odpoczynek i lekcyja, jak rządzić na przyszłość, aby uniknąć popełnianych błędów.

— Jesteś pan pewny, że się tak stanie?

— Tak się stać musi.

— Pan mówisz o ludzkości, Francya jest tylko jednym krajem.

— Lecz Francya jest sercem ludzkości i jego natchnieniem.

— Jesteś pan polakiem, zdobyła się na to powiedzenie.

Hrabia się uśmiechnął pierwszy raz!

— Więc dla tego, że jestem polakiem, mówił dobitnie, mam być skazany na próżniactwo, lub oddawanie się hodowli bydła, produkcji nabiału, a w ostatnim razie rozdzielaniem myt w sejmie galicyjskim. Czy pani nie jesteś zdania, że to troszkę za mało?

W głębi swój duszy była tego samego zdania, nie umiała kłamać, walczyć nie była w stanie—milczała. I gdy księżna z matką

zliżyły się do niej, przywitała ich jak wybawicielki. Odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się radośnie i poszła z nimi.

Hrabia przeprowadził ją, wzrokiem obejmując jej kibić, białe ramię i czarne jak heban włosy.

— Czy ona odegra w mém życiu rolę? Nie wiem jeszcze, lecz czuję że jest pod moim wpływem. Sentymentalnej dziewczynie rzucę parę prawd trzeźwych, realnych, nie ulegających krytyce i niemi odurzyła się. Patrzała na mnie wylekniiona i zdziwiona. Czy ona odegra w mém życiu rolę?—powtórzył. Wierzę, że to odemnie zależy. Zobaczył księcia do Broglie, naczelnika stronnictwa, i pośpieszył powitać go.

Zosia zamyślona a dla pokrycia niepokoju duszy uśmiechnięta, przesuwała się po salonach. Księżna przedstawiała ją paniom, młodzież przyzywała do siebie, aby jej dać poznać piękną rodaczkę.

Spotykane co chwila znakomości, zapytania banalne, odpowiedzi stereotypowe, powtarzające się co chwila znużyły dziewczynę.

— No i cóż Zosiu—zapytała ją matka, gdy siedzieli w karecie, a koła zaturkotaty po bruku.

— Poznałam tyle ludzi, tyle wielkości świata, tyle pięknych kobiet, że doprawdy dostałam zawrotu głowy i nie mogę zdać sobie sprawy z odniesionych wrażeń.

— Podobałaś się powszechnie wszystkim—mówiła mi księżna.

— Szkoda, że nie możemy usłyszeć w tej chwili prowadzonych o nas rozmów, jeżeli jeszcze dotąd mają czas zajmować się nami, pamiętają o nas.

— Ach to prawda, w tym wielkim świecie ludzie przesuwiają się jak maryonетки, lub aktorzy na scenie. Tyle się tu niemi zajmują o ile ich widzą. U nas inaczej... Zosiu nie tęsknisz za Zalesiem?

— Gdyby nie ciekawość, gdyby nie młodość, która mnie popycha w wir życia, gdyby... przerwała.

Matka nie pytała jej więcej. Dziewczyna oparła głowę o poduszki karety, zamknęła oczy i z pewną rozkoszą pozwalała najróżnorodniejszym myślom przepływać przez jej rozpaloną głowę. Myśli jej biegly jak chmury pędzone wiatrem i zatrzymały się raptownie jakby zakłęte. Z chaosu wynurzyła się postać hrabiego, wpatrującego się w nią z niewzruszoną powagą. Twarz jego wyrazista, rysy zdradzające na pierwszy rzut oka ambicyą, zdania wypowiedziane spokojnie, lecz stanowczo, utkwily w jej pamięci. Czula, że ich nigdy nie zapomni.

— Czego on chce od świata i ludzi? Czy wydobędzie z siebie tyle siły, aby ludzkość w jej pochodzie zwrócić na stare tory?

Nie umiała na to pytanie odpowiedzieć, lecz przeczuwała w tym człowieku siłę zdolną do walki.

Siła, odwaga, wiara w siebie, ambicya, podbijały ją. Nie był podobny do innych. Czula w głębi serca, że jego zasad nie podziela, wierzyła, jednak, że ma pragnienia potężne i plany wielkie. To jej

imponowało. I jeszcze jedna okoliczność—ani jednym wyrazem nie zdradził ku niej sympatyj. Wpatrywał się w nią ciekawie i nic wię-
cej. Nie chciała się przyznać przed samą sobą, że jej na tém zależy,
aby było inaczej, mimo to była rozdrażniona.

— Jesteśmy na dwóch przeciwnych krańcach, zdecydowała,
kładąc się spać. Jestto człowiek partyi, usiłujący ludzkość zrobić
niewolnicą garstki, gdy ja pragnęłabym ją wyzwolić i prowadzić na-
przód z wiarą, że idzie drogami cywilizacyi do lepszego bytu, harmo-
nii i większej szczęśliwości.

(c. d. n.).

Wystawa starożytności i obrazów,

URZĄDZONA W SALONACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

w Warszawie, w marcu i kwietniu 1887 roku.

(NA DOCHÓD WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOŚCI).

OPISAŁ

W. Gerson.

W krajach obfitujących w zbiory starożytności, stale otwarte dla ogółu, urządzenie wystaw czasowych usprawiedliwiane bywa szczególniemi tylko okolicznościami, dającemi możność zgromadzić i to, czego w państwowych muzeach znaleźć nie można. Warszawa, ciesząca się jednym tylko prywatnym, stale otwartym dla publiczności zbiorem starożytnym P. Bisier, zwanym Wystawą sztuk i starożytności, potrzebuje dla ożywienia dziedziny sztuk i rękodzieł, dla odświeżenia w pamięci ogółu pojęcia o pięknie, o wytowności, o odwiecznych potokach pracy ludzkiej na niwie przemysłu, wystaw czasowych, któreby te wieki ubiegłe w godowej a prawdziwej szacie przedstawiając, rozwijały zarody twórczości w chwili obecnej, stanowiącej krótki tylko moment pomiędzy wiekami ubiegłemi a przyszłością, dla której ścieżki torować mamy obowiązek.

Aby osiągnąć cel zakreślony, każdy z działów głównych obecnej wystawy starożytności, to jest: brzozy, ceremika, srebra, kosztowności, zbroje, sprzęty kościelne i codziennego użytku, tkaniny i obrazy, postarano się przedstawić tak, aby rozpoczynając od najdawniejszych okazów, jakie na razie zgromadzić się dały, luki zaś zapelniając rycinami lub odlewami, ciąg rozwoju myśli ludzkiej w rękodziełach i sztukach pięknych zawarty w całości poddać rozpoznaniu ogółu.

Nie mogąc zaś w przeciągu terminu określonego i na przestrzeni uwarunkowanej miejscem, przedstawić na tej wystawie przedmiotów starożytnych, całego ogromu produkcji rękodzielniczej i estetycznej wieków odległych, urządzający wystawę starali się w możliwym skupieniu przedstawić grupy produkcji dawnych sztuk i rękodzieł, w sposób najbardziej ułatwiający zapoznanie się z całością i składającą ją szczegółami. Pociągnięto to za sobą ugrupowanie zupełnie nowe, a estetycznie piękne. W pierwszym salonie, jako architektonicznie oryginalnym, ozdobnym, a dającym się podzielić na części, urządzenie grup pewne epoki wyobrażających, dało się najlepiej przeprowadzić. Systematyczność historyczna układu całości straciła na tym, niepodobieństwem było bowiem dane miejsce nagiąć do systematu, w tym rzucie oka więc na wystawę postaramy się — pogląd na działy poprzedzi poglądem na układ zgromadzonych okazów, aby odszukanie ich lub zatrzymanie w pamięci ułatwić.

Grupę umieszczoną po prawej stronie od wniścia, stanowią meble, brzozy i makaty z czasów Ludwika XV-go francuzkiego; gust tej epoki jest bardzo wybitny, a wyraźnie daje się odróżnić od grupy za filarami po stronie lewej umieszczonej, gdzie czasy Ludwika XVI-go francuzkiego przypomina dobrze salonik zapełniony wszystkiem, co ozdobność właściwą końcowi XVIII-go wieku znamionuje. Na tle więc gobelinu, wyobrażającego przegład wojska odbywany przez króla, białe ze złotem meble, błękitnym jedwabiem pokryte, obstawione są stolikami różnego rodzaju zastawionemi wazonami, świecznikami, figurami bronzowemi i t. p. ciekawościami. Na kominku kilka zegarów całych bronzowych lub inkrustowanych, walczy o pierwszeństwo w piękności.

Trzecia ściana pod oknami stanowi przejście od Ludwika XVI do czasów dyrektoryatu i cesarstwa pierwszego. Tu jeszcze i szafki inkrustowane i piękne biurko florenckie hebanowe, kością wykładane i zegary XVIII-go wieku, ale już i brzozy z początku wieku XIX-go i piękny fortepian stojący, zwany giraffe, z czasów Napoleona I-go, czarny, bronzami ozdobiony.

Czytelników uderzy, zadziwi może, klasyfikacya używana przez starożytników, ograniczająca się pod względem określenia epoki z jakiej przedmiot pochodzi, wyrazami Ludwik XV, Ludwik XVI-ty, cesarstwo i t. p. Tkwi w tych określeniacya prawda faktyczna; Francya od czasów Ludwika XIV-go, t. j. od połowy wieku XVII-go, tak nieograniczony wpływ pod względem intelektualnym i obyczajowym wywierać zaczęła, że nietylko ubiór swój całej Europie narzuciła i do dziś dnia modą rządzi, ale i wyroby rękodzielniczya posunęła na szczybel, przynoszący dawniejsze włoskie i za wzór je kontynentowi i reszcie świata podała. Ztąd wszystko, co się wzoruje na wyrobach epok, które tam panujący stanowili, ich imionami oznaczamy.

Pominąwszy szafy stojące pośrodku sali, a zapełnione srebrami, o których pod właściwą rubryką mówić będziemy, tu zwrócimy tylko jeszcze uwagę na bardzo artystyczną, a zgodną z charakterami epok

częstkę wystawy, prowadzącą z środkowej części sali głównej do dalszych salonów, a mianowicie na gospodę i zbrojownię. Średnie wieki wieją tak szczerze, tak prawdziwem technieniem od tych starożytnych żelazem okutych skrzyń, od tego mnóstwa zbroi, białej broni, łuków, starożytnych chełmów, tarcz, berdyszów, jakby się tu za chwilę pochyłona nad stołem makatą pokrytym, a zastawionym potężnymi dzbanami, ukazać miała postać o sumiastych wusach, o spalonej wiatrem cerze, o żyłastych rękach. Zdaje się, jakby nie jednej ale wielu duchy krążyły około zabytków prastarzej obyczajowości, której potok obfity z tych niewielu szczątków odgadnąć się daje. Postarał się zmysł artystyczny młodych malarzów, którzy tę część urządzali, o zaopatrzenie jej w takie nawet szczegóły do scharakteryzowania gospody potrzebne, jak okręt w sklepieniu zawieszony, jako godło handlu, jak starożytna latarnia, tak, iż tylko wiechy jeszcze, przez Klonowicza wspomianej, jako godła gospody starożytnej brakuje.

Dalszy ciąg salonów wystawy starożytności oprócz jednolitego szeregu, o ile można było chronologicznie ułożonego zbioru obrazów, dzieli się już tylko na drobne grupy jedno-epokowych lub jednoznacznych, albo przynajmniej blizkoznacznych przedmiotów: oprócz rycerza konno w polskiej zbroi, tém różniąc się od innych zachodnich, że jest lekka, bez nagolenników i bez pleców w pancerza, które zastępuje mała tarczka służąca do przewleczenia rzemieni, innych całości starożytniczych, ani grup takich, jak w pierwszej sali złożyć niepodobna było.

Tylko jeszcze piękna grupa bronzów z czasów cesarstwa, kadzielnic, świeczników figurowych, dobrze się znalazła umieszczona obok starogreckich lamp i staropolskich bronzowych wykopalisk. Od bronzów téż, jako sięgających w najodleglejszą starożytność, rzut oka na pojedyncze działy rozpoczynamy.

B r o n z y.

Pierwocin starożytności niewątpliwie sięgają wyroby z gliny palonej, wyprzedziły one o wiele odlewy z metalów, wszakże gdy bronz, jako najtrwalszy ze wszystkich do codziennego użytku służących metalów, w zbiorze wystawionych obecnie przedmiotów, przedstawiony jest przez okazy egipskie i indyjskie, dawniejsze od ceramicznych jakie posiadamy; zatém od bronzowych wyrobów ten rzut oka rozpoczynamy.

Bardziej niż bożyszcze egipskie, z domowego pochodzące ołtarzyka i amulet chroniący noszącego go od nieszczęść, zajmującemi są pod względem piękności świecznik i lampki bronzowe greckie. Tu zastanawiają nas zakroje form, skromne w ogólnych zarysach, nie przekraczające rozwojem swym konieczności użytkowej przedmiotów, a mimo to pełne pociągającego wdzięku.

Pod względem odlewniczym zajmującemi są te wyroby tém, że są z jednej sztuki, że odlew nie jest składany.

Grecy od asyryjczyków i persów sztukę bronzowniczą przejąwszy, mistrzami w niej byli i jednolitość odlewu stosowali zarówno do przedmiotów codziennego użytku drobnych, jak i do wielkich posągów, któremi zapełniali place i świątynie.

O zasadowych zarysach form greckich naczyń, mówić będziemy pod ceramiką, do której wstęp stanowią pompejańskie naszej wystawy naczynia.

Posiew starożytnych sposobów posługiwania się podobnym do złota aliażem, i wśród tak zwanych przez południowców barbarzyńskich narodów, środkowej i północnej Europy przyniósł liczne plony.

Ziemie nasze pełne są wyrobów bronzowych, dobywanych od czasu do czasu z grobowisk prastarych. Starożytni normandowie, celto wie, słowianie mieli za broń siekiery i dłuta z brązu, który im zastępował kość, krzemień i inne twarde kamienie, a za ozdobę koła na ręce, ramiona i szyje—ozdobne naszyjniki, pierścienie, kolczyki i spiniki. Tok tej umiejętności i pracy metalurgicznej na całej przestrzeni Europy, zarówno jak i w kraju naszym nie ustał w wiekach średnich, w czasach już historycznych, a jako dowód służy tu odlew gipsowy dwóch części drzwi bronzowych Katedry gnieźnieńskiej. Styl epoki, piękna ornamentyka XII-go wieku (fundacya Bolesława Krzywoustego) i sama sztuka odlewnicza, dowodzą ciągłego związku pomiędzy pierwocinami umiejętności, a tą uprawą, z której się w wiekach XIV-m, XV-m i XVI-ym wyłoniło odrodzenie sztuk pięknych w całej Europie.

Mając zaznaczony kilku posążkami wiek odrodzenia włoskiego, zwrócić musimy uwagę na bardzo licznie przedstawione bronzownictwo ostatnich dwóch wieków. Nasuwa się tu przed innemi uwaga co do ścisłego związku budownictwa z wyrobami ozdobnemi, noszącemi cechę danéj epoki.

W dziale sprzętów kościelnych i codziennego użytku, będziemy mieli sposobność wpływ ten wyraźniej na utworach XV i XVI-go wieku okazać, tu tylko nadmieniamy, w braku wcześniejszych okazów ornamentacyi bronzowych niż z wieku XVIII-go, że była to epoka upadku sztuki, że po oryginalnym ostrołuku i świetném odrodzeniu włoskiém, dokonał rozstroju w pomysłowości ornamentacyjnej, świeży wpływ modnej chińszczyzny.

Kształty wyginane mebli, jakie w przodującej w rękodzielactw Francyi spotykamy za czasów Ludwika XV-go, pociągnęły za sobą podobnego rodzaju we wszelkich możliwych kierunkach powyginane ozdoby brązowe, a za nimi poszły i inne bardziej samodzielne do brązu zastosowane pomysły ornamentacyjne, świeczniki, pająki, wazy i t. p.

Muszlowe wgłębienie, muszlowe wyginania przeplatane roślinnością, a częstokroć ustrojone w przedmioty stanowiące naleciałość rea-

listyczna, wcale nie stylową i bezsensową w ornamentyce, stały się podstawą ówczesnej modnej piękności tego rodzaju pomysłów.

Dopiero zwrot ku światowi klasycyzmemu, który się zaczął za Ludwika XVI-go, a następnie do zenitu doszedł w końcu XVIII wieku i na początku XIX-go po radykalnym kataklizmie, który wstrząsnął Francją i świat cały, spowodował i w sztuce zmianę najzupełniejszą.

Stara Grecya i Rzym, jak w życiu tak i w sztuce, na początku obecnego wieku stały się wzorami, a prostota form, naturalność istotna na prawdziwem pięknie oparta, wkraczają w dziedzinę piękna. Dość spojrzeć na wazy, świeczniki, zegary, kandelabry, czy to ozdobione figurami, czy bez nich, aby się przekonać, jak zdrowe zasady twórczości były ich zarodowem ziarnem. Obfitość okazów z téj epoki w dziale bronzów szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dała możność rzucenia drogą téj wystawy dobrego posicwu, wskazującego jak w naturze zewnętrznej, jak w uszlachetnieniu jój form zapełniających zarówno naszą ziemię, jak i wszystkie inne, szukać należy materiału do klasycznej pomysłowości ozdobnej.

C e r a m i k a.

Pod tym tytułem mieszczą się zwykle wszystkie wyroby z wypalanej gliny, począwszy od najzwyczajniejszych garnków i dzbanów surowych lub polewanych, aż do pięknie malowanej porcelany, różniąc się one tylko rodzajem glinki, a skutkiem tego sposobem palenia, liczbą mogących się powtórzyć wypaleń, i co zatem idzie, większą lub mniejszą podatnością materiału do pokrywania go bądź piękną polewą, bądź wytworniejszém jeszcze pomalowaniem.

Nie ta jedna atoli tylko właściwość warunkuje piękność ceramicznych robót, największe jój zalety stanowią formy, piękne zarisy kształtów. Celowali w téj prostocie a zarazem piękności form grecy starożytni, jak nas o tém przekonują dzbany i wazon obecnej wystawy.

Przypomnijmy tu odnalezioną przez badaczów i estetyków zasadę, którą można nazwać formułą treściwą służącą za podstawę kształtom greckich naczyń. Oto kula i walec zkombinowane z sobą, a dodaćby można, przez dołączenie stożka zamienione na owalne i elipsoidalne formy, są zasadą wszystkich pięknych starożytnych waz i naczyń.

Scisła foremność podstawowych kształtów owych, stanowi żywość piękna z prostaczęj gliny wytoczonych i malowidłami figurami pokrytych greckich naczyń.

Téj saméj zasady opartej na bryłach foremnych, trzymano się i w tworzeniu naczyń bronzowych, jak to łatwo dostrzedz zauważysz np. że obie nasze lampki w głównej swéj części środkowej są odcinkami najforemniejszój bryły, kuli.

Popielnice pochodzące z wykopaliska w pobliżu Warszawy są

odmienną od greckich formy a jednak dostrzedz w nich można i zastosować do nich zasadę wyżej wymienioną, zredukować ich zarysy do stożka, walca i kuli. Byłoby rzeczą godną bliższego i na podstawie liczniejszych okazów przeprowadzonego badania o ileby zasadnicze a oryginalne zarysy popielnic polskich nadać się mogły do wytworzenia z nich oryginalnych utworów ceramicznych.

Dzbanki staro-niemieckie polewane i majoliki stanowią w tym dziale przejście do porcelany i fajansów—do których to ostatnich należą wyroby z tak zwaną „pâte tendre“.

Glina majolikowa wytrzymująca jedno tylko palenie, musi być malowana na surowo a następnie pokryta polewą wypalaną jednocześnie w ogniu niewysokiej temperatury, a z tego powodu ograniczyć się musi do niewielkiej liczby barw i tylko dobrym stylizowanym rysunkiem, tak jak greckie i etruskie wazony musi okupywać surowość zarysów i małą barwność powierzchni.

Wiek średni całe i nowożytnie aż po połowę XVIII nie znały innej ceramiki jak z gliny zwyczajnej, wyborowej, pławionej, dopiero w dwieście lat prawie po stosunkach związanych z Chinami, podróżnicy zaznajomiwszy Europę z nieznanym jej dotąd wyrobem, wpłynęli na użytkowania w kierunku naśladowania ich, a ostatniemu stuleciu zawdzięczamy cały rozwój tej gałęzi przemysłu.

Böttgera saska porcelana z glinki caolinowej otworzyła drogę innym fabrykom a jednocześnie prawie nie tylko w Sévres we Francji ale i u nas w Korcu, w Belwederze pod Warszawą powstały zakłady z których okazy na obecnej znajdujemy wystawie.

Żałować musimy że porcelany francuskiej dawniej okazów prawie nie mamy, zamierzyszy zaś ograniczyć się do starożytnych tylko wyrobów niesięgających poza rok 1830 nie możemy mieć przed oczami miary tego wyborowego pod każdym względem i wszechstronnie doskonałego rozwoju fabryki Sewrskiej, jakim ona dziś przed innymi odznacza się.

Srebra i kosztowności.

Każdy materiał powinien być odpowiednio do natury swój, do swych właściwości obrabiany, jeżeli wyrób ma być piękny. Widzieliśmy już na czem polegała skromna a prawdziwa piękność waz greckich, a do jakiego stopnia i rodzaju ozdobości doprowadzona brązowych świeczników kwiecistość, jakimi barwami lśnić się może porcelana, a w jak skromnej stylistyce trzymaną być musi majolika. Wszędzie tu mniejsza lub większa podatność materiału warunkuje sposób użytkowania jego przymiotów.

Srebro i drogie kamienie muszą błyszczeć, lubo różny jest ich blask i z tego powodu nie w jednakowy sposób użyty być powinien jeżeli ma odpowiednio uczynić wrażenie. Pierwsze wielkimi, pięknymi, masami oko uderzać musi, drugie wytykają jaskrawym blaskiem

pewne punkta, na które uwagę oko zwrócić ma, lub wprowadzone w drganie oślniewają wzrok.

Pierwszego życia w sprężystości nadającej się do łatwego urabiania form, drugich, w promieniowaniu, strzelającym niespodziewanymi blaskami, z pośród martwej twardej oprawy, lub wytwornej złotej koronki. Od najdawniejszych czasów w dwojaki sposób przerabiano srebro jako materiał lub inaczej kruszec szlachetny: odlewano zeń przedmioty topiąc, lub wykuwano na zimno, w pierwszym i drugim razie srebro zarówno jak i bronz ulega dławotowia powierzchni, stanowiącemu oddzielną artystyczną umiejętność (cyzelowanie, ciselure).

W czasach najnowszych zastosowano do srebra trzeci sposób wyrobienia zeń różnych przedmiotów, to jest prasowanie maszynowe, zastępujące wykuwanie z lewej strony, ten sposób atoli możemy pominąć, gdyż niemamy tu wyrobów nowożytnych.

Puhary, czy to czysto srebrne, czy złoczone, tace, zastawy stołowe całe, łatwo do właściwej epoki odnieść, zwracając uwagę na większą lub mniejszą prostotę form ogólnych, które z samej konieczności zastosowania trudnej roboty wykuwania od wewnątrz wypływały.

Artyzm tej roboty w wielu razach podziwu godny i dziś jeszcze przewyższonym nie został i skłania prawdziwych w tej sztuce mistrzów do używania go.

Ogólny rzut oka na ten dział tak obficie przedstawiony, pod jednym względem nie może estetycznych wymagań zadowolić, a mianowicie pod względem form ogólnych, puharów, roztruchanów i dzbanów srebrnych. Niezaprzeczenie trudność roboty wykuwanej, ważną tu była przeszkodą, wszakże w sztuce włoskiej wieków odrodzenia, piękne zarysy na greckich amforach wzorowanych dzbanów były częstymi objawami, dziś zaś w nowożytniej sztuce francuskiej (Christoffe Barbedienne) znajdują oddźwięk; surowość zatem prostolinijnych przeważnie, walcowatych lub stożkowatych mało zwężających się i zciętych pucharów srebrnych XVII i XVIII wieku przeważnie wystawę naszą zapełniających należy odnieść do cech charakteryzujących ówczesne zamożne, ale prostaczych obyczajów rycerstwo środkowej Europy.

Mała liczba kosztowności oprawnych nie daje nam pola do szerszych uwag na tém miejscu, rozszerzymy się w tej materii w dziale sprzętów kościelnych, przedstawiających do tego sposobność.

Do działu kosztowności zaliczyć musimy jeszcze dwa ich rodzaje: przedmioty drobne jako to: zegarki, tabakierki pięknymi ornamentacjami ozdobione z drogich kruszców, kamieniami nasadzane a style epok swoich wybornie wyrażające i rytowania na twardych kamieniach należące z jednej strony do tej kategorii wyrobów z drugiej do sztuk pięknych o ile to są kamee lub gemmy, bądź starożytne bądź nowożytne.

Starożytne greckie i rzymskie kamee i gemmy miały w swoim czasie znaczenie sztuk reprodukcyjnych powtarzając w małych formatach arcydzieła mistrzów i z tego względu oddały historii sztuk ogrom-

ne usługi—niezależnie od tego znaczenia same będąc nieraz skończonymi pięknymi dziełami.

Z nowożytnych gemmy (wkłęste rytowania) i kamee (wypukłe) ś. p. Regulskiego jedyne polskiego rytownika w twardych kamieniach zasługują na szczególną uwagę. Głowy i popiersia rżnięte na słojowatych umyślnie odpowiednio dobieganych agatach doprowadzone w skończeniu ciała do zadziwiającej miękkości, należą do cennych ozdób naszej wystawy.

Sprzęty kościelne.

Co jest najprzedniejszych kruszców, drogich kamieni i materyj składa się na przyrządy kościelne. Postawiliśmy je osobno lubo materyałem różnorodnym wkraczają w kilka działów naszych, dla ich znaczenia wewnętrznego, stanowiącego ich właściwy nie cielesny materyał, wedle którego urabiać się musi forma zewnętrzna.

Dawnością nie sięgają wyroby tu zgromadzone po za wiek czterenasty—jak na materye jednak 500 lat to dużo, a najstarsze są własnie ornaty wyszywane. Krzyż zajmujący środek ornatu czerwonego z XIV wieku szyty srebrnymi nitkami i jedwabiem ma na środku ukrzyżowanie w ramionach zaś symbole czterech ewangelistów. Ornaty i infuły późniejsze odznaczają się bardzo pięknymi wypukłymi naszywaniem złotem i srebrem na aksamicie i innych materyach. (Sala G. nr. 464).

Arcydziełem w swoim rodzaju jest monstrancya srebrna złożona w stylu ostrołukowym XV wieku, krzyż duży z ostatniej epoki ostrołuku, to jest z końca wieku XVI-go i wielki kielich z wieku XVII z tegoż metalu kamieniami drogiemi wysadzany.

Monstrancya wspomniana jest jedynym przedmiotem z wieków, w których ostrołuk kwitł i naturą swą na wskroś konstrukcyjną przejmował wszystkie ówczesnych rękodzieł wytwory; wieżyczki też łukami powiązane stanowią całość robiącą wrażenie frontonu kościoła w jego górnej szczytowej połowie. Wiek odrodzenia bardziej ornamentacyjny niż konstrukcyjny byłby nam dał przedmiot ten w formach piękniejszych zaokrąglonych, pięknymi liśćmi zdobnych, miękko i wytwornie obronionych.

Kielichy począwszy od największego kamieniami nasadzonego, aż do ostatnich z wieku XVII i XVIII przedstawiają stopniowe odmiany jakie wraz z ornamentacyami stylów architektonicznych nastąpiły i w wyrobach rękodzielniczych. Ciekawym jest oprócz owego olbrzymiego inny srebrny, tylko złożony, z XVII wieku o środkowej części nogi w miejscu ujęcia ozdobionej, w ornament zamienionemi, herubinami.

Sprzęty codziennego użytku.

Sam tytuł nasuwa myśl, że to, co się przez setki lat codziennie używa przetrwać nie może, zwłaszcza jeżeli materyałem wyrobu jest

drzewo; Niemamy też drewnianych sprzętów z odległych epok, najdawniejsze z zgromadzonych nie sięgają poza wiek XVII a dochodzą do r. 1830. Przeciąg to czasu dość wielki, gdy jednak obejmuje tylko najnowsze wieki należy się najdawniejszym, jako protoplastom późniejszych, dopełnienie okazami uwydatniającemi nieprzerwany ciąg rozwoju, charakterystyczne odmiany, odróżniające od siebie całe stulecia, lub nawiązywanie dawnych form na nowy wątek.

Takiego nawiązania przykład najwyborniejszy, daje porównanie mebli starogreckich z meblami nowożytnymi z czasu pierwszego cesarstwa Francuzkiego, to jest z czasów powrotu tak w obyczajach, ubiorach, jak i sztukach do klasycyzmu starogreckiego i starorzymskiego. Najwyraźniejszą odmianę form mebli znajdujemy w XIV i XV wiekach w czasie kwitnienia ostrołuku, który swych konstrukcyjnych przymiotów piętno wyłaczał na sprzętach i wyrobach, aby je z budowlami w zgodzie utrzymać. Często też w sprzętach tej epoki napotyka się podobieństwo, jakie widzieliśmy w monstrancyi wyżej wzmiankowanej to jest, że gdy kościelne aparaty upodobniano świątyniom, szafy mieszkalne czyniono podobnemi do zamczysk, o mocno okutych bramach i zazębionych górnych gzymsach.

Sprzęty wieku odrodzenia sztuk we Włoszech wraz z architekturą schodzą na drogę ornamentacyjną nie bez dołączenia filarów i innych dorobnych wiązań, któremi wiek XVII wprowadził budowę sprzętów na drogę wskazaną na naszej wystawie przez szafę gdańską ciężkim gzymsem w górze zakończoną. Filarowe toczne nogi napotkać można u stołów i stołków z epoki odrodzenia i aż po wiek XVII w którym rozpoczęły się przy wysokich jeszcze, ostrołukowe piętrzenia przypominających, poręczach, gięte nogi ornamentami powiązane. Od tego czasu, aż po koniec XVIII wieku wyginania wszystkich kształtów sprzętów drewnianych tak stołków, stołów, jak szaf i biurka, których mamy na wystawie znaczną liczbę, coraz się zwiększają. Piękność istotnie konstrukcyjnych składników sprzętów zastępuje kosztowność wykładanń różnemi gatunkami rzadkich drzew, metalami, zdobienie bronzami. Wiek XVIII za Ludwika XVI wrócił do prostoty pięknych zarysów, po których, jak się to wzmiankowało, nastąpił powrót do greczyzny.

Sprzęty metalowe a zwłaszcza miedziane naczynia, stanowią ważny szereg zabytków średniowiecznej obyczajowości, zwłaszcza że są pomiędzy niemi niektóre ciekawemi pokryte napisami. Są one wykowane od wewnątrz, a następnie zewnątrz młotkiem i dłutem wykończane, ozdoby płaskie i napisy zosobna jeszcze ryłcem wyrobione. Szklane też naczynia bądź malowane, bądź nie malowane w napisy zapatrzone, odpowiednio, krajowego wyrobu, zasługują na uwagę, jako obyczajowości narodowej owoce.

Zbroje.

Myliłby się ktoby mniemał, że czasy najdoskonalszych płatnerskich wyrobów były wiekami największej odwagi osobistej walczących; zupełnie inne świadectwo owym w żelazne płaty zakutym rycerzom wydaje historia, a dzisiejsze czasy pocisków strzelniczych, którym się żaden pancerz oprzeć nie zdoła, są istotnie świadkami najbardziej bohaterskich walk. Broń odporna od dwóch tedy zależy czynników: od odporności, odwagi walczących i od siły i przymiotów broni zaczepnej. W wiekach odległych, kiedy na ziemi naszej, tak jak i na wielu innych, w czasach najstarożytniejszych, młoty kamienne lub krzemieniami nasadzane dębczaki stanowiły broń zaczepną, zrzadka urozmaiconą grotami bronzowymi lub żelaznemi, jakich próbkę pośród wykopalisk umieściliśmy, wystarczała zbroja ze skóry grubej i tarcza łubowa skórą powleczone. Żelazne miecze, młoty, topory i oszczepowe groty stale w użycie wprowadzone, pociągnęły za sobą żelaznemi łuskami naszywane skórzane pancerze, za któremi w wiekach wojen krzyżowych ze wschodu napływać poczęły, wraz z lepszą stalową bronią zaczepną, azyatyckie kolczugi. To jest druga faza uzbrojeń, jaką wystawa nasza w dość znacznej ilości przedstawia.

W następnych wiekach XIII i XIV-ym, gdy łuki ręczne zastąpione zostały przykładowemi o żelaznych sprężynach, naciąganych korbą a druzgoczące kości, bełty, musiały być z użycia wywołane, płaty żelazne poczęły pokrywać piersi, ręce, plecy, a następnie i nogi wojowników, a hełmy ze stożkowatych z ochronnym prostym nosalem, zamieniły się na domki żelazne o otwieranych okienicach (przyłbicach). Nie wszystkie jednak narody jednakich używały uzbrojeń, lubo broń zaczepna ciągle udoskonalana, zmuszała do postępu i nowych pomysłów w wytwarzaniu odpornej. Husarze nasi nie używali nigdy przyłbic, pancerzów na plecy zrzadka i obywali się zupełnie bez nogolenników, butami je zastępując, w czasach nawet kiedy już i łuki korbą nakręcane, czyli kusze, zastąpione zostały bronią palną.

Wieki XVI i XVII-ty największego z bogacenia się Europy z jednej strony handlem ze Wschodem, wyrobionym na stosunkach jakie krzyżowe wojny sprowadziły, z drugiej strony nowemi nabytkami na zachodnich zaoceanowych złotem płynących wybrzeżach Meksyku, rozwinęły też zbytek w świetnych uzbrojeniach zamożnego rycerstwa. Włoskie a szczególnie hiszpańskie, toledańskie zbroje były marzeniem każdego magnata-rycerza, a piękność nie polegała na samém li rytowaniu stali, na samém nabijaniu złotem ozdób, pokrywających zbroję od hełmu aż do ostrogi, ale na artystycznie wykuwanych wyobrażeniach bohaterskich postaci i walk całych, zdobiących hełmy pancerne i tarcze.

Próbę tak pięknego, artystycznie wykutego i dıtowanego hełmu, mamy na wystawie ze zbiorów ordynacyi Zamojskich. Złoto

i drogie kamienie nietylko stale okrywały hełmy i tarcze rycerskie, nietylko pochwy i rękojeście damasceńskich szabel, ale ze wschodu napływały do kraju naszego nawet bogate, nasadzone kamieniami rzędy na konie. Kilka tego rodzaju pięknych okazów mieści jedna z oszkłonnych gablot naszych, gdzie wśród innych zabytków te bogate świetnieją uzbrojenia.

T k a n i n y.

Moglibyśmy sobie zadać pytanie, jaki pożytek praktyczny da się odnieść z zapatrywania się na tkaniny starożytne, w obec dzisiejszego postępu rękodzieł, w obec hemii farbiarskiej tak daleko posuniętej? Nie bądźmy zarozumiałymi i przyznajmy, że starożytni i niektórzy dzisiejsi barbarzyńcy mieli i mają w tych rzeczach wiadomości na których nam zbywa. Pliniusz świadczy że egipcyanie wrzucając w kocioł farbiarski czystą wełnianą tkaninę, wydobywali ją ufarbowaną na kilka-naście barw wzorzysto rozłożonych, a dzisiejsi japończycy umieją tak farbować jedwabne materye swoje że po wyjęciu ich z kadzi np. napełnionej barwnikiem ciemno-fioletkowym, wydobyte mają na sobie, określonego czysto i ostro kształtu, uszerogowane kółka lub inne wzory barwy żółtawej. Czyż potrzebujemy przypominać, że anglicy do dziś dnia szukają barwników roślinnych w Indyach a kobierce wschodnie dotąd nie mają sobie równych pod względem piękności i szczególnego im właściwego stylu. Wszakże i owe piękne pasy Paschalisowskie z ojców ormian w Polsce zrodzone ich piękna lita wzorzystość, tegość przy gibkości, dającej płynne załamania fałd, to właściwości jakich brak nieraz dzisiejszym czysto jedwabnym tkaninom, łamiącym się w ostre jak papier fałdy.

Wschodnie też materye znalazły pomieszczenie osobne wraz z mnóstwem innych tkanin i koronek starożytnych złotych na wystawie naszej. Niewątpliwie nie wszystkie próby materyi dawnych zasługują na naśladowanie, pozostaną jednak jako ciekawe starożytne okazy zajmującemi. Do takich należy owa różowa suknia srebrem naszywana z czasów Stanisława Augusta. Wielka liczba pięknych koronek, wzorowy zbiór okazów różnorodnych stanowiąc, przyciągać może panie z zamyśleniem uprawiające obecnie tę pracę.

Gobeliny zdobiące ściany a szczególnie jeden w ramę oprawiony, będący kopią obrazu Rosa di Tivoli przedstawiającego kozy w krajobrazie, należy do pierwszorzędnych w tym zakresie wyrobów. Szczególnie owa kopia powtarza oryginał z doskonałością łudzącą oko.

Tu by jeszcze słowo rzucić należało o materyach na aparatach kościelnych poprzednio pod właściwym tytułem wzmiankowanych. Słowo to będzie tylko zwróceniem uwagi na ornamentykę tkanin po której wiek w jakim wyrobiona została rozpoznać można, blisko tych poważnie ornamentowanych roślinnemi stylowemi wzorami adamaszków, dziwnie zepsutym gustem odbijają materye XVIII wieku, gdzie

naturalistyczne kwiaty koronkowemi przeplecione są zwojami: lekkie stulecie było, lekkie też pomysły.

O b r a z y.

Religia chrześcijańska której Europa zawdzięcza nowożytną cywilizacyą swoją a w każdym razie przeobrażenie starożytnę, stała się też dźwignią rozwoju sztuk pięknych rozpoczętego od obrazów w wiekach VII i VIII walką z obrazoburcami stoczoną i ustanowieniem typów kościelno-religijnych najważniejszych postaci. Obrazy najdawniejsze naszej wystawy pochodzą z epoki o kilka wieków od tych walk odległej i przeważnie z krajów które zdobycze sporów przyjęły zupełnie już gotowe, typy więc jakie tu spotykamy jedne północnymi inne południowymi przejęte wpływami, należą w każdym razie do powszechnie chrześcijańskich, średniowiecznych.

W toku rozwoju i przemian obyczajowych i społecznych, zaszły też zmiany w poglądach na postacie biblijne. Madonny Van-Dycka, Rembrandta, nie były już takie jakie na obrazach Cimy, Quintina Massysa lub niewiadomego autora starego tryptyka znajdujemy. Tkwi w nich innego rodzaju powab lub piękność, a są bardziej zwyczajnej ludzkiej natury, schodzą nawet na poziom osobistości codziennych, które ratuje tylko wysoki, niepospolity artyzm przedstawienia. Tego artyzmu prób wiele znajdujemy w salach hotelu Europejskiego, postacie religijnego zakresu czy to starcy, mędrcy, badacze pisma, czy młode niewieście, zalecają się szeroką manierą włoską; włoskich bowiem obrazów mamy najwięcej, najwięcej też dzieł wybornym rysunkiem i skończeniem świadczących o prawdziwej miłości sztuki autorów o dbałości w badaniu istotnej prawdy przyrody; przykład to godzien naśladowania, kierunek wzorowy a jako nauczający, nie powinienby przejść bez śladu.

Już wpływ stariej sztuki greckiej i rzymskiej w czasie odrodzenia włoskiego wprowadził wraz z pięknem na którym się religijny kierunek wykształcił inne tego piękna żywioły, bardziej cielesne, tak że jednocześnie tych samych mistrzów widzimy zajętych obrazami świętych i mythologicznych postaci. Tego odramienienia objawem jest Corregia Venus naszej wystawy.

Szło to odramienienie w dalszym ciągu na południu i północy Europy coraz szerszém korytem a szeregi Rubensowskich allegorycznych i mythologicznych pomysłów, zwłaszcza przez ręce jego naśladowników, doprowadziły sztukę do rozstroju, z którego ją już tylko wielkimi talenta wykonawcze od ostatecznego upadku broniły.

Pracę w sztuce nie tym tylko idealnym toczyła się torem, w odległych już epokach w wieku XV spotykamy się na północy i w środku Europy z portretami takich zalet wysokich, jakie na naszej wystawie Holbeina znajdujemy.

Wizerunków całe szeregi do ostatnich czasów zajmują tu dział

bardzo zajmujący pod względem nie tylko sztuki ale i historycznym. Portret Franciszka I przez Clouet'a stoi pod tym względem na pierwszym miejscu, piękne wizerunki flamandzkie a szczególnie Franca Halsa należą do najdoskonalszych. Rubens dobrym mężkim przedstawiony jest portretem. Zakończają ten szereg najbliższ nas obchodzące: Baciarellego, Lampiego, Brodowskiego Antoniego, gdzie się też z własnymi portretami autorów spotykamy. Szkice Baciarellego i Smuglewicza wypełniają zakres historycznej pomysłowości w której najodleglejszej epoki sigga pomysł Fr. Florisa Samson.

Życie potoczne rozpoczyna się od odwzorowań szkoły holenderskiej. Tu Teniers przoduje a towarzyszą mu Wyck Poelenburg i wielu innych. Do tych potocznych zaliczyć należy jeszcze sceny bitewne od Bourguignona'a aż do szkiców Verneta i typy tak piękne jak Greus'a. Krajobrazy i morskie widoki prowadzą nas nareszcie do tych kończyń sztuki w których artysta podmiotowe, człowiecze stanowisko swoje zupełnie na stronę odkładając w kontemplacji przyrody szuka wytchnienia, w piękności jej podniety do życia, w objawach jej licujących z objawami natury człowieczej, zwraca się w siebie samego i tę odwieczną harmonią całości świata dziełami swemi zaznacza.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość w Akademii francuskiej. — Mowa nowego członka Leconte de Lisle o Wiktorze Hugo. — Odpowiedź Aleksandra Dumasa. — Przyjęcie Fryderyka Mistrala przez Akademię marsylską. — Zmarły poeta Teodor Aubanel. — Napoleon I, studjum historyczne p. Taine'a. — Życie i utwory Gustawa Doré przez amerykańkę pannę Booswelt. — Listy Rossiniego.

Od czasu ostatniej kroniki naszej, Akademia francuska podwakroć otwierała podwoje nowym członkom. W lutym przyjmowała pana Hervé, po zmarłym księciu de Noailles, ostatniego znów marca wprowadzała poetę Leconte de Lisle, na miejsce Wiktora Hugo. Ostatnia uroczystość tak blaskiem swoim przyćmiła pierwszą, że o tamtej trudno nam coś powiedzieć. Hervé, wydawca orleanistowskiego dziennika „Soleil“, oddany całą duszą sprawie wygnanych książąt, biegły publicysta, nie zabłysnął jednak w literaturze. Jeżeli otrzymał przeważną liczbę głosów, zawdzięcza to niewątpliwie zasługom księcia d'Aumale, który, jak wiadomo, tak szczerze udarował instytut francuski. Przyjmował nowego członka adwokat Rousse, niemniej gorliwy orleanista. Obaj podnosili historyczne prace księcia de Noilles, znanego z legitymistycznych zasad, znanego autora czterotomowej biografii pani de Maintenon, małżonki Ludwika XIV. Mowy obu akademików, acz pięknie wypowiedziane, mało obudziły zajęcia, zostawiamy je też na boku, a więcéj czasu poświęcimy drugiej uroczystości.

Leconte de Lisle zasiadł na miejscu Wiktora Hugo. Przed laty osmiu, wytworny ten poeta stawał już w rzędzie kandydatów, lecz usunięty został, jedyny głos odezwał się za nim; był to głos Wiktora Hugo. Ztąd też Leconte de Lisle powtarzał z dumą: w mniemaniu mojem jestem akademikiem, z trzydziestu dziewięciu głosów jeden tylko ma dla mnie wagę i ten mnie dziś nie chybił.

Wyobrażamy sobie zakłopotanie poety, gdy mu znów przyszło składać urzędową wizytę tymże samym członkom, których obraził tak

ciężko, uważając ich za nic. Większą cześć członków od lat ośmiu przekonała śmierć o nicestwie rzeczy ziemskich, kilkunastu przecież dotąd pozostało i to ludzi znakomitego imienia, jak Legouvé, Nisard, Marmier, Doucet, że pominiemy innych. Wola zmarłego poety, stała się dla nich prawem, chcieli ją uszuauować. Śmiało też Leconte de Lisle może i dziś powtórzyć, iż Wiktor Hugo uczynił go akademikiem.

Zanim przystąpimy do uroczystości powiedzmy słówko o nowym członku nieśmiertelnego grona. Leconte de Lisle nie należy wcale do tych uprzywilejowanych poetów, których pieśń wnika do wszystkich serc i wybiega przez wszystkie usta, nie zyskał on popularności w ojczyźnie własnej, a témbardziej po za obrębem kraju. Najstarszy z dzisiejszej plejady poetów, liczy bowiem lat sześćdziesiąt dziewięć, urodzony w Antyllach, od czterdziestu lat przebywa stale w Paryżu; oddany wyłącznie poezji, głęboki erudyta zbadał do gruntu literaturę starożytną, przełożył najcenniejszych poetów greckich od Homera, Hezydoda i wielkich tragików do Teokryta i pieśni orficznych. Miłośnik wytwornej formy greckiej, pragnął dostroić do niej francuzką poezją, stanął na czele szkoły tak zwanych parnasistów z Teofilem Gautier i Teodorem Banville. Celem ich było odrodzić zużyty klasycyzm, wzbogacić go mnóstwem wyrazów i zwrotów odgrzebanych przez Wiktora Hugo i całą jego szkołę. Stowem zamierzili przez wiersze ściśle klasyczne, nie pozwalając sobie zaniedbania wersyfikatorów klasycznych, zachować cały blask romantyzmu, nie pozwalając sobie wybryków romantycznych.

Wierni programatowi, trzej przewodcy parnasistów doprowadzili formę do nieznaną dotąd doskonałości. Gautier, jak nowy Benvenuto Cellini, rzeźbił misternie swoje k a m e e; Banville wprowadził do poezji mnóstwo form odgrzebanych z ronsardowskiej plejady, Leconte de Lisle wykuwał najpyszniejsze aleksandryny, prześcignął formę starożytnych i nowożytnych poetów, ale niestety, wytworną tę formę przyoblekł w nihilistyczne idee. Zimny erudyta przebiegł, jak mówi sam, wszystkie systemata filozoficzne, zbadał wszystkie plemiona, przeczytał tysiące ksiąg, poznał wszystkie arcydzieła geniuszu ludzkiego, wsłuchał się w wszelkie objawy cierpień ludzkich i na dnie wszystkiego znalazł przerażający wyraz: nihil, nie! wypowiedział to w rozpaczliwej zwrotce:

„Boska śmierci, co wszystko zacieras z i chłoniesz,
Weź twą działwę na łono gwiazdami błyszczące,
Zagładź ślady stóp naszych w czasie i przestrzeni,
Powróć nam cichy spokój życiem zakłócony.”

Ta rozpacz zimna, wyrozumowana, to nie rozpaczliwy szal owych byronowskich korsarzy, mickiewiczowskich Gustawów i Konradów, gotowych skruszyć ziemskie pęta, w pogoni za niedoścignym ideałem! Leconte de Lisle nie wierzy w ideały. Zwolennik budystańskiej N i r -

w a n y, pragnie tylko spocząć w wiekuistym nicestwie „na lirze jego naciągnięte same żelazne struny,“ wyrzekł o nim inny poeta, żadna nie zadrgnie współczuciem dla cierpień bratnich, pieśń jego też, mimo doskonałej formy, dzwoni bez oddźwięku. Wróg szatów romantycznych, sam bez serca, nie patrzy w ludzkie serce, śpiewa też samotny i niezrozumiany; ogół nie słyszał o nim, „nie lgnie do niego fala, ani on do fali,“ nikt nie zna jego bytu, nikt, oprócz małej garstki estetyków, dla których w poezyi wystarcza piękna forma.

Leconte de Lisle trzyma się zwykle w ścisłych korbach przedmiotowej poezyi, czasami tylko wybuchnie goryczą i pogardą, w tym naprzykład przerażającym sonecie: „Jak włóczęga jarmarczny oprowadza zwierza z łańcuchem na szyi, okrytego ranami, starzanego w kurzawie, omdlałego na skwarze południowym, niechajże kto chce włóczy po twym cynicznym bruku, o tłuszczo rozżarta, serce twoje z krwi nie ociekłe.

„Niechaj kto chce rozdziera promienistą szatę boskiego wstydu, aby rozlić bełtodyny ogień w twém oku ogłupiałém, aby wyżebrać uśmiech twój lub grubijańską litość.

„Ja, gdybym mógł zagrzebać się na czarną, nieskończoną wieczność w mojej milczącej dumie, w mym grobowcu bez chwały, nie sprzedam ci mego upojenia, ani boleści mojej, nie rzucę mego życia na pastwę szyderczych wykrzyków, nie będę skakał na deskach jarmarcznych, jak twoje nikczemne histryony!”

Aby tém lepiej okazać się bezosobistym, poeta wybiera do pieśni bohaterów z zapadłej przeszłości, z dalekiego gdzieś świata, przemawia przez usta Kaina, Kunacepa, Tiphaina, Bhagawata, Neferonia, Nurmahala, Hypaty, Nioby, Godruny, Weledy; przemawia głosem kondora z Kordyllierów, jaguara z pampasów, rekinów z atlantyku, psów z przylądka afrykańskiego, przez usta ludzkie. przez paszcze zwierząt, rzuca wciąż w oczy światu głos przekleństwa i skargi.

Szczególną nienawiść poprzysiągł poeta średnim wiekom, schłostał je w kilku dawniejszych poematach, kiedy jeszcze nie stał się owym tajemniczym sfinksem, zimnym jak gład, niezdolnym nawet nienawidzić.

Te utwory, pełne jadu, obudziły wymowną protestacją innego poety. Anatol France podnosi mistrzowską formę kilku z tych poematów jak „Dwa miecze“, „Kruk“, „Chart Magnusa“ i t. d., ale wypowiada śmiało, że mistrz słowa nie zna historii. „P. Leconte de Lisle, mówi on, widzi jedynie w średnich wiekach głód, szubienice, trądy i zapalone stopy. Z tych danych, kto jest poetą, może wysnuć czarodziejski wiersz, ale rzeczywistość ukazuje nam inne jeszcze rzeczy w tych wiekach, mniej ciemnych, gdy je z bliska rozpoznajemy. Są tam ludzie, którzy niewątpliwie czynili wiele złego, trudno bowiem żyć a nie szkodzić, więcęć przecież dobrego uczynili ci ludzie, bo przygotowali świat lepszy. Cierpieli oni wiele, kochali mocno! W twardych

warunkach, wśród bezustannych najazdów i mieszaniny plemion, zaprowadzali z niesłychanym wysiłkiem i godną podziwienia wytrwałością organizacją nowego społeczeństwa ludzkiego. Podnieśli do szczytu bohaterstwo i cnoty militarne, na których spoczywa ład społeczny; wyrobili ducha rycerskiego. Wiem ja, że byli gwałtowni, alez wielbię ludzi gwałtownych, którzy z prostym sercem pracują, by ugruntować na ziemi sprawiedliwość, a waląc krzepkiem ramieniem, posługują wielkiej sprawie.

Obok rycerstwa byli prawnicy pełni nauki i uczciwości. Prawodawstwo trzynastego wieku, godne podziwienia. Mamy liczne dowody, że w początkach wojny stuletniej stan wieśniaków w ogólności dobry był we Francji. Feudalizm wydał doskonałe owoce, nim począł wydawać szkodliwe; jego historia w tym względzie jest historią wszystkich wielkich instytucji ludzkich. Nie śmiałybym naszkicować w kilku zarysach obrazu średnich wieków, jak p. Leconte de Lisle w trzydziestu sześciu wierszach określił wieki przeklęte; zuchwałość taka dozwolona tylko poetom. Ale podczas gdy piszę, tysiące rozpierzchłych obrazów z życia praocjów naszych porusza się i błyszczy w wyobraźni mojej: widzę okropne, ale widzę też i przesliczne! Widzę genialnych rzemieślników, którzy budują katedry a ukrywają imię swoje; widzę mnichów, pełnych mądrości, żyjących w głębokiej ciszy z księgą w rękę; widzę teologów, którzy, przedzierając się przez scholastyzm subtelności, uganiają najwyższy ideał; widzę króla i całe rycerstwo, zrywające się do boju na hasło ubogiej pasterki. Jednemi słowem, widzę wszędzie święte plony pracy i miłości; widzę ule pełne pszczoł, słodkiego miodu. Ojcowie moi, bądźcie błogosławieni! bądźcie błogosławieni w czynach waszych, które przygotowały nasze czyny, bądźcie błogosławieni w cierpieniach waszych, które nie były bezpłodne, bądźcie błogosławieni nawet w obłędach waszej odwagi i prostoty! Jeśli to prawda, żeście nie dorównali wartością waszym następcom, tembardziejzieć cześć was będę. Po owocach poznamy drzewo. Bodajbyśmy zasłużyli na podobną pochwałę, bodajby przyszłość uznała, że nasze dzieci lepsze od nas!

A teraz przystąpmy do uroczystości akademickiej z dnia ostatniego marca. Przyjmował nowego członka Aleksander Dumas, obecnie kanclerz Akademii.

Leconte de Lisle, w słowach niby wyrzeźbionych z marmuru, jaskrawych, obliczonych na efekt, podniósł poprzednika do najwyższej apoteozy. Pod tą wytworną, zbyt wyszukaną frazeologią, czuć było chłodny powiew. Zdaniem mówcy, każde słowo Wiktora Hugo, to „złoty młot, uderzający po spizowém kowadle“, każda pieśń jego, to „trąba złota, roznosząca na świat prądy falujących idei“, obrazy jego pełne barwy i siły, to „świadeństwo zespolenia człowieka z przyrodą“, śmierć jego, to „spoczynek na łonie promienistej utudy.“

W ściśle streszczonej mowie, którą, powiedzmy nawiasem, nie jeden z estetyków tutejszych uważa za arcydzieło sztuki oratorskiej, Leconte de Lisle przebiegł wszystkie utwory Wiktora Hugo, objęte w czterdziestu tomach. Z poematów wystawia szczególnie pełne blasku „Oryentalki“, z pomiędzy dramatów stawia „Burgrafów“ na najwyższym szczeblu, podnosząc wysoko powieści, kończy przegląd silnem wystąpieniem przeciw panującej dziś szkole realistycznej.

„Dzieła zgasłego mistrza, mówi on, czytam zawsze z uwielbieniem, są dla nas pociechą wśród epidemii grasującej w dni naszych literaturze, rozsiewającej zarazę na schyłek wieku, rozpoczętego z takim blaskiem, z takim zamięłowaniem piękna. Ale jeśli pogarda ideału piękna wkradła się bezwstydnie w niektóre umysły zagrzezłe w grubijańskich teoryach, to jednak żywe prądy intelektualne, nie wyczerpane jeszcze do dna. Ogół czytający odrzuci ze wstydem to, czemu przyklaskuje dziś w zaślepieniu. Epidemie przemijają — geniusz pozostaje.“

Słowa te wywołały poklask w sali akademickiej. Zapytajmy jednak, co silniej zatruć może społeczny organizm: czy grubijańskie wyrażenia Zoli i jego naśladowców, czy też nihilistyczne teorie zwolenników budystańskiej Nirwany, głoszone najwytworniejsem słowem?

Odpowiedź Aleksandra Dumasa gorętsze nierównie wywoła oklaski, jakoż pisarz ten, zbyt często używający paradoksów, wystąpił tu po raz pierwszy jako wytrawny krytyk i głęboki myśliciel. Dłużej też zatrzymamy się nad piękną mową akademicką.

Określa nasamprzód Dumas wzajemny stosunek dwóch poetów. „Było to, mówi, za czasów cesarstwa. Wiktor Hugo przebywał w Guernsey. W gronie kilku młodych autorów, którzy odbywali bezustanne pielgrzymki na wyspę, przechadzał się w południe po tarasie. Najdrobniejsza chmurka nie émiła nieba, jakby wykutego z szafiru, nie dojrzeć było najmniejszej zmarszczki na gładkiej powierzchni oceanu. Wówczas jeden z obecnych powtórzył czterowiersz odbijający wiernie chwilę obecną: „Południe z błękitnych lazurów rozpościera nad doliną srebrzysty rąbek. Wszystko milczy. Powietrze bez oddechu płonie i pali. Ziemia śpi, otulona w ognistą szatę.“

— Co ty powtarzasz? — zagadnie Wiktor Hugo — i szuka w pamięci, azali on nakreślił ów obraz.

— Tę zwrotkę wyśpiewał Leconte de Lisle — odpowie młodzian. Hugo nie znał jeszcze tego imienia. Uderzony pięknnością wierszy, pragnął posłyszeć ich wicęj. Na żądanie mistrza, młodzian jął powtarzać całe ustępy z „Widzenia Brahmy“, z „Sukni Centaura“ i innych utworów, a potem mówił o samymże poecie, jak niepodległy, dziki, niemal drapieżny, żyje w samotnej pracy, niewzruszony w ideach swoich, rozmiłowany w poczyi, ubogi, dumny, nie uganiający się za dostatkiem, ani za sławą.

Zaciekawiony Wiktor Hugo, odczytał poemata starożytne. W słowie przedwstępnem Leconte de Lisle, zerwawszy zupełnie z tradycją,

wygłasza nowe dogmata poetyczne. Tu Dumas przytacza cały ustęp; powtarzamy go za nim.

Od Homera, Eschileśa i Sofoklesa, którzy przedstawiają poezją w jej żywotności, w jej pełni i jedności harmonijnej, barbarzyństwo opanowało umysł ludzki; pod względem sztuki oryginalnej świat rzymski stanął na równi z dakami i sarmatami, cykl chrześcijański jest cały barbarzyńskim. Dante, Szekspir i Milton, dzięki tylko osobiste-mu geniuszowi, zachowali siłę i wzniosłość, ich pomysły są barbarzyńskie, zarówno jak ich język. Rzeźba zatrzymała się na Fidiassu i Lizypie. Michał Anioł został bezpłodnym; dzieło jego cudne same przez się, otworzyło innym zgubne drogi. I cóż pozostało z wieków ubiegłych od epoki greckiej. Oto kilka potężnych jednostek, kilka wielkich dzieł bez związku i jedności.

Poezya nowoczesna, bezładny odbłyśk zapalczywój osobistości Byrona, sztuczna religijność Chateaubrianda, mistyczne marzycielstwo z poza Renu i realizm angielskich Lakistów, wszystko to mąci się i rozprasza. Pod uwodzącą pompą, brak całkiem życia i oryginalności. To sztuka z drugiej ręki, mieszanina nie połączona żadną spójnią, archaizm wczorajszy i nic więcéj. Ogół znucierpliwit się tą wrzaskliwą komedią; mistrzowie umilkli albo muszą umilknąć, znużeni sami sobą, zapomniani już, samotni wśród jałowych dzieł swoich. Poeci nowi, zrodzeni z przestarzałej i bezpłodnej estetyki, zrozumieli, że muszą skąpać w krynicach nieśmiertelnie czystych zużyte wyrazy, które-mi określają uczucia ogólne. Osobisty temat, powtarzany na wszystkie tony, wyczerpał uwagę powszechną. Ale jeśli potrzeba koniecznie rzucić tę ciasną, spowziedniałą drogę, nie wypada jednak puszczać się trudniejszym i niebezpiecznym torem, bez głębokiej nauki i wtajemniczenia. Po mozolnych próbach, azaliż język poetyczny, myśl badawcza uczucia duszy zatracą prawdę i moc, gdy zdobędą formę czystsza i lepiéj określoną. Wszystko to zrodzi owoce w danéj chwili; sztuka odzyska siłę, harmonią i ścisłą jedność. A potem, kiedy burzliwe umysły uspokoją się, kiedy odrodzona forma oczyści język, wtedy, za parę wieków może, poezya stanie się słowem natchnioném, żywym wyrazem ludzkiej duszy, dźwignią przyszłego społeczeństwa.“

Takie wyznanie wiary, ciągnie Dumas, nie było tylko pobudką do przyszłych zapasów; brzmiało niemniej jak dzwon zwiastujący porzecz, równie przeszłym jak i obecnym czasem. Było to hasło radykalnego przewrotu. Szło tu o odrzucenie wszelkiej nowoczesnej estetyki, o przywrócenie poetom kierownictwa duszą ludzką. Wiktor Hugo przeczytał niewątpliwie tę przedmowę, zapragnął téż poznać i pozyskać jej autora, pragnął zaciętego wroga uczynić apostołem swoim. Postąpił mu jedno z dzieł własnych, nakreśliwszy na okładce dwa wyrazy: *J u n g a m u s d e x t r a s*.

Przypomina dalej Dumas, jak Leconte de Lisle przybył, poznał i został pokonany, jak odtąd stał się jednym z najgorliwszych zwolen-

nikow mistrza. A jednak nie ustąpił na krok od dogmatów wyrażonych w powyższej przedmowie.

Tu Dumas występuje z całą energią przeciw teorii odrodzenia duszy ludzkiej przez poetów, zowie to mrzonką, snem, który nigdy urzeczywistnić się nie może. Powtarzamy ten ustęp jako nadzwyczaj ważny.

„Ta edukacja, dokonana przez poetów, mogła mieć swoją przyczynę, kiedy związki nieba i ziemi w innych niż dziś odbywały się warunkach. Kiedy bogowie opuszczali chwilowo Olymp, a znosili się z ludźmi; kiedy Athene, córka gromowładcy Zeusa, przemawiała wśród boju do Pelejona, widomego jedynie dla niej; kiedy trzy boginie poddały się pod sąd Parysa, który rozzuchwalony tym wyborem ściągnął na Troję klęski, tak cudnie przez Homera opiewane. Moralność, jakiej poeci wtajemniczeni w sprawy Boskie nauczali podówczas ludzi, zrodzona z wyobraźni, znajdowała właściwy sobie wyraz w pieśniach lirycznych i dramatach. Ale od czasów Walmiki i Homera nastąpił wypadek nadzwyczajny, nieprzewidziany, lubo przepowiadany. Wśród poematów orficznych i wedyycznych spadła jakoby z nieba mała książka, mniejsza od jednej pieśni Ramajany i Iliady; ta mała książeczka opowiedziała ludziom najcudowniejszą historią, o jakiej nigdy nie słyszeli i objawiła im moralność najczystsza, najrozumialsza, najbardziej pocieszająca i najpożyteczniejsza ze wszystkich, jakie wygłoszono kiedykolwiek na ziemi. Ludzkość uczuła w sobie nową duszę, na głos Rapsodów, przybyłych z małego kraiku, z Judei, którzy głosili i rozszerzali po świecie swój poemat, nazywali go boskim z taką siłą przekonania, z takim zachwytem, że pozwalali raczej przybijać się do krzyża, rzucać na pastwę drapieżnych lwów, niżby mieli wypierać się swęj wiary. I poemata religijne czasów starożytnych zatarły się wtedy jeśli nie w pamięci, to w sumieniu ludzkim, jak na pierwszy brzask słońca gasną gwiazdy, które mogły przyświecać jedynie w noc czarną!

I ludzkość odtąd przeszła od ubóstwienia piękna, do religii nakazującej dobro. Dusza ma swoje potrzeby zarówno jak ciało i umysł. Sztuka, która jak pan utrzymajesz, powinna być sama sobie celem, uważała niemniej za powinność oddać się w posługę objawieniu boskiemu. Bóg miał także, jak niegdyś bożkowie Hellady, swoich Fidyaszów i Lisypów, swoich Apelesów i Zeuxisów, w Donatellich i Michałach Aniołach, w Leonardach da Vinci i Rafaelach; a i muzyka zrodziła się jakby dla połączenia w jedność wszystkich głosów w świecie stworzonym, na chwałę objawionego Stwórcy. Nakoniec sama poezja zrzekła się panowania nad umysłami i jako poddanka wygłaszała chórem wieść szczęśliwą.

Pod tchnieniem Bożem powstała „Boska komedya” Dantego, „Messyada” Klopstocka, „Policukt” Kornela, „Atalia” Rasyna, „Raj utracony” Milтона, „Faust” Goethego, a wówczas, gdy pan przybyłeś do Francyi, przenikniony na wskroś poezją wschodnią i grecką, do których źródła pragnąłbyś nas dziś zwrócić, znalazłeś się w obec poetów

chrześcijańskich, w obec ostatniego odblasku tak zwanój przez ciebie sztucznej religijności Chateaubrianda! Lamartine, Wiktor Hugo, Musset, byli u nas żywym wyrazem spirytualistycznej poezyi.”

Tu przytacza Dumas na dowód trzy pieśni tych poetów: cudną „Modlitwę” Lamartina, „Wykrzyk do Boga” Wiktora Hugo po skonie ukochanej córki i „Żale” Musseta nad poetami, którym brak skrzydeł, by wzbić się w nieskończoność i wybłągać modlitwą jasny promyk nadziei.

„Piękne to pieśni, woła Dumas, nie znam zaprawdę piękniejszych; dodajmy do tego „Jezioro” Lamartina, „Smutek Olympia” Wiktora Hugo i „Wspomnienia” Musseta, a z chórami „Polieukta,” „Atalii,” „Estery,” z Kornelowskim przekładem „Naśladowania,” znajdujemy tu ostatni wyraz nowój poezyi, opiewającej miłość ziemską i Bożą. I przeciw temu śmiałybyś walczyć? i to chciałbyś obalić? Nadaremna pokusa!

Co radzisz pan czynić nowym poetom, ciągnie Dumas, już sam to rozpocząłeś, cierpliwie, z postanowieniem. Stłumiłeś w sobie osobiste wzruszenie, pokonałeś namiętność, zdusiłeś uczucie. W pracach twoich chciałeś, aby wszystko, co ziemskie, stało się obecnie obcém dla ciebie. Obojętny, błyszczący, niewzruszony jak starożytne zwierciadło, ukute z gładkiego srebra, odbijasz w sobie widziane światy, minione zdarzenia, wieki, wszelkie rzeczy zewnętrzne. Niechcesz, aby poeta zajmował nas dziejami duszy swojej, zbyt powszedniemi według ciebie! Precz z uczuciami, precz z wiarą, precz z ideałem, precz z uderzeniem serca, precz ze łzami! Uczyniłeś niebo pustém, a ziemię nędzną! Chcesz przywrócić życie poezyi, a odbierasz jój to, co jest życiem świata, miłość, wiekuistą miłość! Materyalna przyroda, nauka, filozofia, wiśtarczają dla ciebie. Zaprawdę, nieskończony widnokrąg, słońce, księżyc, gwiazdy, oceany, lasy, bóstwa, potwory, zwierzęta, są to wszystko zajmujące przedmioty, aleć ja, człowiek, jestem téż zajmującym przedmiotem.

Moje *ja*, które żyje, myśli, kocha, cierpi, wierzy i ufa, to *ja*—ubogi łachmanek, a przecież dla mnie drogi, ma takie prawo, zarówno jak reszta świata, wyrazić swoją miłość, swą boleść, swą wiarę i nadzieję! Jeśli pozwalam poetom, jeśli żądam od nich, by mówili o sobie, to dlatego, że mówiąc o sobie, mówią téż coś i o mnie. Rozprawy, rozumowania, teorye, formuły estetyczne, to nie dosyć, nie dosyć! To szczególną ma dla nas wagę, co nas głęboko wzrusza. Molier doskonale określił to słowami Agnieszki:

Twoje mądre rozprawy nie wstrząsły mą duszą,
Dwa słówka Horacego głębić ją poruszają!

I owóż te dwa słówka, które ludzkość zarówno jak Agnieszka radaby wiecznie słyszeć, dwa słówka tak pociągające dla niej, chciałbyś pan wykluczyć z poezyi? Co jój dasz w zamian? Po pięćdziesięciu latach erudycyi, rozmyślań, wtajemniczenia w tradycyę wszystkich

czasów, jakaż filozofia wynika z twojej trylogii tak barwistój, tak potężnej, z poematów starożytnych, poematów barbarzyńskich i poematów tragicznych? Oto przekleństwa Kaina, przekleństwa Baghawata, których ostatniem słowem nicstwo, a ideałem śmierć!

I oto wszystko, co nam przynosisz po trzech tysiącach lat barbarzyństwa umysłowego, od czasów Homera, Eschileśa i Sofoklesa; oto wychowanie, jakie adeptci poezji twojej mogliby dać nowym pokoleniom, przyjmując na siebie kierownictwo dusz ludzkich: znicestwienie bytu, apologia śmierci! Oto konkluzya Schopenhauera!“

Widzimy tu, że wbrew tradycyom akademickim, Dumas nie pali kadzideł na cześć nowego członka; nie poprzestaje on nawet na tych szydełkach, jakimi niektórzy akademicy ranią przybyszów w delikatny, ale dotkliwy sposób. Biegły szermierz śmiało występuje do zapasu, uderza wprost, rąbie krzyżową sztuką, wypowiada prawdę bez ogródki. Pociski jego rozbiły się o marmurową pierś pesymisty, znalazły za to oddźwięk w sumieniu i sercu obecnych; świadczył o tém bezustanny grzmot oklasków.

Mówca przechodzi do Wiktora Hugo. W kilku rzewnych słowach pokazuje węzły, jakie łączyły dwóch promotorów romantyzmu, Dumasa ojca z twórcą Hernaniego; wspomina ich wspólne tryumfy, ich wzajemny szacunek. Względy te nie zaślepiają go bynajmniej, sąd jego całkiem niepodległy. Po mistrzowsku charakteryzuje geniusz poety, w śmiałych zarysach kreśli historią tego geniuszu, pchanego naprzód pychą. Powtarzamy za nim ten ustęp:

„Wiktor Hugo ukochał jedynie chwałę. W piętnastym roku życia zapisał na kajecie: „Będę Chateaubriandem albo niczém!” W parę lat potém w odzie, drukowanej na czele pierwszego zbioru, czytamy słowa: „Chwała jedynym celem moim!“ Później ukochał wolność dla siebie i dla drugich, zrozumiał bowiem, że wolność tylko może dać mu chwałę, jakiej pragnął. Zrozumiał, że poeta może wzbic się nad wszystkich jedynie tylko w społeczeństwie demokratyczném, gdzie nie istnieje żadna arystokracja, ani przewaga rodowa, gdzie stargane już węzły tradycyi. Z tak bujną wyobraźnią, z tak potężnym temperamentem, ciasno mu było wśród owych konwencyonalizmów społecznych, gdzie myśl co chwila potraça o twarde zapory, gdzie dumne marzenia urzeczywistnić się nie mogą. Zrazu katolik i rojalista, później odrzucił formy religii i rządu, które krępowały mu wolność słowa, i nie pozwalały wzbic się na szczybel najwyższy. Byłby przyjął monarchią, gdyby mógł sam być królem, byłby wytrwał w Kościele, gdyby mógł być papieżem: połączyć w sobie dwie połowice bóstwa, jak wyraził w Hernaninie przez usta Karola V-go.

„Później, postać Napoleona staje mu przed oczyma, rozbudza go do pieśni, czemu? bo Napoleon, to żywe wcielenie najwyższej chwały, jaką człowiekowi osiągnąć дано.

„Takięj chwały potrzeba poecie; pragnie nawet męczeństwa, jeśli męczeństwo taką okupi chwałą.“

Opiewa też Napoleona, dorówna mu, kto wie, może go przerosnie? Homer nie przerosł-że dziś Achileasa?

„Wówczas to ody następują po sobie: Ody do kolumny, Ody do bramy tryumfalnej, Ody na powrót zwłok cesarskich.

Wreszcie kiedy poeta wygnany, obrał Guernsey na swoje wyspę Elbę, kiedy ujrzał się sam w obec szerokiego widnokregu, uczuł w sobie rosnące siły, sięgnął piisać księgę o Szekspirze; obliczu wielkich ludzi i takie rzuca słowa:

„Coraz mniejsza liczba wojowników i łupieżców, a wzrastająca liczba myślicieli, miłośników pokoju, powrót prawdziwych kolosów na scenę świata; oto główne cechy wielkiej epoki naszej. Nie ma nad to szczytniejszego widowiska. Ludzkość oswobodzona z góry, prorok depcze stopą bohatera, idea przemaga nad siłą. Burzyciele świata frymarczący ludami: Nemrody, Sancheryby, Cyrusy, Ramzesy, Cezary, Bonaparci, drapieżne te olbrzymy, zacierają się, nikną.“

„Napoleon zostaje znów Bonapartem. Jakoż poeta, samotny między morzem a niebem, upaja się pychą, upaja nieśmiertelnością, mieni się najwyższą nemezą świata, arbitrem sumień ludzkich. Nie jest on już na Elbie, jak Napoleon, widzi się na wierzchołku Synai, jak Mojżesz; na górze Oliwnej, jak Jezus w Patmos, jak 5-ty Jan Ewangelista odgadł słowo nieskończoności, mniema że poznał wszystko.

„Geniusz najwyższym jest kapłanem!“ woła uniesiony pychą; o mało że nie dodał: „geniusz to ja.“ Nie wyrzekł tego, ale zaczyna wierzyć, iż świat kiedyś to powie.

„Nadszedł rok 1870, Hugo tryumfuje. Tron runął, ołtarz zachwiany, stary świat drży w posadach. Poeta, który rzucał gromy jak Juwenalis, proroctwa jak Izajasz, powraca do ojczyzny z tryumfalną pieśnią na ustach. Nazywa dniem świętym, on straszliwy dzień ¹⁾, kiedy krew zalewa ulice, kiedy pożar pochłania dachy.

Ukończyła się wojna, pokój wrócił: poeta staje się bożyszczem tłumu. Słuchają go jak wyroczni, przyklaskują mu jak królowi, czczą jak świętego, zowią go mistrzem, ojcem. Pięćdziesiątą rocznicę Hernaniego obchodzą uroczyście w teatrze. Ośmdziesięcioletni jubileusz urodzin obchodzi całe miasto. Uczniowie wypuszczeni ze szkół, więźniowie uwolnieni. Czciciele padają na kolana, przeciwnicy milczą. Dopóki Hugo żyć będzie, nikt nie tknie jego sławy. To chwala narodowa! Żyje wśród bezustannych oklasków. Gdy mu śmierć zagroziła, ów lud, wystawiany przezeń w chwilach nawet szalonych obłędów, spędza noc u drzwi jego domu. Śmierć poety żałobą jest publiczną. Przerwane sprawy, zawieszona nauka, czarny całun powiewa nad bramą tryumfalną. Dragoni z pochodniami trzymają straż nad ciałem. Szmer ludności zastępuje modlitwę skromnego kapłana. Usuwają Cezara, by wnieść ołtarz zmarłemu; usuwają świętą patronkę, by mu przysposobić grobowiec. Milion ludzi ciągnie orszakiem, lub

¹⁾ Puisque ce jour le sang ruisselle—les toits brillent
Jour sacré!

szeregami stoi w ulicach któremi przechodzi ubogi karawan, ostatnia antyteza poety, a zanim ogromne wozy, pełne koron, co zapełnią przed-sionek Panteonu.

„A ja tymczasem wspominam ów dzień, kiedy siedmiu nas opuściło Paryż, odprowadzając do Saint-Point zwłoki Lamartina i inny dzień, kiedy trzydziestu siedmiu poszło na cmentarz Père la Chaise, za trumną poety, który wyśpiewał „Ufność w Bogu“¹⁾).

„Żaden cesarz rzymski, nie dostąpił w życiu podobnego tryumfu, żaden burzyciel ludów, żaden dobroczyńca ludzkości nie miał po śmierci takiej apoteozy, jaką miał Wiktor Hugo! Tak kto w piętnastym roku poprzysiągł sobie, że będzie pierwszym poetą swego kraju, został nim; ten kto później karmił się pyszną myślą, że będzie największym z ludzi wszystkich krajów i wszystkich czasów, przeżył ostatnie lata, a do ostatniej godziny, kołysany ułudą, że nim jest rzeczywiście.

„A teraz pytamy, ciągnie Dumas, w co się obróci ta budowa olbrzymia, dziwaczna, upajająca oczy, różnolita, przepyszna, wykonana z materiałów najtwardszych, najbłyskotliwszych, najcenniejszych i najkruchszych zarazem, ta budowa, którą zostawił mistrz po sobie? Stanie się z nią toż samo, co z każdym dziełem rozumu ludzkiego: czas nie uczyni dla niej wyjątku, poszanuje i umocni to, co w niej trwałe, rozpruży w proch, co słabe. Wszystko, co było pustym dźwiękiem, rozplynie się w powietrzu, pójdzie na pastwę wichrom. Nie do nas należy przygotowywać pracę potomności, wie ona co ma czynić. Rozumiem przez to, że wiele kamieni spadnie z tego olbrzyiego gmachu, nie jeden z nich dziś już zachwiany—rzczech niewątpliwa. Ależ ten gmach złożony z różnorodnych części: ze świątyni greckiej, z pagody, z meczetu, z zamku feudalnego, z katedry gotyckiej, ze wschodniego bazaru, z pałacu w stylu odrodzenia;—ten gmach, w koło którego grupują się chaty wieśniacze i domy robotników i lepiarki nędzarzy,—ten gmach tak wielki, tak malowniczy, tak szczególny, rysuje się na widnokręgu sztuki, masą tak potężną: ma krypty tak rozległe, mury tak wysokie, tak silnemi najeżone basztami, kolumny z tak twardego wykute marmuru, tak wspaniałe arkady, tak cudnie rzeźbione kapitele, tak strzeżone wieżyczki, z olbrzymiej dzwonnicy jego spiż tak potężnie uderza, czy to na pogrzeb czy na gody;—tak rozgłośnię brzmi po szerokich przestrzeniach, takie echa rozbudza w lesie;—słowem ten gmach tak panuje nad ruinami, że patrząc nań pytamy sami siebie, czyli jak w bajkach średniowiecznych, Bóg albo szatan nie przyłożył ręki do niego?

„Gdyby mnie kto zapytał, ciągnie mówca, jak przystało najwłaściwiej nazwać Wiktora Hugo? odpowiedziałbym na to: nazwijmy go autorem „Legendy wieków,” jak zowiemy Dantego autorem „Boskiej komedyj.” Pod ten ogólny tytuł wmieściłbym wszystkie dzieła poe-

¹⁾ Alfred Musset.

ty: pieśni liryczne i bohaterskie, teatr, historią, romanse, rozprawy filozoficzne, wszystko, co bądź napisał, czy to prozą czy wierszem. Zdaniem mojem, Wiktor Hugo nie wychodził nigdy z legendy. Jego osoby nie brane z życia rzeczywistego, nie mają téż rozmiarów człowieka; niekiedy przerastają ludzkość, niekiedy ją potwornie przekształcają. Snać poeta inaczej patrzył w przyrodę, niż my w nią poglądamy. Oko jego wszystko powiększało. Widział listki trawy wielkie jakoby drzewa; owady ogromne jak orły. Martwa bryła, miała dla niego usta, niewidzialny pyłek miał oczy. Mistrz z łona przyrody wywołuje bezustanną wibracyą. Ze szczytu góry Thabor dyryguje tą orkiestrą, złożoną z harf i fletni, to znów z puzonów i spiżowych trąb, grzmiących na hasło sądu ostatecznego. Widział on ludzkość wielką, niezmierną, słyszał głos jej w tonie tej wymarzonej symfonii i pozostawił nam tytanów, widma, potwory, cienie szamoczące się niby kolosalne sylwetki w jakimś odrębnym świecie, pomiędzy czarodziejstwem Perault'a a proorcem wizyami Ezechiela."

Niepodobna było scharakteryzować trafniej Wiktora Hugo, jak to uczynił Dumas, mowa jego prawdziwą była niespodzianką. Ogół oczekiwał dowcipnych sarkazmów, sztucznych fajerwerków słowa, a posłyszał niezbite prawdy, wyrzeczone z głębokim przekonaniem. W utalentowanym komedyopisarzu głos powszechny uznał wytrawnego krytyka.

Długi ustęp w kronice naszej poświęciliśmy ostatniej uroczystości akademickiej, a to z powodu, że nigdy jeszcze w łonie akademii nie starły się tak jasno, tak otwarcie dwa prądy, poruszające dziś społeczeństwem francuzkiem. Walka, rozpoczęta pod kopułą pałacu Mazaryniego, nie skończyła się dotąd; prowadzą ją dalej w gorący sposób publiczności w dziennikach, przeglądach i w konferencyach literackich. Jedni w imię tradycyi wspierają silnie Dumasa przeciw promotorowi budystańskiej Nirwany; drudzy, czepiając się nowatorstwa, gotowi zburzyć wszystko, co uszanowała przeszłość, nie pytają nawet co mają zbudować na tych zgłiszczach. Zagorzali czciciele Wiktora Hugo oburzeni również na Dumasa, że śmiał wystąpić w charakterze krytyka przeciwko ich bożyszczu.

Rzecznicy tradycyi religijnych i społecznych nie tak osamotnieni we Francyi jak się wydawać może tym, którzy patrzą zdaleka na długoletnie gwałty i bezprawia tutejszych władz rządowych. Takich rzeczników nie brak po wszystkich stronach kraju, a szczególnie w słonecznej Prowancyi. Tém godniejsze uwagi te objawy, że nie mają rewolucyjnego charakteru, ale wypływają z uczuć głęboko religijnych i narodowych. Im bardziej prowansale czują niebezpieczne prądy, wiejące od Paryża, tém ściślej skupiają się w koło dzwonnicy swoich kościołków, i tém większą siłę wydobywają w obronie swych praw i domowych tradycyi.

W tych właśnie czasach odbyła się w Marsylii rzewna i pełna

znaczenia uroczystość. Akademia tamtejsza przyjmowała do grona swego prowansalskiego poetę, Fryderyka Mistrala. Słynny ten naczelnik Felibrów przemawiał w języku prowansalskim; obrał za przedmiot ocenienie prac brata w pieśni, zgasłego w roku zeszytym Aubanela. Oto początek oryginalnej mowy:

„Słyszałem, rzekł Mistral, od starych marsylińczyków, że za ich czasów w wigilią Bożego Narodzenia po uczcie rodzinnej, kiedy głównia święta, tradycyjna głównia z drzewa oliwnego, zaledwie jeszcze tliła się przysypana popiołem i kiedy pradziad wychylił do dna ostatnią czarkę grzanego wina, nagle z pustej ulicy dał się słyszeć anielski głos i cudnie brzmiał wśród nocnego pomroku.

I cóż to być mogło?

Owóz była to piękna pani. Wsparta o ramię małżonka przebiegała ulice, śpiewając kolędy, rzewne kolędy prowansalskie na chwałę Bożą; w ślad jęj ciągnęły chmury ubogich. Kiedy rodzina, uczująca przy stole, posłyszała głos jęj melodyjny, biegła do okien, a szlachetna śpiewaczka mówiła do nięj: „Zacni ludzie, oto Bóg dobry się narodził, nie zapomnijcież ubogich moich!”

I wszyscy wychodzili z domów, niosąc kosze pełne ciast i rozdawali ubogim okruchy ze swęj uczty, a dzwony z wieży Panny Maryi podzwaniały radośnie. Owóz: wiecież wy, kto jest dziś tą piękną panią, co przebiegała ulice, śpiewając kolędy na chwałę Bożą i na pożytek ubostwa? Tą piękną, tą wielką panią, to Akademia marsylska, która dziś łącznie z Felibrami zaprasza was panie i panowie, abyście raczyli udzielić domagającym się praw swoich prowansalom, części należnej im przy uczcie godowej, częsteczki darów Bożych.

Szczęśliwy, że wchodzę w progi wasze, do grona uczonych literatów, artystów, poetów, pragnę wywiązać się godnie z uczynionego mi przez was zaszczytu, a mogeż uczynić to lepiej, jak otwierając przed wami naszą felibryjską galeryą i ukazując w nięj to, co świeci najpiękniejszym blaskiem.

Język prowansalski i poezya południowa poniosły w tych czasach niepowetowaną stratę. Teodor Aubanel, jeden z mistrzów naszych, umarł jak wiecie niedawno. Pozwólcież więc, abym powtórzył w obec was kilka wspomnień z młodości i ukazał wam zorzę odrodzonej poezyi naszej; pozwólcież, niechaj uczczę pamięć dzielnego szermierza, słynnego poety i przyjaciela, z którym przez trzydzieści pięć lat występowałem razem do zapasu! Piękne te lata młodości przebyliśmy razem, z garstką miłych nam druhów. Poświęciliśmy życie idei, którą wielu nazwało szaloną, walczyliśmy z zapałem, z wiarą, że prawda musi w końcu zwyciężyć!

Każdy z nas miał ledwie lat dwadzieścia. Szczęśliwa gwiazda powiodła nas pod mury Awinionu. W szczipłym gronie naszym, każdy był dzieckiem ludu, każdy rozmiłowany w języku ludowym, każdy ożywiony gorącą chęcią, aby ten język wyrwać z poniżenia i podnieść do dawnęj godności. Zbieraliśmy się co niedziela, śpiewali pieśni, po-

wtarzali wiersze, dodawali sobie bodźca w pogoni za ideałem. Utworzyliśmy nawet hymn godowy:

My serdeczne druhy, my bracia rówieśni,
Szeroko po kraju, dzwonią nasze pieśni,
Dobre dziecko matkę z miłością wspomina,
Swe ciche gniazdeczko, miłuje ptaszyna;
Nasze złote słonko, błękit niebios żywy,
Nasza ziemia żyzna—ah! to raj prawdziwy!

Był to sam przedświt felibryzmu, a felibryzm był dla nas księgą świętą, objawieniem piękna, prostoty, patryotyzmu, wywalczenia wszystkiego, co było niegdyś naszym.

Daléj opowiada Mistral dzieje serca młodego Aubanela. Ukochał on śliczną dziewczeczkę, pozyskał jéj miłość, ale niezlomna zapora stanęła pomiędzy nimi—dzieweczka zamknęła się w klasztorze. Poeta, zraniony w głébi duszy, wylał boleść w palących zwrotkach, które obie-gły całą Prowancyą.

„W tych czasach, ciągnie Mistral, z Aubanelem i garsztką dru-hów przebiegaliśmy góry, pola, wioski, w pogoni za czystą poezją, za żywym geniuszem macierzystego języka. Chętnie braliśmy udział w zabawach ludowych, w dożynkach, jarmarkach i weselach; sypialiś-my w obórce lub w polu pod gołem niebem. Zdarzyło się raz na jar-marku w Montbrun: żandarmi pochwycili nas jak włóczęgów; szczęś-ciem stary wiarus jakiś, stanął w naszej obronie. „Dajcie im pokój, rzekł, to nie Franahimeny, (francuzi) słyszałem jak mówią po naszemu, muszą być z niedaleka! I żandarmi puścili nas wolno. W tych to wędrowkach Aubanel wyśpiewał ową piosenkę, dziś powtarzaną w ca-łej Prowancyi.

To nie królowa, co w sług orszaku
Rąco na śnieżnym pędzi rumaku,
Gdy rozpasany wieher po lesie
Tuman kurzawy w ślady jéj niesie.
To nie królowa, co wzrokiem dumy
Na pełzające ogląda tłumy,
A kędy groźną utkwii źrenicę,
Śmiertelna bladeść pada na lice.
O nie!.. to jakiś ubogie dziecię,
Tępy osiołek na płowym grzbiecie
Niesie nieboże waziuchną steczką,
Tum się raz pierwszy spotkał z dziewczeczką.

— „Na bok,“ grzeczniemi zagadnie słowy,
Bo mój osiołek wierzgnąć gotowy;
Ruszaj pan naprzód—ze śmiechem doda
I wstrzyma uźdę dzicwczynka młoda.

Osiółek z cicha na bok uskoczy,
 Ja w czarodziejkę wlepiłem oczy,
 Cudne to dziecię; wąłta i cienka
 Miała gorsecik szary z plóciienka,
 Kibić jój kształtna, jak utoozona,
 Smagle jój lica, krągłe ramiona,
 Słonko się iskrzy biednej nad głową;
 Chłodzi jagody róższką morwową;
 Ociera z czoła kroplistą rosę,
 Zwisły ku ziemi nóżki jój bosc.

— Jak ci na imię? powiedz-że mała.
 — Co panu po tém! w głos się rozśmiała,
 Rumieńcem śniade splonęło liczko:
 — Jam Rózia, matka zwie mnie róższką.
 — A twój osiołek?—Zwą go Bielaskiem.
 — A gdzież ty mieszkasz?—het po za łaskiem
 Jest wieś, tam mieszka ojciec i matka.
 — Wieleż was dzieci?—Cała gromadka
 Wszystkich pięcioro jest z łaski nieba.
 — Czyście wy biedni?—Mamy kęs chleba,
 Ojciec pracuje z świtu do nocy.
 — A bracia?—Z chłopców nie ma pomocy,
 Starszy od roku uczy się w szkole,
 Rwie się do książki drobne pachole;
 W chacie swawoli dwoje bliźniętek,
 Aż miło, pełen ich każdy kątek,
 Czwarty maleńki u piersi jeszcze,
 Ja go kołyszę do snu i pieszczę,
 Śliczny aniołek—taki wesoły!
 — I ty zapewne chodzisz do szkoły?
 — Już tam chodziłam przez parę latek,
 Umiem, co trzeba dla wiejskich dzieciak;
 W kościele czytam na książce gładko,
 Piszę, rachuję, krzątam się z matką.
 — Kędyż tak śpieszysz?—W pole do żniwa,
 Matka od głodu pewnie pół żywa,
 A ja tu gwarzę!..

I żwawo dziecię
 Róższką osiołka zatnie po grzbiocie,
 Bielasek dziarsko na bok ubieży,
 Ja ścigam okiem ten pączek świeży
 Pełen niowinnój krasy i woni,
 Z dała jój piosnka w powietrzu dzwoni.

I któżby pomyślał, że ten sielski poeta, rozsypujący kwiaty pełną ręką, rozmówowany w słońcu i rosie, czasami, gdy pierś jego wcz-

brała goryczą, rzucał obrazy czarne, jakby dantyjskie piekło. Zobaczymy jeden z nich p. t. „Dziwiąty Termidor“¹⁾.

— Nóż twój długi, nóż stalowy,
Kto ty?—Kat! ja ścinam głowy.

— Krew na rękę twém, na szacie,
Obmyj ręce straszny kacie!

— Po co? kośba nieskończona,
Wnet wytryśnie krew czerwona.

— Nóż twój długi, nóż stalowy,
Kto ty?—Kat! ja ścinam głowy.

— Czyż litości brak w twój duszy?
Płacz-że dziecka cię nie wrzuszysz?
Kiedy ręką niezblaganą,
Dzieci, matki, tniesz jak siano.

— Nóż twój długi, nóż stalowy,
Kto ty?—Kat! ja ścinam głowy.

— Ziemia kości brukowana,
Kto żyw pada na kolana,
Pierś-że twoja nie kolacze?

— Puść niech skończą dzienną pracę!
— Nóż twój długi, nóż stalowy,
Kto ty?—Kat! ja ścinam głowy.

Kiedy chłodzisz usta w skwarze
Krew nie pienią się w twój czarze?
Gdy kęs chleba ujmiesz dłonią,
Chleb nie cuchnieć trupią wonią?

— Nóż twój długi, nóż stalowy,
Kto ty?—Kat! ja ścinam głowy.

— Potem ścieka twoje czoło,
Na twém nożu szczyrby w koło,
Spocznij, nabierz mocy świeżej
Nim ofiara z rąk ci zbieży.

— Nóż twój długi, nóż stalowy,
Kto ty?—Kat! ja ścinam głowy.

Ot i zbiegła.. kacie wściekły,
Na ten pieniek z krwi nie ściekły
Połóż głowę, zamruż oczy,
Głowa z karku wnet się stoczy.
Za twe czyny dziś zapłata,
Odetnijmyż głowę kata.

Rozbiera potem Mistral dramata wierszem Aubauela, wysnute z życia prowansalskich wieśniaków, przedstawiane w Montpellier i in-

¹⁾ W tym dniu krwawej pamięci, w r. 1794, głowa Robespiera padła pod gilotyną.

nych miastach południowych. Autor w każdej sztuce przeprowadza myśl wysoko moralną; pokazuje gładką drogę od lekkomyślności do wiarołomstwa; na czole przestępnęj wyciska piętno hańby; chłoszcze ją wzgardą ludzką i sroższym jeszcze wyrzutem własnego sumienia. Te dramata budziły niesłychany zapal pomiędzy ludem.

Na zebraniach Felibrów, Aubanel był ich duszą, pieśniami przenikał na wskroś serca, rozbudzał myśli, zapalał wyobraźnię. W ważnych okolicznościach poeta stawał się natchnionym oratorem: piorunującą wymową raził zaciętych wrogów, podczas uroczystości w Awinionie na cześć Petrarcki wyrzekł pamiętne słowa:

„Zowią nas szaleńcami! Tak zaprawdę, my szalejem za naszym niebem, za naszą ziemią, za naszym ciepłym słońcem, za uśmiechem naszych dziewcząt, za wdziękiem naszego języka. My chcemy śpiewać i płakać; wyrażać miłość słodkimi słowy, jakeimi matki gwarzyły nam nad kołyską; cudnym językiem, który był żywą krynicą wszystkich literatur południowych! Tém gorzej dla tych, co go zapomnieli.”

Mistral przytoczył te wyrazy: „Pamiętajmy, dodał, że kiedy myśl nowa wydobędzie z serca taki żar, myśl ta rozkwitnie, a jeśli wierzymy wszyscy, że Francya odzyska dawną potęgę, wiedzmyż o tém, że odzyska ją wtedy, gdy płonki wyrosłe z jęj pnia, czerpną życie nowe z ludowych krynic, a tém samém uchronią się bezbarwnego kosmopolityzmu i płaskiej niwelacji powszechnéj!”

Ulotne poemaciki Aubanela, ożywione tchnieniem chrześciańskiem, a zarazem miłością artystycznego piękna, pomieszczone w zbiorze pod tytułem „Owoc granatu,” zalicza Mistral do najpiękniejszych utworów, rozkwitłych pod słońcem Prowancyi. Opowiada on z miłością ostatnie chwile słynnego Felibra.

„Miał lat pięćdziesiąt ośm, talent jego dojrzał, lecz nie utracił młodzieńczej siły. Czując, że dni jego policzone, zebrał grono przyjaciół, wyprawił im ucztę nad Rodanem, naprzeciw Awinionu, w gaju Barthelesse, tak drogim Felibrom i przy tój uczcie bratniej, niby konający łabędź, wyśpiewał nam najpiękniejsze pieśni swoje. Skonał w cztery dni potem.”

Na tę piękną mowę Mistrala, odpowiedział w imieniu akademii Eugeniusz Rostand. Przebiegł zawód literacki przyjętego poety, podniósł znaczenie Mirelli Kalendala i tyłu innych genialnych jego utworów, ukazał w naczelniku Felibrów wielkiego patriotę. „Niedawno jeszcze — rzekł — uprzedzone umysły, widziały w ruchu Felibrów rozerwanie jedności narodowój, jak gdyby jedność miała koniecznie objawiać się w jednakowy sposób, jak gdyby ta jedność nie była raczej harmonią, zrodzoną z połączenia rozmaitych tonów, jak gdyby w wolnym plemienu galskiem, odmienne języki i narzecza ludowe nie służyły do utrzymania zbiorowego życia. Cztery wieki minęły odkąd nasza Prowancya duszą i ciałem oddała się Francyi. W tym roku właśnie obchodzić będziemy czterechsetny jubileusz tego połączenia. Dziś,

Południe i Północ odznaczają się tylko na mapie. Prowansale, Bretony, Normandy, jednym są ludem najściślej skupionym w koło jednej chorągwi. Miałaby propaganda Felibrów być niebezpieczeństwem dla ojczyzny? Przeciwnie, ona rozbudza w ojczyźnie siłę nową, wbrew fałszom głoszonym przez sofistów. Twoje dzieła Mistralu, podniosły patryotyzm w narodzie; twoją Mirellę stawiamy obok pierwszorzędných arcydzieł współczesnych. Zasady głoszone przez ciebie są szkołą patryotyzmu. Jakąż bowiem ufność obudzić może ów patryotyzm rozplątany w ogólnikach, zrównany cywilizacją do jednakiego poziomu, któryby nie czerpał pokarmu tam, z kąd bierze siłę serce człowieka: w miłości gniazda rodzinnego, we wspomnieniach domowego ogniska, w poszanowaniu wiary religijnej, w tradycjach naddziadów! Inni głoszą antagonizm, pomiędzy miłością dla małej ojczyzny, a poświęceniem dla wielkiej! Przeciwnie! obie utrzymują się wzajem, czerpią w sobie nową moc, a ten kto najlepiej ukochał grzędę rodzinną, będzie zawsze najdzielniejszym obrońcą wspólnej ziemi!"

Na te słowa, obaj mówcy, poruszeni do łez, padli sobie w objęcia i ścisnęli się przy gorącym oklasku zgromadzonych. Podobnego objawu nie widziały nigdy ściany pałacu Mazaryniego, odkąd istnieje Akademia francuzka.

Zbliżający się koniec stulecia od czasu rewolucyi francuzkiej, daje dziś ogólną nutę wszystkim pracom literackim a szczególnie historycznym we Francyi. Jest to gwiazda przewodnia dla wszystkich, dla tych nawet, którzy nie mówią wprost o przewrocie 1789 roku. Myśl ta leży w powietrzu, panuje w czasie.

„I gdzież my przyszli po stuletnich wstrząśnieniach naszych?” Oto pytanie, które dzisiejsza Francya usiłuje rozwiązać; oto pytanie, które musi zajmować gorąco i wszystkie ludy cywilizacji europejskiej, bo wszystkie były więcej lub mniej pod wpływem owych wstrząśnień, które na karcie ich dziejów wycisnęły niezatartą pieczęć.

Jako jeden z najwydatniejszych sędziów ubiegłego stulecia, wystąpił akademik Taine, nasamprzód przed kilku laty z dwutomową pracą historyczną p. t.: *Les Origines de la France actuelle*, a obecnie z dziełem o Napoleonie I-ym. W poprzedniej pracy, okazał się zawziętym przeciwnikiem rewolucyi, w ostatniej zawziętszym jeszcze wrogiem cesarza. Nienawistną ręką szkicuje charakterystyczne jego rysy, skrzętnie zbiera najdrobniejsze szczegóły, zapisane przez współczesnych mu nieprzyjaciół; mimo to z pod pióra Taina, zaprawnego jadem i żółcią, wybiega tytaniczna postać bohatera wieku, tak samo jak z pod pióra średniowiecznych Kosmasów i Ditmarów, wybiegła olbrzymia postać Bolesława Chrobrego, którą Szajnocha odtworzył, według tych wrogich bohaterowi świadectw.

Zobaczmy oto jak Taine maluje Napoleona. „Wielki on we wszystkiém, a bardziej jeszcze dziwny; nie tylko że przerasta zwykłą

miarę, ale rozsądza wszelkie ramy w jakie chcemy go ująć. Jego temperament, instynkta, władze, wyobrażenia, namiętności, zasady moralne, wszystko to, zda się być ulane w osobnej formie, z niezwykłego metalu. Różni się całkiem od współczesnych. Nie jest to ani Francuz, ani człowiek XVIII wieku; należy do innego plemienia, do innych czasów.

Gdy został Francuzem z konieczności przesadzony do Francji, wychowany kosztem królewskim w szkole francuskiej, trzymał się uporczywie korsykańskiego patryotyzmu. Chwalił głośno szermierza wolności Paolego, przeciw któremu powstawali rodzice. W pierwszej młodości ponury, skwaszony, okazywał się w głębi serca anti-francuzem. Mało kogo kochał, mało też był kochany; zdał się pochłonięty jakimś bolesnym uczuciem. Służył jakby z przymusu. W Brienne, mało przebywał z towarzyszami, unikał z nimi wszelkich zabaw, podczas rekreacji zamykał się w Bibliotece. W obec Burrienna tylko wybuchał czasem nienawiścią; nie raz mówił do niego: „Będę dokuczał twoim Francuzom, o ile tylko będę mógł.” Profesor historii pisał o nim: „korsykanin z rodu i charakteru, zajdzie on daleko, jeśli posłużą mu okoliczności.

Po wyjściu ze szkoły, stojąc garnizonem w Walencji i Auxonne, pozostaje zawsze na uboczu; chowa w sercu dawne urazy, kreśli je w piśmie pod adresem Paolego. „Urodziłem się, mówi, gdy ojczyzna ginęła. Trzydzieści tysięcy Francuzów wyrzuconych na wyspę, zalało potokami krwi wolność naszą. Taki ohydny widok miałem ja przed oczyma. Jęki konających, skargi uciśnionych, łzy rozpaczy otoczyły kolebkę moją, od chwili jak na świat przyszedłem. Pragnę naznaczyć piętmem hańby tych, co zdradzili wspólną sprawę, dusze podłe, zgnęcone chęcią zysku.” Później list jego do deputowanego Buttafuoco głównego sprawcy aneksyi, jest wybuchem długo ukrywanej nienawiści; słowa zaprawne z razu zimnym sarkazmem, toczą się niby potok kipiącej lawy.

W biegu dalszych spraw i walk wewnętrznych Taine pokazuje w Napoleonie kondottiera, ale kondottiera na wielką skalę, który dąży do szczytu, widzi przed sobą tron lub pręgierz; chce opanować Francją a przez Francją Europę—i świat cały. Skupiony w myśli swojej, sypia ledwie po trzy godziny nocą, igra z ludźmi i rządami, nie przebiera w środkach; pokazuje go jako nieporównanego artystę, niewyczerpanego w pomysły sztukmistrza, wspaniałego, straszego zarazem, który jak pyszny lew rzuca się nagle między gromadę owiec.

Na dowód jak czarodziejską siłę wywierał Napoleon na umysły, przytacza Taine wypadek zaszły podczas wojny we Włoszech.

„Naczelnym wódz stanął w Albenga. Generałowie dywizyi stawili się w głównej kwaterze, źle usposobieni dla małego parweniusza, przystanego im ze stolicy. Był między nimi Augereau, żołnierz bohatera, lecz gburowaty, dumny z dzielności i olbrzymiego wzrostu. Ten zżymał się szczególniej na młodego wodza, nicznaznego mu bliżej; nie

szczędził wyrazów obelżywych, zwał go faworytem Barrasa, generałem ulicznym. „Nie pora mu jeszcze działać, sarkał z gniewem, nie ma ani jednego przyjaciela, bo zawsze chodzi samopas jak niedzwidź w lesie; mały, niepozorna sztuczka, podobno biegły matematyk, malarzyciel i nic więcej!”

Wprowadzono ich, Bonapartego nie było jeszcze. Po chwili ukazuje się, przypasuje szpadę do boku, nakrywa głowę, wydaje rozkazy i żegna generałów; Augereau stoi, jakby mu stopy wrosły w ziemię. Wyszedłszy dopiero za próg, sypie gradem kul i kartaczów. Przypina z Masseną, że ten szelma generał przestraszył go naprawdę. Nie może zrozumieć wpływu, jaki wywarł na nim za pierwszym rzutem oka ten maleńki człowieczek.

Jako niezmordowany pracownik, Napoleon zdumiewał wszystkich, co się przybliżyli do niego. Taine opowiada, jak w początku rządów konsularnych, Roederer, sędzia doświadczony i niepodległy, który codzień widywał Bonapartego na radzie stanu, a wieczorem spisywał wrażenia całodziennie, wyraża się o nim z podziwieniem i uwielbieniem.

„Bywał, mówi on, regularnie na wszystkich sesjach, przeciągających się zwykle do pięciu lub sześciu godzin. Po skończonej sesji zajmował się jeszcze rozbieranym przedmiotem. Zawsze powracał do dwóch pytań: czy to sprawiedliwie? czy to pożytecznie? Pod temi dwoma względami roztrząsał każdą rzecz, wchodził w najdrobniejszą analizę. Badał następnie wielkie powagi: dawne czasy, zebrane doświadczenia. Kazał zdawać sobie sprawę ze starożytniej jurysprudeneyi, z praw Ludwika XIV i Fryderyka II-go. Nigdy nie skończyła się narada, aby czegoś nie nauczył obecnych lub przynajmniej nie zwrócił ich do gruntownego zbadania rzeczy.

„Ilekróć członkowie senatu, ciała prawodawczego i trybunału odwiedzili go, zawsze w nagrodę złożonego mu hołdu, odnieśli jakąś pożyteczną naukę. W obec ludzi piastujących urzędy, był zawsze mężem stanu. Każda rozmowa z nimi była jakoby radą stanu. Co go szczególniej charakteryzuje, to nietylko przenikliwość i wszechstronna inteligencya, ale szczególniej giętkość i siła umysłu i wytrwałe skupienie uwagi. Może przepędzić ośmnaście godzin w bezustannej pracy, czy to w jednym, czy też w różnych przedmiotach. Nie widziałem go nigdy umysłowo znudzonym; nie spostrzegłem nigdy, by w myśli jego brakło nowych pobudek, nawet przy utrudzeniu ciała, nawet w gwałtownym ruchu, nawet w gniewie. Nigdy jedna sprawa nie odwozila go od drugiej; nie miał ani chwili roztargnienia. Wieści pomyslane czy to nieszczęśliwe z Egiptu, nie odwołyły go nigdy od kodeksu cywilnego, ani kodeks cywilny nie odwołał go od kombinacyi, jakich wymagało ocalenie Egiptu. Żaden człowiek nie był całkowicie oddany temu, co czynił i nie rozporządzał lepiej czasem w tém, co miał do czynienia. Żaden umysł nie umiał lepiej odegnać myśli, gdy ta przychodziła mu nie w porę, żaden za to nie ścigał jęj uporczywiej, nie chwycił z większą siłą w czasie stosownym. On sam mawiał później o sobie: „rozmaite

przedmioty i rozmaite sprawy mieszczą się w głowie mojej jak w szafie; kiedy chcę przerwać pracę jaką, zamykam jedną szufladę a wysuwam drugą; tym sposobem nie płaczą się nigdy, nie nużą mnie i jedna drugiej nie zawadza. Kiedy chcę spać, zamykam wszystkie szuflady i natychmiast zasypiam."

Taine dopełnia charakterystycznego zarysu, pokazując w Napoleonie przedewszystkiē wielkiego artystę.

"Na kilka miesięcy przed kampanią 1812 roku mówił do hrabiego Narbonne: „Koniec końcem, mój kochany, ta długa droga prowadzi do Indyi. Aleksander Macedoński dalszą miał do przebycia drogę niżli ja z Moskwy do Gangesu. Powiedziałem sobie jeszcze w Saint-Jean d'Acree: dziś potrzeba mi z krańczyn Europy uderzyć na Azję i tam dosięgnąć Anglii. Przypuścmy, że zdobędę Moskwę: niech tylko armia francuzka wraz z siłą sprzymierzoną, wyruszy z Tyllisu na Ganges, a wnet runie w Indyach ten kolos bezecnego handlarstwa. Byłaby to olbrzymia ekspedycja godna XIX wieku. Za jednym zamachem zdobyłbym niepodległość Zachodu i wolność na morzach." Gdy tak mówi, oczy jego dziwnym iskrzą się blaskiem, ciągnie dalej, nagromadza przyczyny, waży trudności i środki, przewiduje różne przeszkody. Porwany siłą natchnienia ulega mu całkiem. Nagle, władza panująca w nim nad innemi wydobywa się, rozwija skrzydła, artysta ukryty w polityku wychodzi na jaw, tworzy fantastyczne ideały. I poznajemy czē jest: pogrobowym bratem Dantego i Michała Anioła. Jakoż rzeczywiście, śmiałemi zarysami swych wizji, potęgą i ścisłym związkiem i logiką swych marzeń sennych, głębokością poglądu a szczególnie nadludzkiem ogromem pomysłów, jest im zupełnie równy. Geniusz jego dosięga ich miary, na taką samą zbudowany modłę. Jest to jeden z trzech najpotężniejszych duchów odrodzenia włoskiego; ta jedynie różnica między nimi, że dwaj pierwsi operowali na papierze i na kamieniu; Napoleon zaś operował na żywem ciele ludzkim."

Słusznie na to odpowiedział jeden z krytyków: „Jak Napoleon manewrował ludźmi, tak p. Taine manewruje faktami historycznemi i nakręca je do swego filozoficznego systematu; nie jest bowiem historykiem lecz filozofem."

Z pomiędzy tysiąca faktów, te jedynie wybiera autor, które odpowiadają formułom jego a priori ułożonym. Chwyta je z pod pióra ludzi nienawistnych Napoleonowi, jak pani de Stael i Metternich, z pamiętników pani de Remusat, przerobionych przez syna, zagorzałego orleanistę, z pamiętników Bourriena, osądzonych jako apokryfy. Olbrzym taki jak Napoleon, musiał wywołać u współczesnych najsprzeczniesze sądy: Taine wybiera z pomiędzy nich jedynie tchnące uprzedzeniem i systematyczną nienawiścią. Z Warnhagenem d'Ense i panią Remusat powtarza, iż Napoleon był najzapalczywszym w gniewie, najzawziętym z ludzi. Inne dowody świadczą przeciwko temu. Kiedy w roku 1815, powrócił do Tuilleries, znalazł w opuszczonym świeżo gabinecie królewskim, dokumenta pisane ręką ludzi, którzy

w tej chwili otaczają go, płaszcą się przed nim, których powołał znów do służby. Zamyślił się i rzecze: „Ludzie tak słabi, tak chwiejni, tak skłonni do błędu! Kto mi dowiedzie, czyby z dobrej woli nie powrócili do mnie?” Opowiadając to na wyspie św. Heleny, podał: „Wolałem nie wiedzieć o niczém, spaliłem te papiery.”

Taine zaprzecza nawet odwagi Napoleonowi, powtarza technące nienawiścią ustępy z dzieła hr. Waldburg-Truchsess: „Relation de l'itinéraire de Napoleon de Fontainebleau à l'île d'Elbe.” „Po abdykacji w Fontainebleau, mówi Taine, w obec pogródźek i przekleństw, jakimi przyjęto go w Prowancyi, Napoleon upadł na duchu: przez dui kilka stan jego moralny zdawał się zupełnie rozprzężony; instynkta zwierzęce wydobyły się na jaw. W oberży Calade, drży i błednieje na najmniejszy łoskot. Komisarze, zaglądnąc kilka razy na dzień do pokoju, widzą go zalanego łzami.”

Inaczej scenę z tych czasów opisuje generał Durand, ale p. Taine przemilczał całkiem o niej.

„Przybywszy do St. Canal, mówi generał, Napoleon zatrzymał się w lichej oberży zwanój Calade, położonój przy drodze. Siadł do stołu z Bertrandem, nie wyrzekł słowa. Gospodyni, wzięwszy ich obu za dworzan ze świty cesarskiej, rozpoczęła z nimi gawędę.

— No i cóż? — zagadnie kobieta — radabym wiedzieć co teraz mówi wasz Bonaparte? czyście go dawno panowie opuścili?

— Nie dawno — odpowie cesarz.

— Ciekawa jestem, czy też potrafi się wymknąć — doda gospodyni; — kto wie, czy lud nie porwie się i nie rozsiecze go na miazgę. Ależ-bo zastrzyż na to ów ladaco! Przyznajcie sami panowie! Prawdźaż to, że go mają przepawić na wyspę.

— Myślę, że tak — odpowie Napoleon.

— Może go utopią? nie prawdźaż?

— Spodziewam się, że tak uczynią.

Gospodyni wyszła. Cesarz zwrócił się do Bertranda, ujął go spokojnie za rękę.

— Widzisz, mój drogi — rzecze — nie żartem jesteśmy narażeni.

Jakże tu daleko od tego przestachu, od owych łez, jakimi p. Taine usituje poniżyż zwyciężonego bohatera!

Mnóstwem innych faktów tego rodzaju, wprost przeciwnych faktom, przytoczonym przez Taina, krytycy zbijają stronnice, namiętnę jego sądy. Podniesiona walka wykazała jasno, że p. Taine jest raczej erudytą i doktrynerem niż filozofem w wielkiem znaczeniu tego słowa.

Nie raz jeszcze zapewne przyjdzie nam zwrócić uwagę na publikacye, dotyczące tegoż przedmiotu, to jest rewolucyi francuzkiej r. 1789, którój pierwszym wynikiem było panowanie Napoleona I-go, następnie Napoleona III-go.

Wyszła w tych czasach z druku w ozdobnem wydaniu, wielka księga pod tytułem „Życie i utwory Gustawa Doré:“ dołączono do-

niej rysunki tego wieszczą wcale dotąd nieznaną. Rzecz dziwna, jakby na stwierdzenie przysłowia: trudno być prorokiem między swymi; pomnik ten obcą zbudowany ręką zdaleka od ziemi ojczystej. Autorką księgi jest Amerykanka, panna Booswelt. Dzieło wyszło w francuzkim przekładzie pana de Seigneux.

Żarliwa zwolenniczka Dorego, zebrawszy sumiennie szczegóły z ust rodziny, przyjaciół i słóg zmarłego, skreśliła życiorys z miłością a zarazem z prostotą, bez najmniejszej przesady. Pokazuje go najprzód małym dzieckiem z piętnem geniuszu na czole. Opowiada, jak chłopczyzna obecny w rodzinném mieście, Strasburgu, podczas uroczystego pochodu na cześć Guttemberga, odtworzył z pamięci cały orszak, oddał najwierniej wszystkie kostyумы, chorągwie, tryumfalne wozy, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu; miał podówczas lat ośm. Tę nadzwyczajną pamięć form i kolorytu zachował aż do końca. Dar taki, połączony z bujną wyobraźnią, dopomógł mu wielce do rozwinięcia twórczych skrzydeł i do pośpiechu w pracy.

Pod piórem autorki w piękném świetle występuje postać Dorego. Widzimy w nim przykładnego syna, czuwającego najtroskliwiej nad matką, niepokieszonego po jej stracie; widzimy przyjaciela, oddanego całą duszą na posługi przyjaciół. Wzbożacony własną pracą, hojny, dobroczynny, żył dla drugich, wszystko ożywiał w koło siebie. Stara służa nie mogła wypowiedzieć, jak był dobrym i miłym w domu.

Z uwielbieniem i wytrawnym smakiem autorka rozbiera artystyczną działalność Dorego. Nie dosyć oceniony przez swoich, w Anglii, w Ameryce znalazł on niesłychaną wziętość, jako malarz i jako rysownik. Jeden z lordów szkockich, Dunkan, zbudował w zamku swoim Bennore galeryą długą na 120 stóp i zapełnił ją obrazami ulubionego mistrza. W Londynie jest téż osobna galerya poświęcona jego utworom.

Kiedy olbrzymi obraz, przedstawiający Chrystusa wychodzącego z pretoryum, wystawiony w r. 1872 w salonie paryzkim, stał się tu przedmiotem sarkastycznych pocisków i niedowarzonych krytyk, tenże sam obraz przewieziony do Londynu, ścigał nieprzeliczone tłumy. Wystawiono go w sali umyślnie na to urządzonej; prowadził do niego ciemny kurytarz dla większego efektu. Za pierwszym rzutem oka światło umiejętnie rzucone z góry, uwydatniało grupy złożone z dwóch tysięcy przeszło osób, ożywione jedną myślą, zwrócone ku promienistej postaci Zbawiciela, spokojnie zstępującego ze schodów. Kto oglądał ten obraz nieuprzedzonym wzrokiem, nigdy go nie zapomni. Francuzi niestety! nie umieli nań patrzeć! Kiedyś zapewne ziomkowie lepij zrozumieją Dorego i uczczą go pomnikiem, zawstyżeni, że dali się w tym względzie wyprzedzić Anglii i Ameryce.

Przeniesienie zwłok Rossiniego do rodzinnego gniazda Pezzaro, ożywiło tu pamięć słynnego kompozytora. Rossini zresztą, tyle zdobył praw do wdzięczności Francuzów, że pamięć jego pozostanie tu

wiecznie żywą. Z imieniem jego łączy się piękna i pożyteczna instytucja: nagroda konkursowa za najlepsze libretta, oddana pod rozporządzenie tutejszej akademii sztuk pięknych. Wiadomo również, że wdowa po wielkim kompozytorze, przekazała testamentem ogromną sumę na dom schronienia dla podeszłych artystów muzycznych.

Jeden z tutejszych wielbicieli słynnego kompozytora zebrał kolekcję listów jego, pisanych różnemi czasy do rodziny w Pezzaro. Te listy wkrótce zapewne wyjdą na widok publiczny; parę ze zbioru ogłosiły pisma francuzkie. Widzimy w nich wymowny dowód harmonii, jaka łączyła życie mistrza z utworami jego geniuszu. W pierwszym liście z r. 1822 trzydziestoletni syn uwiadamia rodziców, o zamiarze poślubienia słynnej śpiewaczki Colbrun; przytaczamy go w całości:

Droga moja mamó. Czas i rozważa, które kierują wszystkiem, skłoniły mnie do mądrego postanowienia, zapewniającego mi szczęście i spokój. Dotąd zajmowałem się tylko wami, drodzy moi rodzice, a podczas kiedy żyłem wyłącznie tém szlachetném uczuciem, była na ziemi istota, która przysposabiła mi najpiękniejszą przyszłość; tą istotą panna Colbrun. Sercem i charakterem ujarzmiła mnie na zawsze. Wiem sam, jak ona kochała mego zanego ojca. Co do mnie, dodaje mi otuchy, jak ona kochać was będzie, jak błogo mi przyjdzie żyć wśród tych wszystkich, dla których szczęścia gotówbym wytoczyć krew do kropli. Ona ze swéj strony! zastępuje się do wszystkiego i nie oprze się niczemu, cokolwiek może być dla was przyjemném.

Pragnąłbym szczerze, aby obie rodziny nasze mogły utworzyć jedną! Gdyby wam jednak inaczej się zdawało, zniosę spokojnie, abyście żyli sami, to jest mieszkali w osobnym domu, ale połączeni z nami najściślej wspólną miłością i wspólném mieniem. Nie potrafię wam nigdy opisać jak wiele zawdzięczam téj kobiecie, powiem tylko, co was najżywiej obchodzić może. Odkąd ukochałem ją, zmieniłem się zupełnie, charakter mój gwałtowny stał się łagodnym i słodkim. Brakło mi ładu, nie umiałem dotrzymać słowa; teraz nic sobie wyrzucać nie mogę w tym względzie i jakże, powiedz mamó, nie mam jéj wielbić i kochać?

Gdybyś wiedziała z jakim poszanowaniem, z jaką miłością, mówi o was, drodzy rodzice, byłabyś uszczęśliwiona. A na dowód jak jest szczerą i jak ufa sercu mojemu, posyłam ci dwa arkusze opatrzone pieczęcią, podpisane jéj ręką—zachowaj je troskliwie; niech to wszystko, co piszę, pozostanie w głębokiej tajemnicy... Radbym powiedzieć wam wiele innych rzeczy, ale czas i okoliczności nie pozwalają na to. Poprzestaję więc na zapewnieniu was o głębokiej miłości synowskiej.

A oto drugi list, pisany w sześć lat później do ojca, kiedy kochający syn odgadywał sercem śmierć ukochanej matki.

„Mój drogi ojcze. Od dnia, jak otrzymałem nieszczęsny list doktora George z doniesieniem o stanie zdrowia matki mojej, wlepiąłem niespokojnie wzrok w oczy otaczających mnie osób, w milczeniu ich czytałem okropny wyrok, jaki, drogi mój ojcze, chciałeś ukryć przed

synem. Ze względu na wiek Twój, przebaczam ci brak odwagi, w chwili, kiedy potrzeba nam wydobyć z siebie całą energią i niezłomną moc duszy. Ja nie płaczę, lecz jestem jakby skamieniały, czuję poniesioną stratę i przyczepiłem się do kotwicy jaka mi jeszcze pozostała. Niechże nam będzie słodkim ukojeniem myśl sama, jakby wspólnie uczcić pamięć najlepszej żony i matki. To jedyna dla nas pociecha. Żal mi tylko, że nie mogę podzielić z tobą boleści i oddać z tobą razem ostatnich posług drogiej matce. Przyjmijże jednak odemnie uczucie głębokiej wdzięczności wraz z serdecznym pragnieniem, abyś, pielęgnując się dla mnie, dał mi dowód miłości i odwagi. Pocho- waj sam drogie jęj zwłoki, później syn uczyni, co powinien dla tęg, której zawdzięcza życie. Jeżeli podzielisz chęć moję, abym cię mógł uściskać i jeśli nie czujesz dość siły, aby żyć dłużej w tym kraju utra- pienia, przybądź do Paryża, ojczyzny drogi. Ale zbadaj stan zdrowia twe- go nim przedsięwzięmiesz podróż ciężką w tęg porze roku.

Obdarz chojnie tych wszystkich, którzy szczęśliwi odemnie od- dali posługę zmarłej matce. Daj każdemu z jęg i z naszych krew- nych, jakąś kwotkę pieniężną, aby złagodzić im trochę cios, jaki spot- kał ich razem z nami.

Daj mi dowód, że jedna krew kipi w żyłach naszych i że krótki czas, jaki nas dzieli od chwili szczęśliwej, kiedy ją powitamy w niebie, nie pozwoli upaść temu, kto przeżył dni cnotliwie i zaszczytnie. Tak jest, drogi mój ojczy, ja czuję w sobie siłę za nas obu. Przekonany jestem, że i ty równą okażesz odwagę. Napisz do mnie, będzie to najwyższa pociecha dla syna; który kocha cię całym sercem.“

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Zasady psychologii,“ podręcznik Clark'a Murray'a, profesora filozofii w Montreal—przełożyli z upoważnienia autora Henryk Wernic i J. W. Dawid. Warszawa, 1887 r., t. I, str. 450.

Słusznie nazywają filozofią królową nauk, chociaż dzisiaj często spotykamy się ze złośliwymi zamachami, które pragną ścieśnić granice tego królowania; podwładne nauki krępują jej samodzielność i starają się uczynić ją zależną od siebie w stosunku skutku do przyczyny, jak gdyby ona była wyłącznie i jedynie wynikiem zdobyczy na polu wiedzy wszystkich oddzielnych umiejętności. Tymczasem filozofia była i powinna pozostać mistrzynią wszystkich osobnych gałęzi drzewa nauki, które bez jej pomocy nie zdołają wyrobić sobie właściwej metodologii—i nie mogą rozwijać się samodzielnie.

Ta dążność do odarcia filozofii z wszelkich cech samodzielności, nazbyt widoczną się staje i budzi ogólne oziębienie i zniechęcenie do bliższego obznajmiania się z dążnościami i zadaniem filozofii, która, nie znajdując podpory naturalnej w rozumie ludzkim i energicznych jego wysiłkach dla zdobycia prawdy, częstokroć schodzi na manowce, błąka się wśród pesymistycznych dążeń społeczeństwa, chłostanego surową ręką losu i zamiast podnosić ducha ludzkiego na wyżyny, z których orlim wzrokiem objąćby mógł wspaniałe światła twory i przeniknąć mądry, odwieczny porządek ich istnienia; filozofia współczesna poniża go, pozbawia wiary w siebie i pogrąża w otchłań zwątpienia i rozpacz...

Dzieła filozoficzne, zachowujące żywotność myśli i śmiałość poglądów, należą do wyjątków, a w obec ogólnego zniechęcenia do badań ściśle filozoficznych, stają się oazami na pustyni, w których, niestety, bardzo niewielu szukać będzie spoczynku i wytchnienia dla skołata-

nych bojami życia myśli. A jednak, jakże gorąco zalecaćby należało społeczeństwu jak najgłębsze studia nad pracami tego rodzaju!

Jedną z bardzo ważnych nauk filozoficznych jest psychologia, traktująca o zjawiskach duszy. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór pożyteczności i ważności tej nauki, zaznaczymy tylko, iż bez niej niepodobna zdać sobie sprawy z wartości żadnej pracy na polu wiedzy, gdyż nie znając środków, za pomocą których dochodzimy do wiedzy, nie jesteśmy w stanie zdać sobie sprawy, czy wyniki naszej pracy umysłowej mają jakąś realną wartość. Badamy i poznajemy świat za pomocą umysłu, z natury więc rzeczy wynika, iż musimy poznać umysł nasz i sposób jego działania, aby sprawdzać wyniki jego działalności.

Dlatego też rozwój psychologii jest koniecznym warunkiem postępu wszelkiej wiedzy, i z tego powodu poważny zastęp uczonych poświęca się dzisiaj tej umiejętności.

Ze względu na jej ogólne znaczenie w wychowaniu i kształceniu młodzieży winna mieć ona jak najszersze zastosowanie. Wykształcenie człowieka bez zaznajomienia go z zasadami psychologii będzie zawsze niezupełne. W wychowaniu właśnie należy zwrócić uwagę młodzieńca na konieczność badania zjawisk duchowych, na ważność sprawdzania czynności psychicznych człowieka, ażeby w przyszłości uniknął tak pospolitej, a szkodliwej zarozumiałości i bezwzględnej zaufania do naleciałych teorii, wojujących hasłami i frazesami, przypisujących sobie wyłącznie monopol wszechwiedzy, rozumu i prawdy, rozcinających najtrudniejsze kwestye i zagadnienia ludzkiej myśli skalpelem swój bezwzględnej arogancyi.

Dlatego też podręcznik psychologii jest dziełem bardzo pożądanym i w kwestyi wykształcenia nader poważnym czynnikiem. W krajach, gdzie podręczników nauk filozoficznych jest wiele, gdzie wybór jest łatwiejszym, pojawienie się nowego podręcznika mniejsze budzi zajęcie. U nas, gdzie warunki kształcenia młodzieży tak niekorzystnie wpływają na rozwój literatury pedagogicznej, o oryginalne prace w tym zakresie bardzo trudno, a i o tłómaczenie nie łatwo. To też przekład na język polski poważnego podręcznika psychologii winien być dokonany po ścisłym wyborze, z uwzględnieniem pożytku młodzieży i wyjątkowych warunków kształcenia u nas. Podręcznik psychologii jeśli nie jest u nas jedynym, to w każdym razie rzadkim gościem, a wybór z pośród podręczników zagranicznych—trudnym jest niesłychanie.

Przekład „Zasad Psychologii“ Clarka Murray'a budzi też żywe zajęcie. Dzieło to przedstawia się poważnie i pod każdym względem zasługuje na głęboki rozbiór.

Pierwszą zaletę jego stanowi systematyczność wykładu. Autor po wyjaśnieniu poglądu swego na przedmiot psychologii, wyłożył metodę badania, przez co od razu objaśnił czytelnika co do sposobu i rodzaju swjej pracy. Pod względem pedagogicznym ma to tę wartość, iż

wskazuje na konieczność systemu w pracy, na zakreślenie drogi, którą do celu autor dojsz zamierzył. Ten sposób wykładu cechuje zazwyczaj dzieła naukowe narodów zachodnich. Sam zaś wykład psychologii dzieli autor na dwie części: psychologią ogólną i szczególną. W pierwszej rozbiera pierwiastki życia umysłowego, a więc istotę wrażeń czuciowych, zmysły szczególne i ogólne procesy umysłowe,—w drugiej zaś części rozpatruje poznanie (umysł), uczucia i wolę w ich specjalnych objawach.

Jakkolwiek w pracy usystematyzowanej rozejrzeć się i zorientować łatwo, jednakże autor w ogólności nie odznacza się jasnością wykładu i wiele kwestyi traktuje wymijająco, unikając wypowiedzenia wprost swego zdania, lub może nie dopowiadając go, co jest wadą ze względu na to, iż dzieło jego jest podręcznikiem dla młodzieży. Psychologią określa autor jako naukę, badającą zjawiska umysłowe, zaznaczając ogólnikowo, iż zamiast wyrazu umysł, częstokroć dziś używamy wyrazu dusza, duch,—których jednak autor stanowczo unika. Po zaznaczeniu różnicy, jaka zachodzi między zjawiskami umysłu i zjawiskami materji, wykazuje autor, iż koniecznym jest badanie zjawisk umysłowych—bezpośrednie, a więc w sobie samym: pośrednie—u innych ludzi. Do pomocniczych środków w badaniach psychologicznych zaliczyć należy nauki filologiczne, etnograficzne, społeczne i sztuki, nauki przyrodnicze, a szczególnie anatomją i fizyologją człowieka, a zarówno przy badaniu zjawisk umysłu ludzkiego uwzględniać należy jak naściślej własności indywidualne osobnika, jako to płeć, wiek, dążności, urodzenie i tym podobne. W każdym razie autor zaznacza, iż fizyologia zastąpić psychologii nie jest w stanie z powodu zasadniczej różnicy, jaka zachodzi między procesami nerwowymi i umysłowymi. „Gdyby bowiem,“ mówi autor, (str. 11) nawet dokładniej znano systemat nerwowy ciała ludzkiego, niż dzisiaj, to wszelkie obserwacye nad nim odbywane, prócz materialnej budowy nerwów i ich procesów, nic innego objaśnić nie zdołają. Żadna podobna obserwacya nigdy nie zdoła odkryć myśli, uczuć i aktów woli, ani praw niemi rządzących, a stanowiących dziedzinę życia świadomego. A jednak to ścisłe odgraniczenie dwóch różnych sfer zjawisk nie wystarcza autorowi do zaznaczenia swego stanowiska, gdyż woli on przyznawać się po prostu do niewiadomości wielu zjawisk psychicznych i nazywać to i owo tajemnicą, aniżeli przypuścić istnienie jednego substratu zjawisk duchowych, czyli duszy. „Nie rozumiemy wogóle,“ mówi autor, (str. 26), „w jaki sposób ruch może przejść w świadomość,“ przejście od ruchu do świadomości stanowi przepaść, ničem nie dająca się wypełnić w dzisiejszym stanie nauki.“ To poważne przyznanie oczywistego faktu przez myśliciela i udowodnienie go szeregiem przykładów może przyczynić się korzystnie do wyrobienia i utrwalenia w umyśle jasnego pojęcia o różnicy, jaka zachodzi między zjawiskami psychicznymi a fizyologicznymi.

W rozdziale o czynnikach budzących wrażliwość, autor pobież-

nie tylko wyjaśnia działalność systemu nerwowego i granicę wrażliwości. Przy ustaleniu klasyfikacji wrażeń czuciowych autor, zdaniem naszym zupełnie stucznie zaznacza, iż „za narząd umysłu całe ciało, a nie jedynie mózg“ uważać należy. Za t \acute{e} m idzie, iż różnorodność narządów ciała sprowadza odpowiednią rozmaitość wrażeń. Zgodnie z tą zasadą klasyfikacja wrażeń stosować się musi do klasyfikacji narządów, które autor dzieli na zmysły szczególne (smak, powonienie, dotyk, słuch, wzrok i ogólne (mięśnie, żołądek, płuca i inne). Rozbiór procesów tych narządów odznacza się jasnością i dostępnością wykładu.

Dal \acute{e} j autor rozpatruje ogólne procesy umysłowe, do których zalicza kojarzenie pojęć i porównanie. Prawa kojarzenia pojęć sprowadzają się do dwóch: 1) prawo tożsamości, lub bezpośredniego przypominania i 2) prawo styczności, lub pośredniego przypominania. Prawa porównania są następujące: prawo tożsamości, prawo sprzeczności i prawo wyłączonego środka. Stosownie do ogólnie przyjętego podziału zjawisk życia umysłowego na trzy różne typy: wiedzy czyli poznania, uczucia i woli autor rozpatruje je kolejno, klasyfikując je oddzielnie, a mianowicie: zjawisko poznania na 1) postrzeżenie (perceptio), uogólnianie, rozumowanie, idealizacją, złudzenia; uczucia zaś na: 1) uczucia zmysłowe, biorące początek w kojarzeniu, 2) w porównaniu, 3) intelektualne i 4) praktyczne. Nakoniec rozpatruje objawy woli. Ponieważ rozbiór szczegółowy poglądów i twierdzeń autora wymagałby studium, co najmniej tak obszernego jak własne jego dzieło, przeto niepodobna tego uczynić w krótkim sprawozdaniu. Jednakże dla scharakteryzowania nieuchwytnego stanowiska autora i zaznajomienia publiczności z poglądami jego na najważniejsze kwestye psychologiczne, niektóre jego zdania zamierzamy ściślej szemu poddać rozbirowi.

Jest to charakterystyczn \acute{e} m, iż autor, krytykując częstokroć bardzo ściśle i trafnie poglądy szkoły empirycznej, sam w określeniach swoich najt \acute{e} j jedynej metodzie poprzestaje. W rozdziale zatytułowanym „ideał spekulacyjny“ (str. 237) autor określa „prawdę“ jako „czynność umysłu“, a ponieważ zdaniem autora „wszystkie umysłowe czynności opierają się na świadomości stosunku“, wszelkie tedy poznanie daje się sprowadzić do świadomości stosunków. Teorya ta jest najzupełniej empiryczn \acute{a} . Podług zdania autora, „prawda bezwzględna“ dla człowieka jest niedostępn \acute{a} , istoty rzeczy poznać nie podobna, a tylko w najlepszym razie, człowiek może poznać „stosunki“ zjawisk do siebie i do człowieka. Jeśli prawda jest tylko o czynności \acute{a} umysłow \acute{a} , nie jest więc ona niczem lepszem od spostrzeżenia lub pamięci, także czynności umysłowych, i jakościowo od nich się nie różni. Człowiek ma przed sobą kalejdoskop zjawisk, z których żadne realnie dla niego nie jest dostępnem, a tylko w jego wrazeniu, w obrazie, otrzymanym z zewnątrz, dochodzi do jego świadomości. O ile lepszymi są instrumenta czy zmysły, za pomocą których człowiek odbiera wrażenia

z zewnątrz, o tyle więcej warte są jego wyobrażenia o świecie zewnętrznym. O poznaniu jednak świata realnego mowy być nie może; — prawdy też — to jest poznania rzeczywistości człowiek nigdy osiągnąć nie zdoła. W najlepszym razie człowiek mniej lub więcej dokładnie poznawać będzie „swoje wrażenia“, nie przekraczając nigdy po za ich granicę. Tak pesymistyczny pogląd na „warunki poznania i zdobycia prawdy“ jak najszkodliwsze na ogół wyrzucić może skutki. To też autor, zaznaczywszy w określeniu pojęcia „prawdy“ swoje empiryczne stanowisko, nie dopowiada dalszych naturalnych konsekwencji swego twierdzenia i pomija je milczeniem. Wyprowadzić je jednakże nie trudno.

Toż samo dostrzegamy w określeniu piękna, które według Murray'a jest „bezwzględne, czyste (?) zadowoleniem“, a zatem znowu czynnością umysłową, a w istocie piękna niema, jest tylko „uczucie zadowolenia.“ Znowu czysty empiryzm szkoły angielskiej na gorącym złapanym uczynku. A teraz rozważmy co autor każe pojmywać przez „czyste“ zadowolenie. „Ażeby przyjemność,“ mówi autor, (str. 239) była czystą, to jest, ażeby była pozbawioną wszelkich przymieszek, musi być bezinteresowną, czyli innemi słowy, musi być niezależną od wszelkiego życiowego interesu, zarówno spekulacyjnego (? zapewne: spekulatywnego) jak praktycznego, zarówno wyższego jak i niższego.“ „Czynności, od których ono zależy, noszą charakter gry, która niema prócz siebie samej żadnego innego celu.“ Zatem poza człowiekiem piękna nie ma — jest ono tylko w niem, a właściwie mówiąc, jedno z wrażeń czy uczuć zadowolenia, które autor dowolnie „czystem“ nazywa, nazwał sobie człowiek: pięknem. Tłumacząc dalej konsekwentnie pogląd autora, musimy dojść do wniosku, że piękno, jako zjawisko psychiczne, subiektywne, nie ma żadnych realnych podstaw bytu, że dla każdego człowieka istnieje oddzielne pojęcie piękna, ponieważ każdy po swojemu rozumie osobiste „czyste“ zadowolenie, a to, co dla jednego jest „czystem“ dla drugiego właśnie może być „niezupełne“ zadowoleniem, stosownie do indywidualnego rozwoju. Wszakże wiadomo, jak różne są poglądy człowieka na piękno, jak zjawiska świata zewnętrznego różne budzą w ludziach uczucia piękna, brzydoty i t. p. Weźmy najprostszy fakt. Statua Minerwy, stworzona dłutem artysty, budzi zachwyt w widzach. Wiadomo, że jedno i to samo dzieło sztuki raz może zachwycić, drugi raz przejść bez wrażenia. Widz, zachwycający się statuą wczoraj, obojętnie, bez wrażenia, spogląda na nią dzisiaj, nie będąc usposobionym do estetycznych wzruszeń. Czy statua przestała być piękną? Chyba nie! Więc może widz stracił zupełnie możliwość odczuwania estetycznych zadowoleń? I to nie — gdyż za dni kilka też sama statua będzie go zachwycać po dawnemu. Wszakże i w gronie widzów może się znaleźć zawsze dwóch ludzi, na których statua wyrzuci różne wrażenie, stosownie do ich indywidualnego rozwoju i subiektywnego usposobienia. A więc i piękno, określone subiektywnie, właściwie jest określonem jako chwilowe wrażenie danej je-

dnostki, a nigdy jako pojęcie ogólne. Cokolwiek jest subiektywnym, nie może posiadać cech ogólnych, gdyż zawsze pewne różnice dostrzedz się dadzą.

Przy określeniu „ideału estetycznego“ autor mówi: „działacz rozumny znajduje tylko zadowolenie w regule postępowania, która daje się powszechnie zastosować, w regule wskazującej mu na daną chwilę cel, nie stojący w sprzeczności z celami innych ludzi, cel osobisty, nie wchodzący w starcie z celami innych osób. Taki cel jest bezwzględnie celem harmonijnym, urzeczywistnieniem ogólnego prawa w pojedynczym czynie i on to stanowi ideał estetyczny.

Jak widzimy, autor, pozostając w określeniu ideału estetycznego na empirycznym stanowisku, pragnie ideał ów oddzielić od czynników religijnych i wznieść się na możliwie wyniosły punkt, niezależny od separatystycznych ideałów ludzi. Czyż jednak takie pojęcie ideału etycznego zgodnym jest z rzeczywistością? Czy jest choć jeden czyn ludzki, o którym nie byłoby dwóch zdań sprzecznych, który nie byłby w pewnej kolizji z interesami i czynami innych ludzi? Interesa i dążności ludzkie są tak pokrzyżowane i splątane, tak różne w swych kierunkach, iż podobna ogólna zasada w życiu staje się wprost niewykonalną. Przeciwnie, konkretna zasada miłości bliźniego lub zamiłowanie cnoty i prawdy może być urzeczywistnioną nawet wbrew sprzecznym interesom i celom innych ludzi, wbrew przeszkodom! Czyż potrzeba na to przykładów? Naprzykład obrona uciśnionych. Czyż ten czyn nie wchodzi w starcie z celami ciemieży? A jednak jest on chyba urzeczywistnieniem ideału etycznego z narażeniem celów osobistych (np. samozachowanie) lub celów innych osób. Tak więc bądź co bądź Murray zajmuje w nauce stanowisko empiryczne, jakkolwiek tego wprost i wyraźnie nie wypowiada i często polemizuje z empirykami; z zasady unika określania istoty rzeczy, lecz wszystko stara się sprowadzić do stanów psychicznych, co właśnie cechuje empiryzm, oświadczający, iż posiadamy mnóstwo wrażeń, z którymi mamy do czynienia, a o świecie rzeczywistym nic nie wiemy. Dlatego też książka ta może służyć jako podręcznik dla młodzieży przy bardziej wszechstronnym wykładzie psychologii, zastąpić jednak podręcznika szkolnego nie jest w stanie.

Teoria empiryczna występuje tu niepostrzeżenie, niepochwytanie, a jednak nieustannie, wszystkie określenia najważniejszych pojęć są tu relatywne, subiektywne. Murray unika określeń istoty rzeczy, których poznanie neguje. Bądźco bądź dzieło to napisaniem jest bardzo poważnie i rozbiera bardzo wiele ciekawych kwestyi. Autor ma sąd bystry i wytrawny, a pogląd na świat rozległy. Nie jest on znowu ciasnym umysłem, skutnym więzami bezwzględnego empiryzmu, odbiega on i wyłamuje się chwilami od téj teoryi, wykazując jej niektóre mylne twierdzenia, przez co może czytelnika łatwo w błąd wprowadzić. Wiele spostrzeżeń jego zasługuje na głębszą rozważę. Naprzykład w rozdziale o uczuciach mówi między innymi (str. 394): „Szczególny cha-

rakter tego uczucia (miłości płciowej) zależy od jego naturalnej podstawy, którą stanowi różnica konstytucji płciowej. Prostaczy, a błędny sposób zapatrywania się na te różnice przypisuje jednej tylko grupie narządów, lecz jak głębsza fizjologia i głębsza psychologia za organ umysłu przyjmują nie pojedynczy narząd, lecz cały organizm, tak też każą nam uważać cały organizm za wykładnik różnicy płci.“ Szersze rozwinięcie tego zdania byłoby dostateczną odpowiedzią na wszelkie projekta emancypacji i niwelizacji zajęć mężczyzn i kobiet. Takich prawdziwie trafnych i głębokich spostrzeżeń u Murray'a nie brak.

Przekład książki nie nastęrcza powodu do żadnych uwag donioślejszych; terminologia jest jednostajną i ściśle zachowaną.

Jeśli „Zasady Psychologii“ Murray'a nie zupełnie odpowiadają swemu celowi jako podręcznik, to w każdym razie stanowią one cenny nabytek w rzędzie przekładów prac filozoficznych i bliższe zapoznanie się z tem dziełem powinnyby ogółowi przynieść prawdziwy pożytek. Tylko książka ta wymaga od czytelnika głębszego wykształcenia i znajomości teorii sensualistycznej.

J. K. Dworzaczek.

„Stefan Batory. Przegląd historyi jego panowania i program dalszych nad nią badań. Z powodu 300-letniej rocznicy śmierci króla Stefana.“ Napisał Wincenty Zakrzewski. Wydanie poprawne i uzupełnione dodatkami. W Krakowie, nakł. G. Gebethnera i Sp., 1887, str. IV, 160.

Pracę prof. W. Zakrzewskiego, z którą zamierzamy nieco szczegółowiej zaznajomić czytelników „Biblioteki Warszawskiej“, oceniać trzeba jako studyum okolicznościowe, wywołane szlachetną chęcią złożenia hołdu wielkiemu królowi, z powodu uroczystego obchodu trzech-wiekowej rocznicy jego śmierci. W tym bowiem celu ogłosił p. W. Z. w 3-ch zeszytach „Przeglądu polskiego“ (grudzień 1886, styczeń i luty 1887 r.), rozprawę pod tyt.: „Jak należałoby badać dzieje Stefana Batorego?“ w której prócz wskazania kwestyi zaniedbanych przez dotychczasową historyografią, skąpe tylko powołał dowody na poparcie poglądów swoich. Wśród pisania rozrastał się atoli sz. autorowi niemal pod piórem nietylko materyał źródłowy, dotychczas niezany; ale i plan pierwotny, tak, że ostatecznie powstało studyum, którego doniosłość naukowa wzrosła i tytuł pierwotny stał się nie odpowiednim. Obok programu badań na przyszłość w części I-szej, w której autor rzuca zbyt szczerą dłońią szereg pytań jak najróżnorodniejszej natury bez ich rozbioru metodologicznego, bez jasnego

zdefiniowania odpowiedzi konkludujących, podał nam w części II-jej i III-jej przegląd tego, co już wiadomo dotychczas. Wartość tego przeglądu podniosły „ciekawe a charakterystyczne listy poufne o J. Zamoyskim“ (ogłoszone w „Dodatkach“ z rękopisu bibl. Dzikowskiej), rzucające wiele światła na osobistość kanclerza bądź co bądź dosyć jeszcze zagadkową.

Autor, czując sam najlepiej zaniedbane w pracy swojej stosunki wewnętrzne, wskazuje słabą stronę swojego studium, tłumacząc taki rezultat usiłowań swoich ogromem zadania, wymagającego jeszcze rozległych i gruntownych badań, których w krótkim przeglądzie pomieścić nie można. Przez tę uwagę, nie podlegającą żadnej dyskusji, utrudnił autor w wysokim stopniu zadanie krytyki naukowej, która przez tę intencją autora na milczenie wskazana, nie może odkrywać stron ujemnych rozprawy jego pod względem metodologicznym, chociaż propedeutyce jego brakuje w tym razie gruntu systematyczności naukowej w części I-jej, a „Przegląd historii panowania“ króla Stefana, jaki nam podał p. Zakrzewski, nie przedstawia nawet w głównych rysach wiernego obrazu działalności wielkiego monarchy, mimo niezaprzeczonej gruntownej znajomości szczegółów, mimo bystrości poglądów uniwersalno-historycznych i historyzoficznych, mimo nadobnego w ogóle i jasnego wykładu.

Studium, o którym mowa, składa się ze wstępu (str. 1 — 15) i z 3-ch osobnych części, zamkniętych zakończeniem, po którym czytamy w dodatku 3 dokumenty, ważne dla charakterystyki kanclerza Zamoyskiego.

Autor, obznajmiony dokładnie ze stanem Rzeczypospolitej w chwili ujęcia berła Jagiellonów przez Batorego ¹⁾, poruszył w dziełku swoim taki szereg kwestyi historycznych i tyle ważnych spraw polityczno-historycznych z czasów panowania Batorego, że rozbiór ich choćby najtreściwszy zapełniłby kilkotomowe dzieło, które atoli zbudowane podług projektowanej przez autora architektoniki, nie byłoby świątynią prawdy żywej i widnej; ale majestatycznym pałacem lśniących zamiarów i planów dyplomatyczno-wojowniczych, wyczerpujących naród polski i niepokojących świat cały! Historia, przedstawiając istotę faktów dziejowych w aktualnym ich rozwoju, nie powinna do zbadanych w swęj istocie faktów przydawać aspiracyi niedoścignionych jeszcze zamiarów, bo zamiary zbyt dalekie mogą obezwładnić albo nawet zatruć i zupełnie skrzywić najlepsze dzieła żywotne w danej chwili. Wartość moralna, historyczna i polityczna uczynku dziejowego nie zależy przeważnie od szerokości aspiracyi uniwersalno-historycznych, nie zależy od zamiarów najwznioślejszych, jasno określić się

¹⁾ Zob. tegoż autora: 1) Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce 1520 — 1572. Lipsk, 1870. 2) Stosunki Stolicy Apostolskiej z Iwanem Groźnym. Kraków, 1873. 3) Po ucieczce Henryka, dzieje bezkrólewnia 1574—1575. Kraków, 1878.

nie dających; ale od trzeźwego i jasnego poglądu na potrzeby chwili obecnej, która jest zawsze matką i źródłem przyszłej wielkości lub przerażającego upadku. Nie w tém szukalibyśmy wielkości bohaterów historycznych, co zamierzali zrobić; ale w tém, co istotnie zdziałali, w tém, co ze świadomością celu uporządkowali i ustanowili trwałego, pożytecznego. Stefan Batory dorósł téj miary pod wielu względami na polu oświaty, sądownictwa, skarbowości, dzieł wojennych, stosunków zagranicznych; nie zamiary tedy, ale dokonane czyny zdobią tę koronę, z której w następnych wiekach giną powoli najcenniejsze klejnoty panowania Batorego.

Nie robimy p. Zakrzewskiemu, broń Boże, zarzutu, jakoby nie uwzględniał faktów dokonanych przez Batorego, bo temu przeczy studjum jego; ale przy głównym nacisku na to, że historyografia nasza zbadać ich dotychczas zaniedbała, lub znaczenia ich i doniosłości historycznej ocenić nie umiała, niknie obraz tego, co Batory wraz z Zamoyskim zrobić mogli i zrobili,—w obec tego, co Batory z Possewinem zdziałał i zdziałać jeszcze zamierzał.

Przegląd osnowy dziełka p. Zakrzewskiego sądzimy, że usprawiedliwi tę naszą opinią i zachęci czytelników do głębszego zastanowienia się nad faktami przeszłości naszej z epoki, w której słusznie wielkość narodu widzimy.

Zgodnie z planem autora, musimy zapatrywać się na pierwszą część jego studjum ze stanowiska metodologiczno-propedeutycznego. Studium takie, po ujawnieniu niedostatków dotychczasowej literatury historycznej, powinno było wskazać szczegółowo źródła i środki, z których dzisiaj korzystać można i korzystać należy, powinno określić wyraźnie metodę, za pomocą której krytyka dochodzi do poznania istoty każdego faktu, każdej sprawy, — wreszcie powinno w główniejszych zarysach wskazać znaczenie historyczne faktów pojedynczych w ich związku z przeszłością naszą, niemniej i z ideami uniwersalno-historycznymi. P. Zakrzewski odstąpił z zupełną dokładnością pierwszą część zadania swego, mianowicie odstąpił słabe strony historyografii naszej z epoki Batorego; ale nie zadowolnił szkoły pod względem metodologicznym, ani co do sposobu badania metodologicznego, obowiązującego dzisiaj historyka, ani co do dyspozycyi i wykonania dzieła historycznego, według wymagań krytyki dzisiejszej.

Po wstępnej wzmiance o śmierci Batorego, o polemice oskarżających się wzajemnie niezręcznych lekarzy, po odrzuceniu baśni o otruciu króla, zaznacza autor, że wrażenie, jakie niespodziewana śmierć Batorego, zmarłego w 53-im roku życia swego, w ogóle zrobiła, było silniejsze w Europie aniżeli w Polsce. Po chronologiczném zregrowaniu znanych dotychczas źródeł do dziejów Stefana, nietylko ogłoszonych drukiem, ale i w rękopisach jeszcze się kryjących, poświęca autor kilka pobieżnych uwag monografiom, odnoszącym się do spraw pojedynczych z téj epoki (Żegota Pauli, Siemieński, Sutowski, Ad. Pa-

wiński, Osw. Balzer, Hausmann, O. Pierling) i przechodzi do sformułowania zadania, jakie sobie postawił.

Względy metodologiczne nakazywałyby ocenę krytyczną wartości źródeł pojedynczych przy zaznaczeniu stosunku, w jakim zostają źródła pośrednie, czyli poboczne do źródeł głównych, czego jednak autor w artykule okolicznościowym dać nie zamierzył.

Zadanie, na które pragnął odpowiedzieć p. Zakrzewski, znajdujemy sformułowane w ten sposób (str. 16 i 17): „Czy umiał (Batory) znaleźć dla swego państwa cele prawdziwie wyższe, cele takie, które mogłyby naród w danych warunkach uznać za własne i do nich się zapalić? czy potrafił dla takich celów zjednać, jeżeli już nie cały naród, to przynajmniej część jego znaczną? Gdyby się bowiem okazało miało, że takich celów dla swego państwa znaleźć i wskazać nie umiał, lub że te cele, które wynalazł i wskazywał, nie mogły żadną miarą zjednać sobie uznania, bo nie odpowiadały prawdziwym interesom narodu: — to nie przestaniemy wprawdzie nigdy uważać króla Stefana za męża dzielnego, za znakomitego żołnierza i wodza, ale musielibyśmy mu odmówić nazwy prawdziwego męża politycznego wyższej miary.“ Autor, postępując konsekwentnie, uczy nas w dalszym ciągu, że „jeżeli się okaże, że król Stefan uczynił wszystko, czego po znakomitym królu można się było spodziewać, a naród nie umiał lub nie chciał go ani zrozumieć, ani poprzeć, to sąd historyi będzie musiał orzec, że naród ten wstąpił już wtedy na drogę wiodącą nieomylnie do upadku i zguby.“ Odpowiedź na sformułowane powyżej pytanie ma być prócz tego „miarą sądu o wewnętrznej wartości całego tego ruchu potężnego, który wstrząsał społeczeństwem polskim w trzeciej ćwierci XVI go stulecia“ (str. 17).

Publicystyka nowsza głosi z taką energią wyrok, obwieszczający gotowy upadek narodu polskiego przy każdym tryumfie przemocy w czasach odleglejszych jeszcze niż epoka Batorego, że chroniąc się przed temi ekspektoracyami politycznemi do świątyni nauki historyi, przychodzimy do przekonania, że zadanie, na które p. Zakrzewski w tej części swojej pracy chciał odpowiedzieć, nie jest zadaniem historyi; ale należy do kombinacji i rachuby politycznej, bo pragnie uczyć nas tego, co Batory powinien był przedsiębrać w celach wyższych, a zaniedbuje do pewnego stopnia oświecić nas o istotnym położeniu ówczesnych stosunków. Batory nie potrzebował i nie powinien był szukać dla swego państwa celów prawdziwie wyższych, do którychby naród w danych warunkach mógł się zapalić; ponieważ zadanie nowo-obranego króla polegało głównie na obowiązku sumiennego spełnienia tych zagadnień, które panowanie poprzednie wraz z całym dotychczasowym rozwojem cywilizacyjnym narodu—następcy zmarłego króla przekazało. Wielkości Batorego szukalibyśmy zatem nie w koncepcjach nowych, wyższych; ale raczej w tém, czy Batory wniknął dokładnie we wszystkie potrzeby cywilizacyjnego rozwoju narodu polskiego w daną chwilę, lub nie. Czy rozumiał polityczne zasady

dotychczasowego naszego rozwoju historycznego, które w sposób, odpowiadający charakterowi i temperamentowi narodu, organicznie kształcić i rozwijać był powinien, bez pomocy doktryn abstrakcyjnych, choćby najponętniejszych dla marzycieli i teoretyków politycznych. Odwrócone w ten sposób zadanie pracy sz. autora, może w dalszym następstwie być probierzem dojrzałości umysłowej i obywatelskiej społeczeństwa polskiego w jego warstwach panujących.

Stanowisko przez nas wskazane było tak naturalne, że zmysł historyczny sz. autora nie pozwolił mu o niem zapomnieć, mimo odmienną zapowiedzianą na czele teorii; znajdujemy bowiem w dziele jego wskazany dawny program postów sejmowych, będący wyrazem nie tyle pojęć, co uczuć szlacheckich, za panowania Zygmunta Augusta i podczas dwóch następnych bezkrólewów (str. 19), jako punkt wyjścia dla działalności nowego króla.

Autor, idąc za przykładem prof. Bobrzyńskiego, kładzie mocny nacisk na to, że Batory był elektem szlachty w przeciwstawieniu do elekta możnowładztwa, jakim był cesarz Maksymilian. Przypisuje tedy szlachcie idee centralistyczne, narodowe, jakie mają przenikać stronnictwo reformy z czasów ostatnich dwóch Zygmunatów. P. Zakrzewski nie zapomina jednak o tém, że stronnictwo to pojmoowało wszelką reformę tylko w interesie swojego stanu, że chciało zgnieść stany od siebie niższe, pragnęło uporządkować skarb i obronę kosztem stanów wyższych za pomocą egzekucji; ale równocześnie uczy nas, że stronnictwo szlacheckie chciało luźno połączone dotychczas z Polską kraje połączyć ściślej w jedną całość przez narzucenie im instytucji szlacheckich; chciało zniszczyć odrębność i przywileje stanu duchownego, uporządkować wymiar sprawiedliwości przez najwyższe, dla wszystkich jedyne trybunały szlacheckie. Do tych celów — uczy p. Z. — dążyła Izba poselska z niezmierną wytrwałością, zapalem i niewidzianą nigdy ani przed tém ani po tém zgodą, tak że mniejszość musiała się poddawać uchwałom większości. „Żeby te cele osiągnąć, gotowi byli postowie ziemscy pomnożyć znacznie władzę króla, domagali się, aby przestrzegał pilnie ścisłego wykonywania przez urzędników ich obowiązków, a nieposłusznych karał” (str. 19). Mielibyśmy szczerzy żal do króla i doradców jego, że zaniedbali tak korzystnej sposobności podniesienia władzy i powagi korony, boby byli oszczędzili Batoremu tej przykrości, z jaką musiał przypominać postom na sejmie toruńskim, że nie chce być królem malowanym (cf. Relacye nuncyuszów, t. I, str. 299). Tymczasem powołane przez p. Zakrzewskiego okoliczności są tylko uogólnieniem niektórych drobnych i oderwanych zjawisk pojedynczych, ponieważ cała akcja reform szlacheckich opierała się zawsze, równie za Piastów jak i za Jagiellonów równie za Wazów jak i za Sasów, na wybujałym zanadto prowincjonalizmie, który niechętnie wyglądał poza opłotki swoich osobistych lub familijnych interesów, jak o tém świad-

czy sejm toruński z r. 1576 ¹⁾, nie mniej i przebieg sejmu z r. 1582 (cf. Ks. J. Wielewickiego „Dziennik spraw domu zak. OO. Jezuitów w Krakowie. Krak. 1881, str. 27), oraz wystąpienie posłów województwa krakowskiego, sandomirskiego i sieradzkiego na sejmie w roku 1578-ym ²⁾.

Nie czepiając się nadto wyrazu, ale zważając na istotę rzeczy, nie śmielibyśmy upatrywać w Batorym króla szlacheckiego w przeciwstawieniu do króla możnowładców, bo skoro Zamoyskiemu, temu trybunowi szlachty, podnoszącemu się w początkach swojej kariery za pomocą reminiscencyi republikańskiego Rzymu w oczach tłumu szlacheckiego, po śmierci Zygmunta Augusta udało się wprowadzić w życie elekcyą *à la turque*, bez oglądania się na jakakolwiek w tej sprawie konstytucyą, to każdy król był już odąd królem szlachty a nie możnowładców, chociaż faktycznie antagonizm możnowładców zapędzał szlachtę, będącą podczas elekcyi w pojedynczych grupach swoich na żołądzie tego lub owego magnata, do obozu tego lub owego możnowładcy. Elekcyą Batorego rozstrzygnęła jego antyhabsburska polityka w Siedmiogrodzie, bo w obec dynastycznej i germanizacyjnej ambicyi habsburgów w Czechach i Węgrzech, nie mogli i polacy, patrzący na zachęta cesarskie w Prusach, spodziewać się innego losu pod rządami habsburgów. Oprócz tego wybór habsburga znaczył w owęj chwili wojnę z Turcyą, a Polska pragnęła przedewszystkiem z téj strony pokoju. Nie były to jednak argumenta, któreby do szerszych mas przemówić mogły, zwłaszcza, że Litwa, gotowa nie krępować się nadto aktem z r. 1569, zwracała w inną jeszcze stronę swoje oko; dla tego szczęśliwą była myśl, gdy Zamoyski, widząc niebezpieczeństwo, bez długich wywodów uderzył na polu elekcyi w ideę wspomnień dynasty jagiellońskiej: królowną Annę wybrano królem a w Stefanie Batorym wybrano jej małżonką i króla, którego najskuteczniej popierali tacy magnaci jak Zborowscy, jedynie warcholstwem swoim nad gromadami szlachty przewodzący; ale dalecy od tych idei, które sz. autor narodowi szlacheckiemu tak szczodrobliwie przyznaje.

Z pomiędzy spraw wewnętrznych zwraca prof. Zakrzewski uwagę na to, że dotychczas nie znamy dokładnie najważniejszych spraw i kwestyi, dotyczących panowania Batorego z powodu braku źródeł dostatecznych: nie zbadała dotychczasowa literatura historyczna ani stosunku Batorego do Zamoyskiego, ani sposobu sejmowania, ani urzą-

¹⁾ *Heri mihi allatae sunt litterae ex Polonia, quibus conventum Thorunensem, infectis omnibus rebus, rege vehementer perturbato, dissolutum nuntiat. Erant plena omnia dissidii inter ordines.*—Relacye Nuncyuszów, t. I, 300. cf. Uwagi nasze w tej sprawie przy recenzyi dzieła prof. Pawińskiego, Źródła dziejowe t. III, w „Niwie“ 1878.

²⁾ Zob. Akta historyczne do panowania Stefana Batorego od 1578 do 1579 w Bibl. Ordyn. Krasieńskich t. 5-y i 6-y str. 20—74 cf. Pawińskiego Skarbowość w Polsce. str. 347.

dzenia Inflant i Prus książęcych, bo tylko skarbowość i sądownictwo w jaśniejszym ukazuje nam się świetle po pracach Pawińskiego i Oswalda Balzera. Cel metodologiczny pracy, mającej przedstawić program badań dziejów panowania Stefana Batorego, nie pozwalał autorowi poprzestawać na wskazaniu samych tylko braków historyografii naszej; ale nakazywał zaznaczyć, co przy pomocy dotychczasowych źródeł przedsiębrać należy. Za taką sprawę uważamy w epoce Batorego kwestyą sejmowania, o której w dziełach historyków dawnych i nowszych, słuchających nauki polityków naszych z wieku XVIII powszechnie błędne panują jeszcze opinie. Porządek sejmowania za Stefana Batorego opiera się na tych samych podstawach reprezentacji ziem i powiatów zupełnie autonomicznych, na której powstał i wzrósł za Jagiellonów. Sejmy polskie wyobrażają od samego początku delegacją tylko czyli zjazd obywateli z różnych województw, skrupowanych ściśle określonymi instrukcjami, mającemi przede wszystkim lokalne interesa na uwadze, dla tego też nie potrafiły się one wznieść na stanowisko reprezentacji narodowej, jaka się wyrobiła w Europie w ogóle dopiero po rewolucyi francuskiej. Tak było za czasów Kazimierza Jagiellończyka, tak było za Zygmunto w i tak zostało aż do ustawy z r. 1791. Z tego źródła płynie osławione „liberum veto“ — nie legalizowane wprawdzie żadną konstytucją, aż do czasów gwarancyi wolności naszej przez państwa sąsiednie, ale potężne faktycznie od samego początku skonfederowania się u nas zjazdów czyli sejmików ziemskich w jednym wielkim sejmie z dwoma izbami. Od początku też funkcyonowania tego mechanizmu prawodawczego, i administracyjnego, którego dla wielu względów parlamentaryzmem nazywać w żaden sposób nie można ¹⁾; od początku, mówię, nie stanowiono u nas nigdy żadnych sejmowych uchwał za pomocą mniejszej lub większej liczby głosów; ale pytano się tylko o to, czy się wszystkie województwa resp. ich postawie—jak najszczegółowszemi instrukcjami przez sejmik opisani—na przedstawiony projekt uchwały zgadzają lub nie. Ideę takiej reprezentacji akceptował nawet Jan Zamoyski jeszcze za czasów Zygmunta III, gdy objaśniał Vanoz'ego, sekretarza-pościa papieskiego Gaetaniego, co do trudności przeprowadzenia sprawy na sejmie, dowodząc, że „apud nos unus nuncius potest omnia disrumpere“ ²⁾. Za Stefana Batorego wkradał się coraz bardziej ten zwyczaj na sejmach, że sejmiki poczęły podkopywać powagę sejmu generalnego. Sejm warszawski z r. 1578 uznał formalnie zasadę wyższości sejmików ponad sejmem, gdy w obec oporu posłów województw krakowskiego, sandomirskiego i sieradzkiego, zaskaniających się ograniczoną instrukcją przeciw zgodnej uchwale o poborach, przyjętej przez wszystkie inne ziemie, uznano za konieczne odwołać się do sejmików tychże województw dla uzyskania potrzebnych pełnomocnictw. Praktyka to wprawdzie nie nowa, bo

1) Zob. Bibl. Warszawskiej z r. 1880, t. 4, str. 302 i 303 w uwadze.

2) Zbiór Pam. Niemcewicza t. II.

z zasady instrukcyi płynąca; ale u nas, gdzie współzawodnictwo stanów nie neutralizowało na sejmach samolubstwa interesów prywatnych, stała się taka zasada, tolerowana przez rząd, kierujący się równie parafialną wolnością, przyczyną nie tylko upadku powagi sejmów, ale zasada taka tworzyła źródło anarchii, której już żaden Siciński potęgować nie potrzebował.

P. Zakrzewski broni Batorego w obec zarzutu, jakoby król w widokach absolutystycznych miał przez te praktyki dążyć do podkopania majestatu sejmu walnego. Ogłoszone w 5-tym tomie, Bibl. Ordyn. Krasińskich (Warsz. 1881.) „Akta do panowania Stefana Batorego“ przedstawiają w tej sprawie obfity i żądnej wątpliwości co do sposobu naszego sejmowania nie pozostawiający materyał źródłowy ¹⁾. Na tym gruncie spoczywa ten fakt, że la u d a sejmików, wyrażające odrębną swoją wolę, mogły równoważyć konstytucye sejmu walnego. Z taką praktyką sejmowania spotykamy się dosyć często w naszej historii. Gdy np. na sejmie 1597-o r. „posłowie zwłaszcza ruscy opóźniali rozpoczęcie sejmu, król z senatem do domu wszystkim, (jako się też zachowuje na trybunale) po lepszą zgodę kazali. Widzieliśmy się ta rzecz, jakoby nowa niektórym, pisze M. Bielski ²⁾--i wiele niebezpieczeństw za sobą ciągnąca: abowiem łatwiej tak wiele województw od seymu odstrychniono, gdyby z niezgodą drugie umyślnie posyłano, tak, iż mniejsza część zostawszy na drugie stanowić coby chciała. Ale mym zdaniem też to jest rzecz bardzo niesłuszna, żeby dla jednego albo dwu Województw conclusia być nie miała. Przetoby słusznie, aby większa część iako na Trybunale concludowała. Więc na takie ambitiae ludzkie nie masz nic lepszego iako to, że ci i owi do domu po lepszą na potym zgodę poiadą. A Posłami się tak często obierać nie będą.“

Okoliczności co tylko pobieżnie wskazane dowodzą, że historyk, badający istotę Sejmowania polskiego, nie może opierać się na dzisiejszej teorii nauk politycznych o zasadach reprezentacyi narodowej ani też na praktyce obrad ludowych w republikach starożytnych; ale na gruncie zjazdów prowincjonalnych, powszechnych w wiekach średnich. Patrząc wreszcie i dzisiaj jeszcze na oburzające skutki terroryzmu, jakim często rządowe większości gnębią słabsze, choć usprawiedliwione mniejszości, nie możemy bić już bez zastrzeżeń bałwochwalczém czołem przed tą formą reprezentacyi narodowej, na jaką się dotychczasowa praktyka rządowa zdobyła, bo ufamy rządowi Opatrzności w dziejach, że ona obmyśli skuteczny środek przeciw poniewieraniu idei sprawiedliwości—choćby w brew doktrynie apostołów zbawczej wszechwładzy organów policyjnych.

¹⁾ Zob. mianowicie nr. 18, 34—37, a mianowicie nr. 38. Porównać z tém postępowanie w Prusiech—tamże nr. 29 i 42.

²⁾ Kronika. Ciąg dalszy wyd. Sobieszczańskiego. Warsz. 1851. str. 297, 298

W dwóch następujących częściach mówi prof. Zakrzewski; o sprawach kościoła, religii i oświaty (str. 49—92) w sposób dostatecznie informacyjny, z odpowiednim krytycznym przeglądem faktów główniejszych, tak że pragnący poznać tę sferę rządów Batorego znajduje tu programat studyów, który, dokładnie wykończony w szczegółach, nie pozostawi nic do życzenia. Za równie zadawalniającą uważać można część trzecią (str. 93—139,) w której autor daje przegląd polityki zagranicznej Batorego, będącej główną niemal i jedyną areną dziesięcioletniej działalności panowania Batorego. Może w latach następnych byłby się troskliwiej zajął organizacją instytucji politycznych i naprawą organów państwowych, zwłaszcza że i Zamoyski już spostrzegął, że na „fluktach“ admirowanej wszechwładnej wolności szlacheckiej — nawa Rzeczypospolitej do bezpiecznej przystani zawinąć nie potrafi; gdy niespodziewana śmierć króla zburzyła wszystkie dobroczynne zamiary króla. (Uregulowanie sposobu „elekcji.“) — W zakończeniu (str. 140—144) przeprowadza sz. autor paralelę między Stefanem Batorym a Henrykiem IV-y m we Francyi i odnajduje w Polsce ideę „l'état c'est moi“ w wyobrażeniach szlachty, która, widząc tylko w sobie państwo, zapomniała o tem, że państwo, że Rzeczpospolita, aby istnieć, potrzebuje rządu i władzy, że ma własne i wyższe interesy niż swoboda jednego tylko stanu (str. 143.)

Pracę prof. Zakrzewskiego, tchnącą wszędzie podniosłym duchem pisarza obywatela, potracającą o najważniejsze zagadnienia z epoki panowania Batorego, napisaną językiem poprawnym, uważamy mimo uiedomowień w szczegółach metodologiczno-propedeutycznych, które tytuł obiecuje, za bardzo pożądany nabytek i z bogacenie naszej najnowszej literatury historycznej.

J. K. Plebański.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na stosunki ogólnoeuropejskie. — Pogrzeb ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego w Krakowie dnia 18-go kwietnia r. b. — Lustracya Towarzystw polskich w W. Ks. Poznańskim: Towarzystwo pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego; Sprawozdanie Banku włościańskiego za rok 1886; Kółek rolniczych; Towarzystwa centralnego rolniczego. — Sprawozdanie Macierzy szkolnej dla księstwa Cieszyńskiego. — Wniosek prof. M. Bobrzyńskiego co do uporządkowania akt grodzkich, znajdujących się w Krakowie. — Posiedzenie wydziału filologicznego Akademii umiej. w Krakowie dnia 1-go marca; komisji antropologicznej dnia 11-go marca. — Prelekcye z nauk przyrodzonych w „Muzeum rolnictwa“ na dochód kasy imienia Mianowskiego: Ciemniwski: „O meteorologii;“ Siemiradzki: „O wulkanizmie.“ — Z ekonomiki: Cła zbożowe; wybory w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu; kwestya markowania wyrobów rzemieślniczych; monopol tabaczny; podwyższenie opłaty paszportowej.

Miesiąc ubiegły odznaczał się aż do chwili podstępnego uwięzienia przez Niemców francuzkiego komisarza nadgranicznego, Schnaebelę, względny spokój, jeśli nie powiemy pewną ciszą, owianą nawet zefirami pokoju, zawsze jednak wśród atmosfery nie zupełnie lekkiej, ale przynajmniej nie zapowiadającej w najbliższym czasie żadnej burzy gwałtowniejszej. Ani wołania o posiłki z Massawy, ani grzmoty z Afganistanu nie budziły trwogi w Europie.

Sprawę bułgarską przedstawiał Stoitow dyplomacyi w Wiedniu, zwracając uwagę na niebezpieczeństwa, jakie dla pokoju europejskiego wyniknąć mogą z przedłużającego się do nieskończoności stanu niepewnej tymczasowości; regenci lustrowali usposobienie ludności po różnych miejscowościach, a rząd sofijski, starając się o ubezpieczenie porządku publicznego, nie przestawał kofatać u Anglii o pożyczkę na wykończenie rozpoczętych linii dróg żelaznych.

W Austro-Węgrzech kłopotano się dalej z ugodą handlowo-celną między Cislitawią a Węgrami, która ostatecznie zdaje się przychodzić do skutku. Kwestya wszechsłowiańskich napisów na asygnatach banku austro-węgierskiego illustrowała dosyć pokaźnie patryotyzm słowiański tak zwanych „Młodo-Czechów.“ Rokowania o wskrzeszenie traktatu handlowego między Austryą i Rumunią nie doprowadziły jeszcze do pożądanego celu, gdy traktat odpowiedni między Rosyą a Rumunią został podpisany.

Rosya, zajęta w tej chwili przeważnie sprawami ekonomiczno-finansowemi oczekuje z pewnem niedowierzaniem owoców tych doraźnych zamierzeń, do których się ucieka nowy zarząd skarbu w celu pomnożenia dochodów państwa, oraz wyemancypowania się z tak uciążliwej zależności od przewodzącego na tej arenie rynku berlińskiego.

W Berlinie bronił ks. Bismarck w izbie deputowanych nowelli do praw majowych, uchwalonej już poprzednio w Izbie panów, przed napaściami zagorzałych fanatyków protestantyzmu, przyczém objawił kilkakrotnie niezwykle w umysłach protestanckich poglądy na misyą uniwersalną papieżstwa, niemniej i na politykę oportunistyczną, której się względem Kościoła katolickiego trzymał i nadal trzymać będzie. Swobodę Kościoła protestanckiego, której się równocześnie dopominali ewangeliccy oponenci, zapewnia, według ks. Bismarcka, najlepiej sam król pruski, jako głowa tegoż kościoła. Gorszący „incident“ Schnaebele'a ma wszelkie pozory prowokacyi ze strony Niemiec.

W Anglii, w obec zamierzonego przez rząd obostrzenia procedury sądowej w Irlandyi, burzą się namiętności ludowe nawet w samym Londynie, a wychodźcy irlandzcy grożą jak napotworniejszymi zamachami.

W Hiszpanii odzywały się nieśmiało aspiracye republikańskie; w Belgii zaś, pojmującej jak najszerzej swobodę osobistą i prawa obywatelskie ludności, patrzeliśmy na widowisko monsturalnej manifestacyi wszystkich stowarzyszeń socjalistycznych, zakończonj w Brukseli pochodem towarzystwa kobiet socjalistek.

Spółeczeństwo nasze oddychało tymczasem nie tylko czią dla zasług zmarłego w Genewie 19 marca ś. p. J. I. Kraszewskiego, ale miało wzrok swój w smutku zwrócony na Genewę i Kraków, dokąd przed świętami wielkanocnymi sprowadzono zwłoki nieboszczyka. Z powodu przepisów rytuału wielkanocnego złożono je w krypcie kościoła ks. Pijarów. Dnia 18 kwietnia przy niezliczonym napływie ludności, w asystencyi licznych deputacyi z różnych zakątków Polski z wieńcami, po podniosłem przemówieniu Józefa Meiera, prezesa Akademii umieję-

tności, której zmarły był członkiem, przeprowadzono ciało tego tytana pracowitości do kościoła P. Maryi, gdzie się odbyło wspaniałe nabożeństwo, celebrowane przez biskupa krakowskiego JE. ks. A. Dunajewskiego. Mowę żałobną, tchnącą podniosłym duchem najlepszych kapłanów-obywateli wypowiedział prof. ks. Chotkowski. Po nabożeństwie przeprowadzono wśród nieprzejrzanego tłumów ludu zwłoki ś. p. Kraszewskiego do kościoła na Skałce i złożono je obok grobowca Długoszowego, w tym grobie zasłużonych Polaków, przy spisaniu odpowiedniego protokołu ku wiecznej aktowi tego pamięci. Cała uroczystość pogrzebowa odbyła się przy majestatycznym nastroju dusz wszystkich obecnych, z tą powagą nabożną, jakiej akt tego rodzaju miał prawo się domagać. Przed złożeniem trumny w kościele na Skałce przemawiali dr. Szlachtowski, prezydent miasta Krakowa, Antoni Pietkiewicz (Pług), doświadczony przyjaciel zmarłego i towarzysz pracy na polu literatury, z Warszawy, tudzież student uniwersytetu Jagiellońskiego, Jaworski.

Czytelników Bibl. Warsz. staraliśmy zaznajomić (zob. zeszyt marcowy Bibl. Warsz. z r. b.) z temi instytucjami, które wśród jak największych przeszkód władz administracyjnych w W. Ks. Poznańskim, społeczeństwo polskie, uciekając się pod opiekę praw konstytucyjnych w Prusiech, wytworzyło dla obrony swoich interesów narodowych. W miesiącu marcu, a mianowicie już pod koniec jego, odbywały się posiedzenia tych stowarzyszeń, których sprawozdania możemy do pewnego stopnia uważać za ilustracją pożytecznej ich działalności.

W dniu 8-ym marca r. b. odbyło Towarzystwo pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego doroczne swoje walne zgromadzenie w Poznaniu, którego sama zewnętrzna fizyognomia świadczyła o postępach szkodliwych, jakie na tém polu zrobiły Prusy konstytucyjne w porównaniu z dawnymi Prusami absolutystycznymi. Władze rządowe wypędziły nie tylko z Zarządu Towarzystwa pomocy naukowej zasłużonych nauczycieli (Motty, Wituski, Studniarski); ale zabroniły jakiegokolwiek uczestnictwa w tej dobroczynnej instytucji wszystkim nauczycielom i urzędnikom—choćby jeśli nie wszyscy, to bez zaprzeczenia znakomita większość zawdzięcza wykształcenie swoje stypendyom, jakie z funduszu tego Towarzystwa pobierała i do ich zwrotu moralnie się czuje zobowiązana. Z 12-tu krzesel zarządu było też tylko 5 zajętych; resztę opróżniła śmierć i troskliwość administracji miejscowej o dobrobyt ludu, w przeciwstawieniu do szlachty i duchowieństwa. Zebraniu przewodniczył Kazimierz Szuman, adwokat, jako zastępca zarządu, a obradami kierował Wład. Bentkowski. Sprawozdanie dowodzi, że mimo ciosów, jakie spadły na tę instytucję dobroczynną, działalność towarzystwa nie ustawała. Towarzystwo utrzymywało przez rok 1886-ty w uniwersytetach, gimnazyach, różnych szkołach specjalnych, seminariach, szkołach elementarnych, ogółem 192 stypendystów. Dochody Towarzystwa wynosiły blisko 56,000

marek. W spisie nadzwyczajnych datków znajdujemy pozycye, dowodzące, że mogą być w Europie państwa, w których nie wolno jawnie dobrze robić, bo nie przypuszczamy, żeby bezimienna ofiara 7,268 marek była wyrazem samej skromności; ale mogła na to wpłynąć obawa odpowiedzialności w obec rządu za popieranie uczącej się młodzieży polskiej. Pocięszający dowód uznania dobroczynnego wpływu tej instytucji pomiędzy ludem w W. Ks. Poznańskim, stanowi ofiara 138 marek wdowy Nowickiej, gospodyni wiejskiej ze wsi Zimina pod Środą.

Sprawozdanie za rok 1886 Banku włościańskiego w Poznaniu, które przedstawiono na zwyczajnem walnem zebraniu, w dniu 23-m marca w sali Bazaru poznańskiego, wykazuje ciągły rozwój tej instytucji, której głównym celem było ułatwianie w zaciąganiu pożyczek, szczególnież włościanom i drobniejszym rolnikom przez pomoc dawaną przy regulowaniu stanu hipotecznego. Obok kilku większych posiadaczy i właścicieli dóbr ziemskich, bank w ciągu ostatniego roku przyszedł z pomocą przy uregulowaniu interesów w Towarzystwie kredytowem ziemskim 38-u włościanom, a 50-u mniejszym rolnikom udzielił skuteczną radę w sprawach hipotecznych. Bank w ciągu ostatniego roku zniżył stopę procentu od pożyczek, jak również był zmuszony zmniejszyć procent od wkładów w kasie oszczędności czynionych. Czysty zysk w ciągu ostatniego roku wynosił 55,250 marek, z czego przeznaczono na dywidendę 24,000 marek, 6,250 marek na fundusz rezerwy, 5,000 marek na tanyemę dla zarządu i rady nadzorczej i 2,000 na superdywidendę. Ogólna dywidenda za rok 1886 od kapitału zakładowego, wynoszącego 600,000 marek, wynosi zatem $7\frac{1}{3}\%$. Fundusz rezerwy banku wynosi obecnie po 14-u latach jego istnienia 54,129 marek. W końcu sprawozdania dodano porównawczy pogląd na ważniejsze cyfry bilansowe z czternastu lat istnienia Banku, które wykazują nieustanny rozwój wszelkich czynności bankowych, jako też razem korzystniejsze rezultaty przez bank osiągnane. Dywidenda początkowo wynosiła zaledwie 4% , a od lat trzech już z kolei wynosi $7\frac{1}{3}\%$. Sprawozdanie podpisali: w imieniu rady nadzorczej hr. M. Kwilecki, jako przewodniczący, w imieniu dyrekcji dr. Buski i nakoniec w imieniu komisji rewizyjnej dr. Żebiuński.

Sprawozdanie z działalności kółek rolniczych w W. Ks. Poznańskim, przedstawione zebraniu ogólnem, które się odbyło dn. 29-go marca r. b. w Poznaniu, wykazuje, że obecnie jest ogółem kółek 150 czynnych, z tych trzy powstały w ostatnim roku, a pięć jest w projekcie i prawdopodobnie w r. b. założone będą. Nadto z pomiędzy 150 kółek, 11 jest nieczynnych. W swoim przemówieniu p. Jackowski, znany patron kółek, zachęcał do zwiedzania gospodarstw włościańskich i dominialnych, co jednak nie w wielu kółkach się praktykuje. Sprawozdanie ze zwiedzenia 3-ch gospodarstw nadesłano. patronowi

kółka w Kościelsku; ma ono być wydrukowane i rozesełane kółkom, jako wzór naśladowania godny. Mówił też patron o wystawach, urządzonych przez niektóre kółka szczególnie w Kostrzynie i Żelicach, stawiając je za wzór innym kółkom. Następnie p. Julian Brzeski odczytał rozprawę zawierającą „Rady na czasie,” w których podał cały szereg praktycznych wskazówek, jak rolnik ma się rządzić w ogóle, a w szczególności w obecnym przesileniu rolnictwa. P. Szyper odczytał rzecz „O hodowaniu bydła.” P. patron Jackowski poruszył sprawę ubezpieczenia się włościan od ognia i gradu. P. Sobiech, syn Włościanina odczytał rozprawę pełną trzeźwych myśli p. t.: „Trzymajmy się roli!” a p. Chojnacki „O hodowli koni.” Dłuższa wywiązała się dyskusya nad ostatnim punktem rozpraw, t. j. nad sprawą poruszoną przez patrona, co do zakładania spółek t. z. „Raiffeisen'a.” Po rozważeniu argumentów obrońców i przeciwników wniosku, uchwalono jednomyślnie zakładanie takich spółek, które w prowincjach nadreńskich od lat blisko 40-tu ratują ludność wiejską od wyzysku lichwiarskiego. Nazywają się zaś tak dla tego, że pierwszy je zaprowadził pomiędzy ludnością wiejską prowincyi nadreńskich burmistrz Raiffeisen. Tego rodzaju spółki są dogodniejsze od kas i spółek pożyczkowych; udzielają bowiem kredytu za niższą stopą procentową na czas dłuższy aż do lat 10-ciu; przy tém zajmują się czynnie losem gospodarzy, regulując ich hypoteki, pomagają przy kupnie inwentarza, zboża i. t. p. Zakładane bywają w małych kółkach, najczęściej w jednej parafii, a do spółki są przypuszczani tylko ludzie uczciwi i trzeźwi. Przy spółkach są kasy oszczędności, których wkłady gwarantuje solidarna odpowiedzialność „uczciwych” spółników. Administracya spółek jest nadzwyczaj tania, gdyż członkowie zarządu spełniają swe obowiązki bezpłatnie, jedynie kasyer pobiera niewielkie wynagrodzenie. Spółka taka istnieje już w bliskości Poznania w Górczynie, a w Barcinie ma być wkrótce założona. W końcu posiedzenia rozdzielił patron pomiędzy obecnych włościan trzy broszurki treści popularnej.

Ze sprawozdania zarządu Towarzystwa rolniczego w W. Ks. Poznańskim, przedstawionego zebraniu wolnemu, które się odbyło w Poznaniu w końcu marca, dowiadujemy się, iż Towarzystwo w różnym kierunku objawiło swą działalność, a żywy w niem udział przyjmowały Towarzystwa powiatowe. Sprawozdanie wykazuje dochodu 13,745 marek 81 fen., a rozchodu 10,140 m. 83 fen. Wywiązała się dyskusya nad wnioskiem p. Urbanowskiego, który żądał, aby wezwać do udziału w Towarzystwie duchowieństwo i oficyalistów wiejskich. Wniosek ten upadł. P. Jackowski, patron kótek rolniczych włościańskich, zdawał sprawę z ich działalności i wzywał młodszą generacyą, aby szła za wzorem ojców, opiekując się kółkami rolniczymi.

Macierz szkolna dla księstwa cieszyńskiego ogłosiła sprawozdanie za r. 1886 to jest pierwszy swojego istnienia. Założycielem Ma-

cierzy jest p. Ignacy Bagieński, obywatel z Odessy, który zapewnił temu stowarzyszeniu kapitał wieczysty 10,000rs. Za tym przykładem poszło 10-ciu założycieli, którzy złożyli po 25 ztr. Dalej Towarzystwo biblioteki polskiej w Rumunii ofiarowało 4,500 fr. Członkowie czynnych, składających po 1 ztr. lub więcej, zapisało się 154-ch. Ogółem w ciągu roku Macierz miała wpływu 2,198 ztr. 35 $\frac{1}{2}$. Przewodniczącym jest Paweł Stalmach, redaktor „Gwiazdki cieszyńskiej.” Celem stowarzyszenia jest zakładanie szkół polskich, a przedewszystkiem gimnazjum polskiego na Szląsku.

Na jednym z posiedzeń rady miejskiej m. Krakowa, radca miejski prof. Bobrzyński zwrócił uwagę rady na ważną i doniosłą dla postępu źródłowych badań historycznych, sprawę zaniedbanego dotychczas uporządkowania akt grodzkich krajowych. Kraków bowiem posiada nietknięte dotąd ręką badaczy dziejów akta, sięgające czasów Władysława Łokietka. Cały ten zbiór nie był nigdy i nie jest obecnie dostępny dla nikogo, gdyż ani odpowiedniego lokalu, ani opieki nad aktami nikt nie rozciągał, a to do tego stopnia, że część tych akt złożona jest dziś pod schodami magistratu, a dawniej butwiała w ratuszowej wieży; drugą zaś częścią, obejmującą akta dawnych sądów grodzkich, rozporządza archiwum sądu krajowego, które niezawodnie zwróciłoby te zbiory miastu, gdyby był urządzony dla nich lokal i ustanowiona odpowiednia opieka. Otóż dr. Bobrzyński postawił wniosek, aby rada miejska porozumiała się z wydziałem krajowym, utrzymującym w Krakowie archiwa krajowe, co do wspólnego umieszczenia zbiorów i administrowania niemi, z pewnym udziałem gminy miasta w kosztach. W dyskusyi, która się wywiązała nad tym przedmiotem, radca miasta dr. Kohn był zdania, że rada powinna utworzyć samodzielne własne archiwum, nie oglądając się na większe koszta w obec niezwyklej doniosłości sprawy, w głosowaniu atoli utrzymał się wniosek d-ra Bobrzyńskiego, „jako oszczędniejszy.“

W Akademii umiejętności odbyło się dnia 1 marca r. b. pod przewodnictwem d-ra Estreichera posiedzenie zwyczajne wydziału filologicznego, na którym przewodniczący złożył pracę p. Edwarda Jellinka p. t. „Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich, dotyczących rzeczy polskich.” Część trzecia, 1883—1886. Prof. Morawski wyłożył treść czterech rozpraw z zakresu historii języka łacińskiego: p. J. Rozwadowskiego „O sposobie wyrażenia dat historycznych;” p. Z. Dembicera „O użyciu przyimka „De“ u Plauta i Terencyusza;” p. Wróbla „O użyciu wyrazów *nimis* i *nimum* u Plauta i Terencyusza;” p. J. Guzdka „O użyciu wyrazu *animus* u T. M. Plauta.” Prace powyższe zostaną pomieszczone w wydawnictwach wydziału. Rozprawę p. E. Porębowicza p. t.; „O romansach ludowych” odstąpiono do ocenięcia dwom członkom.

Komisya antropologiczna Akademii umiejętności w Krakowie odbyła w dniu 11 marca posiedzenie pod przewodnictwem dr. J. Majera, na którym sekretarz profesor dr. Kopernicki zawiadomił: 1) o rozpoczęciu druku XI-go tomu „Zbioru wiadomości;“ 2) o skutku rozestanych odezwo celem zebrania spostrzeżeń nad objawami życia płciowego kobiet, który był taki, że na 300 zaproszonych, tylko 17 ofiarowało swój udział w tej pracy, że zatem komisya rozszerzyć będzie musiała swe starania do innych krajów polskich; 3) dalej zawiadamia tenże, że p. M. Cisek, nauczyciel w Słocinie, w powiecie rzeszowskim, rozpoczął zbieranie materyałów etnograficznych w swojej okolicy; że p. S. Udziela, kierownik szkoły w Ropczycach, nadesłał zbiór tego rodzaju z okolic Ropczyc, a nadto podał wiadomość o kilku miejscach w tej i w dalszych okolicach — z jawnymi śladami dawnych osad, cementarzysk ciepłopalnych i grodzisk przedhistorycznych. Miejsca te w swoim czasie zwiedzi, a w miarę okoliczności zbada sekretarz dr. Kopernicki. Wreszcie 4) złożył do zbiorów Akademii nadesłane do jego rozrządzenia przez p. Ach. Brezę i przez tegoż wykopane w lesie, we wsi Siekierzyńcach na Wołyniu, trzy starożytne czaszki ludzkie wraz ze znalezionemi przy nich szczątkami naczyń glinianych. — Czł. komisyi p. G. Ossowski oświadczył, że p. Pigorini, dyrektor muzeum paleontologicznego w Rzymie, proponuje wymianę duplikatów wyrobów kościanych z jaskiń mnikowskich za zgodne z niemi wyroby krzemienne z Breonir pod Weroną; propozycyą przyjęto. Tenże przedstawił przesłane przez ks. Siarkowskiego, wraz z dokładnym opisem, ofiarowane do zbiorów Akademii wykopaliska przedhistoryczne z okolicy Kiele. Rzecz będzie zamieszczona w drukującym się tomie „Wiadomości antropologicznych.“ Toż samo nastąpi z wiadomością podaną przez p. Dowgirda o badaniach jego w Bogoryi i okolicach w Królestwie Polskiem, nadesłaną w tym celu przez komisję archeologiczną. Tenże, zdając sprawę z przeszłorocznych badań jaskini Wierzchowskiej górnej, przedstawił wydobyte tamże przez siebie liczne przedmioty, należące do różnych okresów przedhistorycznych, mianowicie kamienia, bronzu i żelaza, między niemi ciekawą bryłę stalagmitu, w którym tkwiły, zalane wapieniem naciekowym, prócz wielu kości zwierząt gatunków zaginionych i niektórych ludzkich, węgle i popioły. W końcu zawiadamia o podobnych badaniach, podjętych pod jego kierunkiem przez p. F. Chwaliboga w sąsiedniej jaskini Bębtewskiej, objaśniając rzecz za pomocą okazów, wydobytych tamże wyrobów z kamienia, rogu jeleniego i kości.

Druga serya wykładów w Muzeum składała się z niepowiązanych z sobą tematów, lecz będących w ogóle na dobie. Każdy tworzył oddzielną całość i wygłoszony był przez specjalistę. Przeważnie były to odczyty a nie wykłady, to też inne muszą być w tym razie wymagania krytycznych sprawozdań. Odczyt już wskutek tego, że napisany uprzednio, nie wymaga natężenia myśli wygłaszającego, któ-

ry, czując się swobodniejszym i pewniejszym siebie, może baczną zwrócić uwagę na modulacją głosu, na giesta i w ogóle na zewnętrzną stronę przedmiotu.

Niestety, mało kto u nas umie czytać należycie, bo też, co prawda, nigdzie tej sztuki nie uczą, a jednak może ona odegrać na katedrze publicznej ważną rolę tak, że przy tej samej treści, raz słuchacze zostaną zachwyceni a drugi raz znudzeni aż do drzemki lub ziewania.

Z szeregu odczytów, jakieśmy obecnie słyszeli, zaledwie dwa wyróżniły się poprawniejszym wygłoszeniem; pozostałe były monotonne, zbyt ciche o niedomawianych wyrazach, słowem przechodziły bez należytego wrażenia.

O zadaniach meteorologii wygłosił dnia 12 marca p. Manswet Ciemniowski, założywszy sobie przedstawić nowsze kierunki tej nauki, środki, jakimi rozporządza, a wreszcie wyniki praktyczne, jakie już wydała lub jakich spodziewać się od niej możemy. Nowoczesna meteorologia jest, rzec można, konarem starszej nauki, klimatologią zwaną. Podczas gdy ta ostatnia odszukuje cyfry, wyrażające przeciętny stan zjawisk atmosferycznych w danej miejscowości, a ze znacznej liczby podobnych średnich wyprowadza wnioski, odnośne do całych krajów i części świata, druga zajmuje się badaniem zjawisk atmosferycznych, wpływających na stan pogody w danym miejscu i stara się o zdobycie możliwości przewidywania zmian na dobę lub więcej naprzód.

Ocean powietrzny, to nader ruchliwy żywioł; gazy składające go zmieniają lokalnie swą gęstość, a dążąc do równowagi, płyną w różnych kierunkach. Powodem zmian jest głównie słońce, które, przy różnym względnym położeniu do niego ziemi, z równą siłą ogrzewa jej atmosferę, lecz drugorzędne miejscowe okoliczności w tak znacznym stopniu wpływają na objawy przyczyny głównej, że dotąd nie udało się człowiekowi wszystkich zależności pochwycić i o mających nastąpić zmianach w atmosferze przepowiedzieć z taką np. dokładnością, z jaką oznacza się dziś zaćmienie księżyca lub słońca.

Wprawdzie od najdawniejszych czasów człowiek zwracał uwagę na meteoryczne zjawiska i starał się na drodze obserwacji dojść do pewnych wskazówek praktycznych przewidywania przyrody; nizki lot jaskółek, skrzeczenie żab, dokuczliwość owadów, pocenie się kamieni, zjawianie się pewnych kształtów obłoków i t. p. oddawna wykazywały pewną łączność między temi objawami a mającą nastąpić pogodą, ale są to wyrozumowane sposoby i często zawodzą, a w najlepszym razie pozwalają przewidywać na krótko. Aby stanąć na stałej podstawie, należy poznać dokładnie kierunki prądów atmosferycznych, warunki ich zmian, stopień nasycenia wilgocią i t. p.

Do takiego poznania jeszcze daleko, bo też i zajęto się niem dopiero od trzydziestu lat, a jednak już osiągnięto rezultaty praktyczne, dające się wyrazić cyfrą. Już dziś stało się faktem, że stacje meteorologiczne, rozrzucone po różnych punktach globu, a połączone z sobą te-

legrafami są w stanie dostarczyć wiadomości, za pomocą których można z prawdopodobieństwem 8 lub 9 na 10 razy przepowiedzieć stan pogody dla całych okolic. Od czasu, jak dowiedziono, że ruch cząstek powietrza nie odbywa się po liniach prostych, lecz skutkiem obrotu ziemi wytwarzają się prądy wirowe powietrza, słowem od czasu powstania teorii cyklonów i antycyklonów z tak zwanymi punktami depresji, od czasu, gdy wpadnięto na myśl kreślenia na mapach linii, łączących miejscowości o jednakowym ciśnieniu (izobary), meteorologia pozyskała trwałe podstawy i może z właściwą każdej nauce powagą wyrokować w swym zakresie. W bliższe objaśnienia cyklonów i izobarów wdawać nam się nie podobna; ciekawych odsyłamy do pism specjalnych, np. do artykułu dr. Jędrzejewicza, zamieszczonego w Nr. 3 „Wszechświata“ za rok 1885.

Myśl połączenia ze sobą stacyj meteorologicznych za pomocą telegrafów powziął astronom Leverier w 1854 r., obecnie całe sieć stacyj rozpostarte są w Europie i Stanach Zjednoczonych, które około miliona dolarów wydają rocznie na cele meteorologiczne, przekonane, że usługi, jakie wzamian otrzymuje marynarka, handel, rolnictwo i higiena społeczna, wynagradzają ten wydatek, a nakomity amerykański badacz, T. Maury, stanowczo twierdzi, że odkrycie praw, rządzących zjawiskami powietrznymi jest w mocy człowieka.

Główną stacją meteorologiczną dla środkowej Europy jest Hamburg, odbierający po dwa razy dziennie telegraficzne wiadomości z kilkuset stacyj europejskich a raz na dzień z amerykańskich. Na podstawie otrzymanych wiadomości układają się wiadomości pogody, na których kreślą się izobary, wskazuje strzałkami kierunek i siłę wiatrów oraz oznacza temperaturę. Podobne mapy pogody są wydawane w niektórych zagranicznych gazetach. Trzeba jednak umieć je odczytywać.

W zakończeniu p. Ciemniowski wspomniał o najnowszych usiłowaniach u nas na tém polu, usiłowaniach, które tylko przy poparciu inteligentnej publiczności mogą z czasem wydać pożądane owoce; my zaś dodamy, że w Szkocyi drogą prywatnych składek zebrano około 30,000 rs. na założenie jednej stacyi na szczycie Ben Newis, wznoszącym się 4,400 stóp po nad poziom morza, a zebrano tę sumę po obudzeniu wiary w doniosłe znaczenie téj stacyi, jako leżącej na drodze, którą w zimie przechodzą depresye barometryczne z Ameryki do Europy.

Przed nielicznie zebraną publicznością wypowiadał d. 16 marca doktor geologii, p. Józef Siemiradzki, o wulkanizmie i jego znaczeniu w przyrodzie.

Wulkanem nazywa się w ogóle kopiec, utworzony z lawy i z popiołów, opatrzonej lejkowatym zagłębieniem, zwaném kraterem i podziemnym kanałem, łączącym go z wnętrzem ziemi. Wysokość takiego kopca bywa bardzo różną, raz wznosi on się wprost z powierzchni ziemi a niekiedy ze szczytów wysokich gór. W zwykłych podgręcznikach

geograficznych tylko podobne góry wulkanami nazywają; określenie błędne i niewystarczające. Postać i wymiary danego wulkanu ulegają częściej zmianie a odnosi się to mianowicie do stożka i krateru: pierwszy—to się powiększa, to znów zapada, drugi to się rozszerza, to zacieśnia. Kształt krateru jest zwykle lejkowaty, rzadziej kotłowaty, niekiedy przedstawia się jako prosta szpara. Jeżeli średnica krateru niewielka w porównaniu z wysokością góry, to wulkan ma postać głowy cukru; takim jest np. Kotopaxi—w Kwito, Antuco—w Chili. Jeżeli zaś średnica krateru jest znaczną, wulkan ma postać uciętego stożka. Wulkany mniejsze przedstawiają się jako kopce żuzli, popiołów i piasku wulkanicznego, usypane około otworu, przez który wyrzucone zostały. Ten rodzaj wulkanów nazywają stożkami wybuchowymi. Wulkany większe rozpięły i podnosiły pokłady ziemi, zśród których wyłaniał się stożek; gdy zaś z kolei czasu wielokrotnie wylewała się z ich krateru lawa, wypadały kamienie i popiół, musiały one tworzyć warstwy na pierwotnych pokładach i pierwotnym stożku. Podobne wulkany nazywa Leopold Buch podniesionemi. Nadto wulkany większe miewają, prócz głównego, dodatkowe stożki wybuchowe na swoich stokach. Na Etnie liczą ich do 700, na Wezwiuszu około 20. Wysokość wulkanu, jak to już wspomiałem, ulega zmianie; tak np. Wezuwiusz w 1749 r. miał 3,120 stóp a w 1846 3,700 stóp. Najwyższym bezwzględnie jest wulkan Gualatieri w Boliwii 26,000 stóp a za najniższy (wyłączając wybuchowe stożki) uważają wulkan Kozima 692 stóp. Wielkość krateru jest niezależną od wielkości góry a podobnież się dzieje z głębokością. Duży wulkan Teneryfa bezwzględnej wysokości 11,400 st. posiada krater 600 stóp średnicy a 120 głębokości, blisko 10 razy mniejszy Vulcana (1224 st.) na wyspach Liparyjskich ma krater o 3,000 stóp średnicy a 600 głębokości.

Wulkany dzielimy na czynne i wygasłe, chociaż podział ten nie ma żadnej podstawy; Epomeo na wyspie Iskia milczał 17 wieków, gdy naraz w 1302 r. wybuchł gwałtownie; Wezywiusz w 1 roku po Chr. przedstawiał górę o płaskim rozległym szczycie, na którym obozował Partacus z 10,000 sprzymierzeńców, naraz w 79 roku po Chr. wybuchł straszliwie i zasypał siedem miast i miasteczek, znajdujących się u podnoża góry. Odtąd wybuchał potężnie w każdym stuleciu aż do XIV wieku, następnie zamikł przez trzy wieki, aż znów w 1631 r. dał objaw strasznej działalności, a odtąd powtarza swe działanie niemal corocznie, choć nie z wielką siłą. Wulkany czynne wyziewają w stanie spoczynku parę wodną, różne gazy ¹⁾, wyrzucają od czasu do czasu nieco żuzli i popiołu a niekiedy wylewają z krateru trochę roztopionej lawy. Słup ognia, jaki widać przy wybuchu, pochodzi, według Bucha, od palącego się wodoru, według innych geologów jest to tylko odbicie się jasnej czerwoności lawy wnętrza krateru w gazach i parze wodnej, unoszących się z tegoż krateru. Poważni badacze, jak Hum-

¹⁾ Jak: bezwodnik węglowy, siarkowy, siarkowodor, kwas solny, azot.

boldt, Davy, Elie de Beaumont, stanowczo twierdzą, że widzieli słupy ognia, pochodzącego od palącego się wodoru lub siarkowodoru. Dziwna rzecz, że prelegent wcale nie dotknął téj interesującej kwestyi.

W czasie wybuchu objawy poprzednio wynienione potęgują się, słychać huk i grzmot podziemny, wyrrywają się chmury popiołu i grad kamieni, wylewają się potoki lawy a słup z przegrzanej pary wodnej gazów i popiołu wznosi się bardzo wysoko. Pan Siemiradzki bywał świadkiem wybuchów, mógł więc dokładnie opisać potęgę wulkanizmu i grozę, jaką zjawisko to w ludziach budzić musi.

Wielkość wyrzucanych kamieni bywa nadzwyczaj rozmaita, najpospolitsze, zwane przez neapolitańczyków Capilli, wyrównują laskowemu orzechowi, lecz z drugiej strony bywają bomby po 1,000 centnarów ważące, wysokość zaś, do jakiej wyrzucane bywają, oceniają do 10,000 stóp. Ilość popiołu wulkanicznego dochodzi nieraz do przerażającej objętości. Obliczono z pewnem prawdopodobieństwem, że przy wielkim wybuchu wulkanu Temboro na Sumbawie w 1815 r. objętość wyrzuconego popiołu wynosiła 2½ mil sześciennych. Brak czasu nie dozwolił prelegentowi zaznaczyć tego objawu, który w wielu razach bardzo dotkliwie i na bardzo znacznej przestrzeni około wulkanu sprowadza straszne spustoszenia.

Przez nazwę lawy rozumiemy ogniste płynne masy, wylewające się z krateru, właściwie i owe kamienie są téj samej natury, co lawa. Wylewa się ona przez szczyby krateru a niekiedy poniżej tegoż, przez szczeliny. Niektóre wulkany wcale nie wydzielają lawy (większą część Jawańskich i Kwito). Lawa świeżo wylana przedstawia się w nocy niby ognisty strumień a w dzień niby lepka smoła; zazwyczaj wylewa się spokojnie, chociaż znane są jęj wytryski np. przy wybuchu Maunaloa w 1852 r. biła fontanna lawy na kilkaset stóp wysoka. Szybkość biegu strumienia lawy, zależną jest od spadku góry. Stygnąc od wierzchu, pokrywa się z razu żuzłami, potem jednociałą powłoką a z upływem lat krzepnie w całej masie. Temperatura lawy maleje bardzo powoli; Spalanzani w 11 miesięcy po wylewie zapalał kije, wtykając je w szpary zakrzepłego z wierzchu potoku lawy, a Hoffman w 43 lat po wybuchu Etny, obserwował parę, wydobywającą się ze szczeliny stęzałej lawy. Wielkie strumienie lawy bywają po kilkadziesiąt mil długie, po kilkaset stóp szerokie i do 100 st. grube. Dodajemy od siebie, że objętość jednego strumienia lawy która wypłynęła z Wezuwiusza w 1794 roku, obliczono na 457 milionów stóp sześciennych. Prelegent przystąpił z kolei do topografii wulkanów i na olbrzymich, specjalnie przygotowanych mapach, wskazywał obecnym ważniejsze z 300 dziś znanych. Tę część odczytu musimy jednak dla braku miejsca traktować bardzo pobieżnie. Nadmienimy tylko za prelegentem, że istnieje pewna prawidłowość w ich rozmieszczeniu na globie, a mianowicie ciągną się one w trzech kierunkach wzdłuż południków i w jednym równoleżnikowym, okalającym całą kulę ziemską. Kierunki te

nazywają geosynklinalnemi i przypuszczają, że są to właśnie kierunki, w których skorupa ziemska najsilniej się sfałdowała podczas stygnięcia, tak, że potworzyły się szpary, przez które ogniopłynne masy ziemskiego jądra najłatwiej wydostać się mogły. Jeden kierunek biegnie wzdłuż wybrzeży i wysp oceanu spokojnego i składa się z dwóch szeregów, łączących się blisko biegunów. Jeden szereg zaczyna się od wulkanu Tongarino na Nowej Zelandyi, a ciągnie się przez wyspy Fidzi, Salomona, Zundzkie, Japońskie, Kurylskie, Kamczatkę i Aleuckie, na których szereg ten łączy się z drugim szeregiem poczynającym się od wulkanów Alaszki, a ciągnącym wzdłuż wybrzeży zachodnich przez Kolumbię brytańską, Oregon, Kalifornią, Meksyk, Gwatemalę, Nikaragugę. Następnie łańcuch ten przechodzi do Ameryki południowej i w pasmie Andów przebiega przez Nową Grenadę, Equador, Peru, Baliwią, Chili i kończy kilkoma wulkanami Patagonii i wysp Szotlandzkich. Drugi kierunek, dążący u wybrzeży Atlantyku, poczyną się od wyspy Jan Mayen, a przebiega Islandyą, wyspy Azorskie, Kanaryjskie, Zielonego przylądka, wybrzeże Kamerun, wyspę Wniebowstąpienia, świętej Heleny, Tristan da Cunha, a wreszcie łączy się na wyspach Szotlandzkich z dwoma łańcuchami wulkanów Oceanu Spokojnego. Ocean Indyjski posiada również szereg wulkaniczny; wyspy Crozet, Amsterdam; ś-go Pawła, kilka wysepok przy Madagaskarze, wulkan czynny przy górze Kenia, blisko równika we wschodniej Afryce, kilku wulkanów na półwyspie Somali, wulkany Abissynii i Arabii, oto etapy trzeciego kierunku. Następnie podał treściwie naukowe poglądy, jakie mamy dziś o budowie skorupy ziemskiej i jej jądra, zaznaczył mianowicie, że jądro nie może być płynnem, ale raczej jest stałem, uadzwyczaj silnie ogrzanem a złożonem z materyi o znacznym ciężarze gatunkowym, a więc z metali i ich związków, które przy stygnięciu ognistopłynnej niegdyś kuli ziemskiej, musiały zebrać się w środku ziemi. W miarę zaś tego jak ziemia stygła, musiała się kurczyć a więc fałdować na powierzchni i to według pewnych kierunków właśnie owych linii symetrii geosynklinalnych. Prelegent przytoczył doświadczenia Lallmanda z dużym balonem kauczukowym, pokrytym lakierem i wypełnionym powietrzem. Gdy z balonu będziemy powolnie wypuszczać powietrze, utworzą się na nim trzy garby południkowe, odpowiadające trzem masom lądowym na ziemi: Ameryce, Europie z Afryką i Azji z Australią. Trzy zagłębienia przedzielające te garby przedstawiają tyleż oceanów: Spokojny, Atlantycki i Indyjski. Chociaż eksperyment Lallmanda wybornie się nadaje do nauki poglądowej, naszem zdaniem nie wytrzyma on krytyki i jest raczej przypadkową zgodnością, wynikającą jednak z innych powodów.

Pierwotnie utworzone garby bywały w części rozmywane wodą, a z drugiej strony narastały podczas dalszego fałdowania się skorupy ziemskiej; rozmyte skały osadzały się u wybrzeży, tworząc warstwy piasków, glin i wapieni. Skoro zaś powstała dość gruba skrzepła powłoka, musiała ona pękać przy dalszem kurczeniu się wnętrza ziemi; powstały szpary, spękania, przez które woda sąsiedniego oceanu dos-

tawała się do wnętrza, zamieniała się szybko na parę o coraz większym prężeniu, a wywierając olbrzymi nacisk na półpłynne wnętrze, wypychała jego część na zewnątrz przez owe szpary, tworząc wybuchowe stożki, podnosząc otaczające warstwy, słowem stwarzając wulkany. Te same przyczyny istnieją i za naszych czasów, te same okoliczności powodują powstawanie nowych wulkanów i wybuchy dawniejszych. W szczegóły wdawać się niepodobna, natomiast powtarzamy za prelegentem kilka końcowych ustępów o dzisiejszem znaczeniu wulkanów w przyrodzie. „Rola wulkanów jest poważnego znaczenia; bez nich niszczące działanie wód zniewelowałoby całą powłokę ziemi, nie mielibyśmy łądów, gór i dolin, cały glob byłby pokryty jednym płytkim oceanem. Nadto, ponieważ wietrzenie skał polega na łączeniu się składników skał z wodą, z tlenem powietrza, lub z dwutlenkiem węgla, ilość przeto tych ciał musiałaby się stopniowo zmniejszać, aż wreszcie doszłaby do takiego wyczerpania, że życie organiczne na globie ustałoby musiało. Wulkany powracają atmosferze uwiecznione nieprodukcyjnie w głębi ziemi masy wody, tlenu i węgla. Rola przeto wulkanów jest olbrzymia; ze względu na nią, ofiary w mieniu i życiu tysięcy ludzi, jakie poniesionemi były i będą przy wybuchach, jest drobnostką. To też nawet w tym strasznym czynniku zniewoleni jesteśmy podziwiać mądrość przyrody (Stwórcy! *Red.*) i porządek Wszechświata.“ Odczyt p. Siemiradzkiego illustrowany był mapami, obrazami przekrojów wulkanu zewnętrznego wyglądu, oraz magicznemi widokami, wulkanicznego wybuchu i szlifów lawy.

Górnictwo w dawniej Polsce. Następnym odczyt w obec szczupłej garstki słuchaczów, miał p. Korneli Kozłowski o przemyśle górniczym w dawniej Polsce. Literatura nasza ubogą jest bardzo w specjalne prace, zwłaszcza odnoszące się do dawniej ubiegłych wieków. W przedmiocie górnictwa posiadamy jedyne dzieło Hieronima Łabęckiego, wydane w r. 1841 p. t. „Górnictwo w Polsce,“ zawierające wiele cennych szczegółów, lecz niewyczerpujące, jak to w ogóle bywa z pierwszemi pracami, odnoszącemi się do historycznych badań. W obec braku prac podobnych, a także przy niedokładności istniejących, nie możemy posiadać historii kraju i narodu, w którejby znalazło odbicie wszystko to, co na jego losy wpłynąć musiało. Rzeczywiście historii takiej nieposiadamy i długo zapewne jeszcze czekać na nią przyjdzie. Tém bardziej przeto winniśmy szanować każdy trud samodzielnego badania, zmierzający do wyświeślenia prawdy i oceniać każdego krytycznego badacza. Takim badaczem przeszłości, odnośnie do dawnego przemysłu górniczego u nas, okazał się na odczycie 19 marca p. Korneli Kozłowski, a jeżeli nazwisko prelegenta nie miało atrakcyjnej siły, to przynajmniej prasa skwapliwiej treścią jego odczytu się zajęła i w kilku dziennikach bardzo starannie streszczenie zamieściła. Zazwyczaj dawny przemysł górniczy u nas, zwykliśmy sprowadzać do kopalń soli w Wieliczce i Bochni, oraz do wydobywania srebronośnego

ołowiu w Olkusz, tymczasem miejscowości te są, według prelegenta, jednymi z ostatnich etapów tego przemysłu u nas.

Jakoż dziejopisowie, jak Herder, zgadzają się, że słowianie wyprzedzili niemieckie ludy w sztuce wydobywania płodów kopalnianych, są bowiem wskazówki, że w Czechach i na dolnym Szlązku, już przed IX-ym wiekiem istniały kopalnie, gdy tymczasem odnośne wskazówki do kopalń na Harcu sięgają X-go wieku.

Pan Kozłowski stanowczo twierdzi, że już w epoce Piastów przemysł górniczy w Polsce musiał być znacznie rozwiniętym, skoro w dokumentach nadawczych dla biskupów krakowskich, dla krzyżaków, znajdujemy liczne o nim wzmianki. W kodeksie wielkopolskim z r. 1136 zaznaczono, że duchowieństwo czerpało dochody z rud dobywanych w okolicach Bytomia (Szlązk dolny), już przeto za Bolesława Krzywoustego kopalnie Bytomskie kwitnąć musiały. Z drugiej strony, różne przedmioty srebrne, znajduwane na cmentarzyskach i w kurhanach Piastowskiej epoki, wymownie świadczą, że znano wówczas wartość tego metalu, a chociaż przedmioty owe mogły się do Polski dostać z Grecji drogą handlową przez morze Czarne, lub z Fenicyi przez Bałtyk, tém niemniej wiele z nich mogło być z miejscowego srebra, które od bardzo dawnych czasów umiano odciągać z rudy ołowianej. — W rozległych pokładach wapienia muszlowego napotykamy i dziś w okolicach Kielc, koło Jaworzni, pod Olkuszem, Bolesławiem, Strzemierzycami minerał ciężki, błyszczący, metalicznego wejrzania. Górniczy od niepamiętnych czasów zowią go u nas kruszcem, mineralogowie—galeną lub siarkiem ołowiu. Cóż dziwnego, że ów minerał mógł od bardzo dawna zwrócić na siebie uwagę kopaczów, którzy po licznych próbach doszli do przekonania, że prócz miękkiego metalu, (ołów), którego własności może nie znali, zawiera małe ilości innego wysoce cennego, jakim było srebro. Tej srebronośnej rudzie ołowianej towarzyszą zwykle inne rudy, cynkowe, zwane blendą i galmanem, lecz zdaje się, że własności cynku i jego użytek znacznie później ocenionemi zostały, tak, że górniczy nasi nie zwracali na ten metal uwagi, a nadto bardzo być może, że nawet i z galeny nie wytapiali ołowiu, lecz poprzestawali tylko na odciąganiu z niej srebra. Jaką drogą dokonywali odciągania, pozostanie zapewne tajemnicą.

Najdawniejsze ślady przemysłu górniczego u nas napotkać można, według poszukiwań prelegenta, na przestrzeni między Żąbkowicami i Siewierzem. Liczne szyby górnicze, pozapadane w tych okolicach, a mianowicie w Sikorce, Wojkowicach Kościelnych, olbrzymie rumowiska, pozostawiane jako bezużyteczne dla owych Piastowskich czasów kopaczy, wreszcie żywa tradycja między ludem o duchach strzegących podziemnych skarbów, umocniła prelegenta w twierdzeniu, że przemysł kopalniany był niegdyś znacznie rozwiniętym, upadł zaś skutkiem niezaradności, najздów lub sporów, jakie niejednokrotnie toczyć musieli starzy posiadacze z nowymi przybyszami, a niekiedy skutkiem kary, jaką za przekroczenia ściągali na siebie. Wymowny przykład

w ostatnim rodzaju przytoczył p. Kozłowski na Bytomskich, jeśli nas pamięć nie zawodzi, mieszczanach.

Według badań prelegenta: Bytom, Siewierz, Olkusz, Sławków, Będzin i Czeladź dają dotykalne dowody, że były miejscami najdawniejszej eksploatacji, a dziś są „prastaremi pobojuwiskami pracy górników minionych wieków, pracy, z której obecnie pozostały okruchy.“

Za panowania Jagiellonów mamy już coraz pewniejsze dowody istnienia pieców kuźniczych i kopalń. Tak np. w r. 1364 założył rudnik Panek kuźnicę pod Krzepicami, gdzie dotąd, zdaje się, są zakłady Pankowskie. Za Zygmunta I-go, i Zygmunta Augusta istniało już 15 dymarek, a nadto za tego ostatniego założono szabelnię w Nowem Mieście Korczynie. Lecz prelegent, ograniczony jednogodzinnym odczytem, nie zapuszczał się w czasy Jagiellonów i późniejsze w ogóle, zdaje się, odczytał tylko pierwsze kartki rozleglejszej pracy, którą od dawna się zajmuje. Z całego odczytu wiał pewien żal nad zaniedbanym dziś górnictwem, dźwięczała wymówka o opuszczeniu przemysłowego pola, a wartoby raz zadać stanowczy kłam przysłowiowej niezadradności, jeśli chcemy, aby narodowe bogactwa—naród wzbogacaty, nie zaś stawały się łupem zabiegłych przybyszów z nad Odry i Elby, pozostawiających miejscowej ludności łupiny, a zabierających ziarno.

Serdeczno należy się wdzięczność prelegentowi za to przypomnienie, a to tém bardziej, że przedmiot przez niego gorąco traktowany nie jest jego specjalnością; zbliżony zajęciami do zakładów górniczych ukochał kopalnie i kopaczów, a obrazowo umie przedstawić ich dzieje i losy.

Na olbrzymiej mapie zachodniej części dawniej Polski, przygotowanej ad hoc do odczytu, wskazywał prelegent kierunki kruszczońskich pokładów oraz miejscowości, gdzie rudy się wydobywają, licznymi zaś okazami minerałów rudniczych, ozdobił brzeg katedry dla naocznego obeznania zebranych z typami tych naturalnych bogactw kraju.—Odczyt sam napisany poprawnie i obrazowo, wygłoszony nieco za cicho ze względu na obszar sali. Pracownikom, jak p. Kozłowski, należy się poparcie, jeśli go potrzebują, w każdym zaś razie—serdeczne uznanie ¹⁾.

B. P.

Cło od zboża. Ostatnie fakty z dziedziny stosunków handlu międzynarodowego świadczą o nadmiernym rozroście idei protekcyj państwowej. System ochronny w dzisiejszym położeniu ekonomicznym i społecznym ludów europejskich, ma bez wątpienia większą racją bytu od zasady wolnego handlu. Przy nierówności bowiem w warunkach istnienia i rozwoju ekonomicznego, przy otwarciu wyznawanej i prakty-

¹⁾ Dokończenie sprawozdania z prelekcyi w „Muzeum“ musimy dla braku miejsca odłożyć do zeszytu następującego, gdzie czytelnicy Bibl. znajdą w dziale „Kroniki miesięcznej“ wiadomość szczegółową o odczytach pp. Znatowicza, d-ra Odo Bujwida, Słómskiego i Sztolomana. Red.

kowanej maksymie egoistycznej: homo homini lupus, zastosowanie bezwzględnej swobody handlowej przerodziłoby się niebawem w bezwzględny wyzysk i panowanie silniejszego nad słabszym, przyczem w rezultacie ten ostatni mógłby na długo, jeżeli nie na zawsze, być pozbawionym możności rozwinięcia sił swoich i wykształcenia się w kierunku właściwego sobie uzdolnienia.

W obec tego państwo, celem zabezpieczenia rozwijającego się dopiero przemysłu od ucisku ze strony sąsiadów, szczęśliwiej położonych, bardziej ekonomicznie dojrzałych lub bogatszych, ma prawo wprowadzać pewne ograniczenia w stosunkach handlu zewnętrznego. Systemem tym jednak państwo kierować się powinno z jak największą oględnością, ażeby, usuwając z drogi trudności i współzawodnictwo, nie uspić energii społeczeństwa, a nadewszystko, ażeby, wytwarzając względnie dogodne warunki działania dla producenta, nie utrudnić konsumentowi nabywania środków, niezbędnych do życia. Nie możemy na tém miejscu wchodzić w szczegóły nauki o systemie ochronnym, ani zapuszczać się w rozbiór argumentów, przytaczanych przez zwolenników wolnego handlu—z jednej, i przez stronników polityki ochronnej rządów—z drugiej strony; dodamy wszakże, że busołą, jaką państwo kierować się powinno, przy ustanawianiu ceł ochronnych, jest przedewszystkiem dobrze pojęty interes konsumentów, a głównie tych, którzy nie posiadają ani kapitału, ani własności, którzy przeto w zajętej walce o byt najmniej przedstawiają siły odporu.

Takie są postulata nauki. Nie temi jednak torami postępuje obecnie praktyka ekonomiczna w Europie, a świeżym tego dowodem jest zadecydowane niedawno we Francyi znaczne podniesienie cła wchodowego od pszenicy, owsa i mąki. Na fakcie tym, jako przedstawiającym doniosłość wyjątkową, a przytém dotyczącym bezpośrednio nasze rolnictwo, pozwolimy sobie zatrzymać uwagę czytelników.

Starając się udowodnić potrzebę podniesienia cła od przedmiotów wyżej wymienionych, minister rolnictwa, p. Develle, w mowie, wypowiedzianej w Izbie, wykazywał wzmożenie się przywozu zboża do Francyi, zwłaszcza z Ameryki północnej, Indyj i Australii, gdzie rolnictwo znajduje się w warunkach pomyślniejszych aniżeli w państwach europejskich, oraz odmawiał słuszności utartemu w publiczności mniemaniu, jakoby podwyższenie cła od zboża było projektowane celem podniesienia dochodów większych właścicieli ziemskich. Przeciwnie—właśnie warstwy niższe ludności rolniczej i właściciele drobni—zdaniem ministra—zyskają najwięcej na utrudnieniu dowozu zboża z zagranicy. Inaczej wszakże przedstawia się położenie rzeczy w oświetleniu jednego z najznakomitszych reprezentantów nauki ekonomii we Francyi, Pawła Leroy-Beaulieu. W artykule, zamieszczonym przed niedawnym czasem w „Journal des débats,” który ze względu na dobitne i wyczerpujące traktowanie kwestyi, podajemy w streszczeniu, redaktor najpoczytniejszego z czasopism ekonomicznych w Europie „L'Economiste français,” przyznaje, iż rzeczywiście rolnictwo, a raczej

renta, jaką daje kapitał, włożony w przedsiębiorstwo rolne, znacznie ostatnimi czasy podupadły. Przyczyn tego jednak szukać należy w rozwoju ogólnym stosunków ekonomicznych w przeciągu ostatnich lat piętnastu. Kapitały w tym okresie czasu zwróciły się przeważnie do eksploatacyj odległych nie-europejskich okolic, a ulepszone środki komunikacji morskiej wpłynęły na zmniejszenie się kosztów przewozu w ogóle. Jest to wszakże jedna tylko strona położenia, daleko ważniejszą bowiem rolę odegrały zmiany w ustroju wewnętrznym stosunków ekonomicznych kraju. Przedewszystkiem w ostatnich czasach podniosła się znacznie norma wynagrodzenia za pracę. Oprócz tego dzierżawcy i fermierzy, którzy dawniej niżem prawie nie różnili się od włościan, podnieśli się obecnie o jeden szczebel wyżej na drabinie społecznej, i—co za tém idzie—wzrosły znacznie potrzeby ich i wymagania. Dochód brutto, osiągnany z przedsiębiorstwa rolnego, nie tylko nie uległ zmniejszeniu w przeciągu ostatnich lat piętnastu, lecz przeciwnie znacznie się podniósł, zmienił się zaś jedynie na niekorzyść właściciela, niepracującego osobiście na roli, podział dochodu pomiędzy warstwę, żyjącą z ziemi. Największa część dostaje się obecnie klasie robotniczej, mniejsza dzierżawcom i fermierom, uszczuplił się zaś zysk właściciela. Wreszcie ostatnią a przemijającą przyczyną upadku renty rolnej jest powszechny obecnie zastój w przemyśle, a ztąd zmniejszenie się chwilowe konsumpcyi.

Powyższy pobieżny rzut oka na przyczyny zmniejszenia się renty od kapitału, włożonego w interes rolny, przekonywa—zdaniem p. Leroy-Beaulieu — że projektowane przez rząd sposoby sztucznego jej podniesienia, a między innymi obłożenie wysoką opłatą celną zboża zagranicznego, stanu rzeczy nie zmienia. Dochód rzeczony nie podniesie się dopóty, dopóki właściciele nie przyjmą udziału czynniejszego w pracy około roli, a państwo nie ulży ciężarów, tłoczących własność ziemską w widokach skarbu i nie postara się o usunięcie powodów, dla których ludność rolnicza gromadnie przesiedla się do miast, zwiększając tym sposobem proletaryat miejski, podczas gdy na wsi daje się uczuwać brak rąk do pracy. A przytém — dodaje znakomity ekonomista — charakterystycznym i godnym zaznaczenia jest fakt, iż zaproponowano Izbie podwyższenie cła od zboża w téj właśnie chwili, gdy przywóz tegoż zboża spadł do niebywałych od lat dwunastu rozmiarów. Podług danych urzędowych za czas od roku 1878 do 1886, dowód zboża zagranicznego do Francyi osiągnął swego maximum w roku 1879, w którym wyrównywał przeszło 857 milionom franków; od tego czasu rozpoczyna się zmniejszanie, i to tak znaczne, że w roku 1885 zboże, przewiezione przez komory celne francuzkie, reprezentowało już tylko 132½, a w roku następnym zaledwie 117 milionów franków.

Wreszcie — kończy p. Leroy-Beaulieu — podniesienie cła od zboża do téj wysokości, w jakiej nie pobiera się ono w żadnym z państw europejskich, zada cios dotkliwy przemysłowi francuzkiemu, na rynku

bowiem wszechświatowym zwycięstwo niewątpliwie przypadnie w udziale temu ze współzawodniczących narodów, który środki niezbędne do wyżywienia ludności potrafi pozyskać za cenę najniższą.

Sztuczne podwyższenie ceny środków najniezbędniejszych do utrzymania życia, nie da się zatem usprawiedliwić ani ze stanowiska nauki, ani z punktu widzenia praktycznego. W skutek tego wywołało ono już w społeczeństwie francuzkiem silną reakcją, która wyraziła się w utworzeniu tak nazwanej „Ligi przeciwko obłożeniu cłem zboża i mięsa.” Liga stawia sobie za zadanie środkami prawnymi oddziaływać na zniesienie niedawno ogłoszonego postanowienia Izby.

Nasze rolnictwo boleśnie odczuje to nowe ograniczenie w międzynarodowym handlu zbożowym. Nie mając danych statystycznych, dotyczących wywozu zboża specjalnie z Królestwa polskiego do Francyi, nie jesteśmy w stanie wyrobić sobie dokładnego pojęcia o wpływie, jaki to nowe utrudnienie wyrze na nasze stosunki rolne. Niejaką wszakże wskazówką mogą tu być cyfry, przedstawiające przywóz do Francyi zboża z państwa rosyjskiego w ogólności. Zgodnie z wykazami urzędowemi władz celnych francuzkich, przybyło z Rosyi:

P u d ó w

	<i>w r. 1885</i>	<i>w r. 1886</i>
Pszenicy	11,327,669	10,374,135
Owsa .	6,539,218	3,533,467

Jakkolwiek przywóz dwóch wyżej wymienionych artykułów w r. 1886 nieco się zmniejszył, to jednak w porównaniu z ilością tych zbóż, dostarczaną Francyi przez inne kraje, przedstawiał się on jeszcze poważnie. Stosunek procentowy na przykład, przywozu pszenicy z krajów, najwięcej zboża tego produkujących, do ilości ogólnej tegoż artykułu, wprowadzonej w dwóch latach ostatnich do Francyi, przedstawia się w sposób następujący:

w r. 1885 *w r. 1886.*

Dowóz ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej stanowił w stosunku do przywozu ogólnego

pszenicy	29,2 %	35,3 %
Dowóz tegoż artykułu z Indyj wschodnich:	12,1 „	13,5 „
Z Algieru:	14,8 „	16,6 „
Z Rosyi wreszcie:	28,7 „	23,9 „

Wprowadzony zaś do Francyi owies pochodzenia rosyjskiego stanowił w roku 1885 — 50,4 %, a w roku 1886 — 40 % ilości ogólnej przywiezionego tu owsa.

Cyfry te, jakkolwiek same przez się wymowne, nabierają jeszcze dla rolnictwa naszego znaczenia tém groźniejszego, że — jak donoszą gazety zagraniczne — podniesienie cła wchodowego od zboża we Francyi jest wstępem do podwyżek podobnych w innych państwach Europy. Przedewszystkiem podwyższyć cło zamierzają Niemcy, a nawet słysząc, iż do środka tego uciec się ma Anglia, która dotychczas w poczu-

ciu siły i żywotności swego przemysłu, trzymała granice swoje otworem nie tylko dla materiałów surowych i środków do żywienia, lecz nawet dla wyrobów zagranicznych.

Posiedzenie wyborcze w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, oraz kwestya markowania wyrobów rzemieślniczych. W ślad za zgromadzeniem ogólnem członków Warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, z którego zdawaliśmy sprawę w kronice z miesiąca kwietnia (str. 148 i dalsze), poszły posiedzenia sekcyjne, na których oprócz załatwienia niektórych kwestyj bieżących, odczytano sprawozdania z czynności dotychczasowych, dyskutowano i zdecydowano niektóre zmiany w organizacji i działalności sekcji, a wreszcie dokonano wyborów do zarządów sekcyjnych na dalszy okres czasu. Pierwsza ze sprawami temi załatwiła się Sekcja V-ta. Na posiedzeniu tejże odbytym w d. 31 marca r. b., w którym uczestniczyło zaledwie czterdziestu kilku członków, dowiedzieliśmy się, że sekcja w ciągu swego istnienia, odbyła 15 posiedzeń zwyczajnych, na których przedstawiono wniosków 44; z tych roztrzygnięto 33, zwrócono 5, pozostaje zaś do rozpatrzenia 6. Przewodniczący w treściwem przemówieniu scharakteryzował dotychczasową działalność sekcji i zaznaczył potrzebę niektórych reform. Mianowicie: wnioski dotyczące strony technicznej komunikacji naszych lądowych i wodnych, oddane zostaną specjalnemu oddziałowi technicznemu, z kwestyj zaś, odnoszących się do statystyki, wszelkie prace szematyczne przejdą do nowotworzącego się przy Zarządzie Towarzystwa, biura statystycznego, na którym — powiedzmy nawiasem — wielkie budują nadzieje, zarówno specjaliści, badający naukowo stan ekonomiczny naszego kraju, jako też praktyczni na polu przemysłowem działacze. W rezultacie wyborów na przewodniczącego Sekcji powołany został i nadal dr. Stanisław Kronenberg, na którego wniosek obrano na rozpoczynającą się kadencją dwóch wiceprzewodniczących: p. Karola Deikego, dyrektora banku handlowego, który godność wiceprzewodniczącego piastował już poprzednio, i pana Karola Strasburgiera, dyrektora finansowego dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej. Sekretarzem zaś Sekcji został pan Stanisław Ostrowski.

W dniu 4 kwietnia r. b. odbyło się posiedzenie wyborcze Sekcji I, na które zebrało się w sali Towarzystwa, osób nie więj jak dwadzieścia kilka. W miejsce pana Stefana Kossutha, który w ostatnich czasach z powodu zajęć swych prywatnych, był przewodniczącym sekcji tylko de nomine, wybrano p. Augusta Kocha, wiceprzewodniczącym został pan W. Pfeiffer, sekretarzem zaś p. Feliks Rycerski. Na porządku dziennym zebrania była kwestya zniesienia premii ubezpieczeniowej, od zakładów garbarskich w Królestwie Polskiem. Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń, w odpowiedzi na memoryał wystosowany do niego w tym przedmiocie, zawiadomiło, że sprawa, o jakiej mowa, ostatecznie jeszcze zadecydowaną nie została, lecz że

nastąpi to zapewne w maju, podczas posiedzenia instytucji ubezpieczeniowych, mającego odbyć się w tym czasie; przytém jednak Towarzystwo rzeczono, zbijając wnioski i motywa memoriału, zwróciło uwagę na tę okoliczność, że premie ubezpieczeniowe w Królestwie są w ogóle o 15 do 20% niższe, aniżeli w Cesarstwie. Zredagowanie odpowiedzi na zarzuty Towarzystwa powierzono inicjatorowi kwestyi p. Pfeiffrowi, który w przemówieniu usłnłem wskazał raz jeszcze niewłaściwości i braki taryfy ubezpieczeniowej, pozostawiającej inspektorom zbyt szerokie pole do interpretacji przepisów.

W dniu 5-ym kwietnia, zebrali się na naradę członkowie sekcji IV-ój. Przedmiotem rozpraw było przedewszystkiém projektowane przez pana Bolesława Brodzkiego markowane wyrobów naszych rzemieślniczych, wywozonych do Cesarstwa. Pobudki i osnowa projektu w streszczeniu są następujące: wyroby nasze rzemieślnicze, do niedawna jeszcze cieszyły się zaufaniem i znajdowały popyt na targowiskach Cesarstwa. W ostatnich czasach wszakże pod wpływem obniżenia się u nas poziomu wykształcenia fachowego, a co ważniejsza w skutek braku sumiennosci w robocie, chętni poprzednio nabywcy z Cesarstwa, zaczęli tracić zaufanie do naszych wyrobów. Ażeby więc zaradzić złemu i przeciag towarowi lichemu możność szkodenia produkcji naszej w ogóle, a przez to podnieść znowu upadłą nieco renomę wyrobu naszego rzemieślniczego, wnioskodawca projektuje zaprowadzenie oględzin i oceny wyrobów, wysłać się mających do Cesarstwa. Oględziny te jednak nie byłyby obowiązkowemi. Poddawanoby im przedmioty jedynie na skutek zażądania osób interesowanych. Eksperci po zrewidowaniu wyrobu i uznaniu go za dobry, przykładałiby na nim umówiony stempel lub markę, które stanowiłyby zatém świadectwo doskonałości wyrobu. Stemple tego rodzaju byłyby znakiem porozumienia pomiędzy preducentem a nabywcą.

Wnioskodawca nie podał sposobu, w jaki odbywałoby się w moim będące stemplowanie, pozostawiając jego określenie dalszej szczegółowej nad tym przedmiotem dyskusji. Nie przesądając, co w tym względzie postanowi delegacja specjalna, której przekazano wniosek ten do rozpatrzenia, nadmienić wszakże musimy, że jakkolwiek myśl p. Brodzkiego, wydaje się nam szczęśliwą, to jednak przyjęcie się jój i powodzenie w praktyce życiowej, zawisło w wysokim stopniu od formy, w jaką przyobleczoną zostanie, oraz od sposobu jój wykonywania. Wykonanie to zaś przedstawia liczne trudności, z których zaznamy na tém miejscu jedną tylko, zdaniem naszym najwyraźniejszą, mianowicie: wypływającą z otwartej ciągle i ciągle téż jątrzącej się u nas kwestyi stosunku chrześcian i żydów, zajmujących się produkcją rzemieślniczą. Z jednej strony wątpliwą jest rzeczą, aby żydzi zechcieli poddawać ekspertyzie wyroby swoje, w skutek czego, postępując po dawnemu, to jest wyrabiając tandetę i wabiąc ludzi jedynie pozorem zewnętrznym i taniością towaru, psuć będą w dalszym ciągu reputacyą

produkcji naszej rzemieślniczej; z drugiej zaś strony, przy panujących uprzedzeniach szczerpowych i niechęci ze strony chrześcian ku wszystkim, co żydowskie, nastęrcza się w sposób zupełnie naturalny przypuszczenie, że eksperci chrześciance, nie zawsze będą bezstronnie sądzili wyrób starozakonnych. Jest to zatem circulus vitiosus, który podkopać może funkcyonowanie prawidłowe ekspertyzy na miejscu produkcyi, a wprost zniweczyć, znaczenie projektowanego markowania, w oczach dalekiego nabywcy.

Projekt p. Brodzkiego znalazł w gronie obradującym oponentów poważnych, w osobach pp. Juszczyka i Kirszrota-Prawnickiego. Pierwszy wskazywał na istniejące w publiczności zarówno Królestwa jak i Cesarstwa uprzedzenie do wyrobu krajowego, niczém jednak w wielu razach nie ustępującego zagranicznemu. Kupiec nie czując w sobie wokacyi do apostołowania na korzyść zdrowych poglądów ekonomicznych, lecz zastosowując się w widokach zysku osobistego do słabostek obsługiwanój przez siebie publiczności, niejednokrotnie żąda od rzemieślnika, ażeby na wykończonym w kraju wyrobie kładł napisy i marki niby zagraniczne jako to: Paris — London, wyobrażenie dwóch lwów i t. p. W obec tego projektowane przez p. Brodzkiego stemplowanie, jako świadczące o krajowém pochodzeniu wyrobu i tэм samém stające w poprzek widokom kupieckim, — zdaniem oponenta — nie zyska uznania. Pomijając stronę etyczną tego rodzaju manipulacyi, sądzimy, że jakkolwiek uwaga przez oponenta rzucona, ma bezwątpienia znaczenie praktyczne, to jednak w gruncie rzeczy, projektu ona nie obala. Przedewszystkiém, uprzedzenia względem wyrobu krajowego po ostatnich Wystawach znacznie osłabły; markowanie zaś wyrobów rzemieślniczych krajowych, może w tym właśnie kierunku posunąć sprawę o krok dalej. Nabywca bowiem, przekonawszy się raz i drugi o dobroci wyrobu, co do którego z uwagi na stempel, nie może wątpić, iż jest krajowym, powoli odstąpi od błędnego zapatrywania się swego na produkcją krajową; z biegiem zaś czasu, gdy nowy pogląd na rzeczy zyska zwolenników, można mieć nadzieję, że dawne pod tym względem uprzedzenia znikną zupełnie.

Pan Kirszrot-Prawnicki ze swój strony twierdził, iż markowanie zatamuje zbyt wyrobów tanich. Zdaniem oponenta nie potrzeba aby wyroby wysyłane do Cesarstwa, były majstersztykami, przy zbycie bowiem towarów w partyach większych, wystarcza i mniej doskonałe wykończenie, natomiast w tranzakcyach tego rodzaju, najważniejszą rolę odgrywa tanióść. Uznając w zupełności znaczenie pierwszorzędne tego ostatniego czynnika, sądzimy wszakże, iż jakkolwiek nabywca, może nie żądać majstersztyku, to jednak moralnym obowiązkiem i prostym interesem producenta, jest ofiarować wyrób możliwie dobry. Ponieważ zaś poczucie tego obowiązku u pewnej części wytworców nie istnieje, a względ na interes swój i swego fachu nie jest mocen powstrzymać niesumieunych ani od fuszerki, ani od nadużywania dobrej wiary nabywców, ponieważ wreszcie ten stan rzeczy podkopyje renomę produkcyi naszej rzemieślniczej w ogóle, zatem ustano-

wienie pewnej kontroli nad wyrobem leży w interesie zarówno zdrowej części przemysłu naszego rzemieślniczego, jak i dalekiego nabywcy. Ten ostatni — rzecz naturalna — nie przestanie na opinii ekspertów, lecz sam zechce się przekonać o dobroci towaru; stempel wszakże będzie dla niego wskazówką, iż nie potrzebuje obawiać się wad ukrytych i nadużyć ze strony wytwórcy.

W dalszym ciągu posiedzenia, przewodniczący odczytał sprawozdanie z dotychczasowej działalności Sekcji IV-ój, z którego dowiedzieliśmy się, że posiedzeń sekcyjnych odbyło się 12-cie, delegacje zaś wybrane z łona Sekcji, zbierały się na narady przeszło 100 razy. Wreszcie przystąpiono do wyborów. Zebrani przez akklamacyą zaprosili zarząd poprzedni, złożony z przewodniczącego p. Przysiańskiego, wice-przewodniczącego p. Makowieckiego i sekretarza p. Brodzkiego, ażeby nadal zechcieli sprawować te same czynności.

Na posiedzeniu znajdowało się około 30 osób, co tém jest dziwniejsze, że po żywej opozycji, jaką wywołał na zgromadzeniu ogólném projekt Ustawy rzemieślniczej, oraz w obec nastąpić mającego ponownego opracowania zasad tejże Ustawy, spodziewać się było można liczniejszego zebrania się członków. Czyżby społeczeństwo nasze potrafiło się ocknąć z przygniatającej je apatii wtedy tylko, gdy idzie o to, aby burzyć i niepozwałać?

Uwagę szerokich kół publiczności zajęły obecnie projekty ministerjum skarbu, dotyczące zaprowadzenia monopolu tabacznego i podwyższenia opłaty za paszporty na wyjazd za granicę. Podawane przez prasę pogłoski, jakoby monopol miał być wkrótce wprowadzonym w życie, zatrwożyły w wysokim stopniu producentów. Ponieważ w skutek tego plantatorzy tytoniu wstrzymywali się z zasiewami, fabrykanci zaś, w wyczekiwaniu dalszego przebiegu kwestyi, zawiesili chwilowo zakup materiału surowego, oraz zaprzestali wydawać zaliczki zwykłe pod plantacye, zatém ministerjum skarbu uznało za właściwe podać w drodze komunikatu urzędowego do wiadomości publicznej: że wiecej o rytmie wprowadzeniu monopolu są przedwczesne, — że, jakkolwiek rząd zastanawia się obecnie nad sposobami podniesienia dochodów państwowych, a między innymi i podatku od tytoniu, to jednak kwestya zaprowadzenia monopolu w zasadzie nawet nie jest jeszcze rozstrzygniętą, — że wreszcie w każdym razie w roku bieżącym i w następnym podatek rzezonny pobieranym będzie tak, jak to miało miejsce dotychczas, to jest przez wykupywanie banderol.

Zapewnienie to jednak producentów nie uspokoiło. Komisya, powołana z łona Towarzystwa popierania przemysłu i handlu i obradująca nad sprawą monopolu, przy współudziale producentów, prowadziła prace swoje bez przerwy i wreszcie postawiła wniosek, w którym wyraziła się przeciwko monopolowi. Zdaniem komisyi, ten ostatni w państwie Rosyjskiem jest niemożliwy, przedewszystkiem zaś nie przyniósłby skarbowi korzyści spodziewanych, a w początkach naraził-

by go nawet na kolosalne wydatki. Biorąc bowiem produkcją w swoje ręce, skarb musiałby zacząć od wywłaszczenia fabrykantów; wykupienie zaś 250 fabryk tabaczych, jakie istnieją obecnie w granicach państwa, pochłonięłoby odrazu kapitał ogromny. Komisya, wchodząc w myśl ministerjum, co do potrzeby podniesienia dochodów skarbowych i jednocześnie, pragnąc osiągnąć też podniesienie kosztem możliwie najmniejszych strat dla przemysłu, zaleca wprowadzenie taryfy podatkowej, proponowanej przez samych plantatorów, fabrykantów i kupców. Taryfa ta podnosi w wysokim stopniu taryfę banderolową oraz zwiększa w dwójnasób opłatę za patent na prawo sprzedaży tytoniu i wyrobów. Największe podwyższenie akcyzy padałoby na gatunek tytoniu najniższy, mianowicie na machorkę, której konsumpcya w roku 1885 wynosiła na całe państwo przeszło 2½ milionów pudów; jeżeli tedy konsumpcya nie ulegnie zmianie, to akcyza od samej machorki, liczona według projektu po 14 kop. od funta w miejsce pobieranych dziś kop. 4, dałaby skarbowi do 14,443,000 rubli rocznie. W ogóle dochód państwowy, wynoszący obecnie w pozycyi podatku od tytoniu około 20 milionów rubli rocznie, urosłby przy zastosowaniu projektowanej taryfy podatkowej do 30,091,800 rubli. Ponieważ zaś tak olbrzymie podniesienie podatku musiałoby pociągnąć za sobą odpowiednie podwyższenie ceny tytoniu w sprzedaży; zatem, słusznie się obawiając upadku konsumpcyi, komisya zaleca stopniowe podwyższanie akcyzy, która doszłaby do projektowanej wysokości maksymalnej dopiero po upływie lat kilku, gdy ludność przywyknie do wzrastających zwolna cen tytoniu.

Nie dotykając szczegółów projektu ministeryalnego co do monopolu, który zresztą znany jest dotychczas jedynie z wiadomości dziennikarskich, zaznaczmy tylko, iż monopol rzeczony, jeżeli istotnie zaprowadzony zostanie, będzie miał do zwalczenia trudności wyjątkowe, jakich nie znajdzie w żadnym innym z państw europejskich. Pierwsza z nich wypływa z obszaru terytorjum państwa i z nierównego rozrzucaenia na nióm plantacyj tytoniu. Pod rośliną tą znajduje się w państwie Rosyjskiem około 50 tysięcy dziesięcin ziemi, uprawianej przez 144,000 plantatorów. Jeżeli dodamy do tego, że uprawa tytoniu prowadzoną jest w wielu miejscowościach przez włościan, na małych stunkowo działkach, oraz że działki te zarówno jak i większe obszary plantacyjne rozrzucone są na przestrzeni 40 guberni, to łatwo dojdziemy do wniosku, że nadzór nad plantacją, wyrobem i sprzedażą tytoniu wymagać będzie sił istotnie olbrzymich, ogromnego sztabu kontrolerów, inspektorów i innych urzędników, których wynagradzanie pochłonie rkwnieź kolosalne sumy.

Co się tyczy najbliżej nas obchodzących stosunków w Królestwie Polskiem, to zaprowadzenie monopolu tabacznego dałoby się tu uczuć zarówno w sferze konsumpcyi, jak i w kierunku fabrykacyi. Gałąź ta przemysłu jest u nas dość silnie rozwiniętą, zwłaszcza w Warszawie. Na zasadzie danych statycznych, zebranych i opracowanych przez p. Jana Banzera w świeżo wydanej broszurze pod tytułem: „Obraz przemysłu w kraju naszym,” fabryk tabaczych znajdowało się w Warsza-

wie, w roku 1884 dziesięć; zajmowały one 2191 robotników, produkcja ich zaś wynosiła rocznie rs. 3,061,820. W przemyśle miasta Warszawy zakłady rzeczzone zajmują miejsce trzecie, zaraz po fabrykach maszyn i wyrobów metalowych, których jest najwięcej, oraz po garbarniach; pod względem zaś ilości robotników, to fabryki tabaczne prześcigają nawet garbarnie. Przemysł ten wszakże w kraju naszym prawdopodobnie w skutek uprzedzenia publiczności do wyrobów tabaczknych miejscowych, a znacznego natomiast popytu na wyroby zagraniczne oraz pochodzące z fabryk położonych w Cesarstwie, a które mają w Warszawie liczne składy i agentury, nie tylko się nie rozwija, lecz przeciwnie w ostatnich czasach upada. Świadczy o tém stan jego w roku 1880, w którym Warszawa posiadała fabryk tabaczknych trzynaście o 3446 robotnikach, z sumą ogólną produkcji rs. 4,274,388,— oraz fakt iż przed niedawnym czasem kilka znaczniejszych tego rodzaju fabryk zostało zwiniętych, podczas gdy nową założono jedną tylko fabrykę tytoniu najpośledniejszego gatunku w Hrubieszowie.

Drugim projektem ministeryalnym, około którego skupia się uwaga ogółu, jest podwyższenie, rzeczywiście olbrzymie, opłaty za paszporty na wyjazd za granicę, przy jednoczesném ograniczeniu do minimum liczby przypadków, w których czy to z racyi zajęcia, czy też pewnego interesu, można było korzystać z pewnych ulg lub nawet otrzymywać pasport bezpłatnie. Dość powiedzieć, że naprzykład osoby delegowane przez rząd za granicę, mają wprawdzie być wolne od opłaty za przejazd granicy, lecz służba, jakaby z niemi odbywała podróż, z przywileju tego korzystać już nie będzie, lecz będzie musiała być zaopatrzoną w paszporty opłacane podług normy ogólnej.

Podniesienie opłaty paszportowej dotknie nas może więcej aniżeli inne okolice państwa rosyjskiego, raz z powodu położenia geograficznego Królestwa, a powtórę w skutek stosunków rodzinnych i majątkowych, jakie wiążą nas z Galicyą i Wielkiem księstwem poznańskim. Królestwo polskie, leżąc na kresach obszernego państwa i będąc w skutek tego niejako naturalnym pośrednikiem handlowym pomiędzy Rosyą a Europą zachodnią, musi z samój natury mieć częstsze i bardziej bezpośrednie stosunki z zagranicą, aniżeli ziemie w głębi Cesarstwa położone. Utrudnienie w wyjeździe za granicę utrudni też porozumiewanie się między firmami kupieckimi tutejszemi a zagranicznymi; w rezultacie jednak kupcy, ze względu na interes, nie przezwą stosunków z zagranicą, nie zaprzestaną tam jeździć, tylko że koszta, jakie to za sobą pociągnie, zapłaci w formie podniesionej ceny towaru konsument, nie wychylający się za obręb kraju rodzinnego. Podwyższenie opłaty paszportowej może mieć jednak tę dobrą stronę, że odcyzy od niepotrzebnych wyjazdów i modnego włóczenia się po obcych krajach, oraz że wpłynąć może na rozwinięcie się zakładów kuracyjnych miejscowych, jeżeli tylko zakłady te zechcą przejąć się zasadą, iż za drogie pieniądze należy się publiczności możliwa wygoda.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

W Rzymie wyszło z druku ważne nader dla bibliografii dzieło pod tyt. „Bibliotheca apostolica Vaticana jussu Leonis XIII-i P. M. descripta.“

W Krakowie ukazał się długo oczekiwany 1-szy tom wydawnictwa „Dzieł Jana Długosza,“ staraniem i nakładem synów ś. p. Aleksandra Przedzieckiego, zawierający „Pisma pomniejsze“ znakomitego naszego historyka, wraz z jego „Życiorysem,“ opracowanym przez Ign. Żeg. Pauli i ks. Ign. Polkowskiego. Po ukończeniu drukujących się jeszcze „Indeksów“ wydawnictwo to pomnikowe szczęśliwie niebawem ukończonem będzie.

W poszycie kwietniowym czasopisma francuzkiego, wychodzącego w Paryżu, pod redakcyą Monod'a pod tyt. „Revue historique,“ ogłosił prof. Adolf Pawiński, wyrozumowane sprawozdanie o najnowszym ruchu wydawnictw naukowych na polu badań historycznych w Polsce.

W Paryżu wyszło dzieło pod tyt. „Bathory et Possevino. Documents inédits sur les rapports du Saint-Siège avec les Slaves. Publiés et annotés par Pierling.“ Paris, 1887, str. 257.

Pomiędzy najuowszemi publikacyami naukowemi zwraca szczególną na siebie uwagę dzieło pod tyt. „Sprawy wojenne Stefana Batorego. Dyaryusze, relacye, listy i akta z lat 1576—1586,“ zebrał i wydał ks. Ignacy Polkowski. Wydawnictwa komisji historycznej Akademii umiejętności w Krakowie. Nr. 36. Kraków, 1887, 8^o, str. XXXI i 431. Akademia poleciła ks. Polkowskiemu zebrać dokumenta do panowania Stefana Batorego, pisane po polsku, dotąd nigdzie nie drukowane. Ks. P. zebrał takich dokumentów 164. Znajdujemy tu najprzód listy wielu panów litewskich, świadczących o trudnościach, w jakich się znajdował Batory w samym początku panowania swego. Potém idą dokumenta, objaśniające wojnę gdańską (do str.

88). Potem następują, oprócz dokumentów objaśniających wyprawy wojenne Batorego, dyaryusz seymu z r. 1581 i dyaryusz oblężenia Wielkich Łuk. Znajdujemy tu dalej ciekawy niezmiernie szereg listów ks. Jana Piotrowskiego, sekretarza królewskiego, pisanych do marszałka wielkiego kor. Jędrzeja Opalińskiego, w których ten nieznaný dotychczas a znakomity historyograf Batorego, będąc urzędnikiem kancelaryi królewskiej, opisuje jako naoczny świadek wszystkie ważniejsze wypadki czy to w stolicy, czy w podróży, czy w obozie, czy na sejmie w poufnych listach z jak największą szczerością i dokładnością. Ks. Polkowski dostarczył tedy badaczom dziejów pokaźny szereg pierwszorzędnego materiału źródłowego do historii panowania Stefana Batorego.

Zapowiadanego miesięcznika geograficzno-etnograficznego „Wiśła“ wyszedł zeszyt I-szy, podpisany przez A. Gruszeckiego, jako redaktora i wydawcę (Warsz. 1887, str. 40), i zawiera artykuły następujące: 1) „O sposobie gromadzenia materiałów etnograficznych,“ napisał R. Zawiliński (przedmiot ten znają już czytelnicy Bibl. Warsz., wzmiankowany w głównej jego osnowie w jędnj z Kronik miesięcznych r. 1886-go); 2) „Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsielenia ludności polskiej,“ opracował Edward Czyński (początek); 3) „Czary i czarownice w Polsce,“ J. Karłowicza; 4) „Dramat gminny polski“ (kołęda), napisał Karol Mátyás; 5) „Wśród ludu krakowskiego,“ Stefani Ulanowskiej. W przeglądzie literackim omawia J. Bystron następujące książki: a) Fr. Bartoš, „Dialektologie morawska. Pr. dil. Nařači slovenské, dolské valašské a lašské.“ Berno, 1886, str. 374; b) Ludwig Odstrčil: „Magyaren und Böhmen. Betrachtungen ueber Oesterreich-Ungarn.“ Prag, 1886, str. 56; c) Bruno Hauschalter: „Die Grenze zwischen dem hochdeutschen u. niederdeutschen Sprachgebiete östlich der Elbe. Rudolstadt, 1886, str. 50. Osnowa treści co tylko wskazanej odpowiada zadaniu pisma etnograficznego, pomija atoli pierwiastek geograficzny, tak, że o wartości naukowej tego sympatycznego wydawnictwa dopiéro po wyjściu kilku zeszytów coś wyraźniejszego powiedzieć będzie można.

Przeglądając ostatnie kilka numerów naszych poważnych ilustracyi literackich, jakimi są: „Tygodnik Illustrowany,“ „Kłosa“ i „Biesiada,“ nie podobna się oprzeć zdziwieniu, że zaraz w ciągu pierwszego tygodnia po śmierci ś. p. J. I. Kraszewskiego, zdołano z pola działalności zmarłego zebrać tyle materiału nietylko literackiego, ale i artystycznego i pamiątkowego, który niemal z błyskawiczną szybkością zillustrowano i to w ogóle w artystycznych, dobrze wykonanych odbiciach. Całe numery poświęcono pamięci zmarłego tytana pracy — i jeszcze nie wyczerpano całego materiału. Że w końcu okazywały się szkodliwe skutki tego wyścigu niemal konkursowego, to już nie wina chęci ludzkich, ale machin, odbijających

illustracye. Pożądaną skarbnicą szczegółów była w tych razach „Księga jubileuszowa,“ z której korzystano z jak największą, chociaż tajoną, swobodą. K. Estreicher, bibliotekarz bibl. Jagiellońskiej, wydał w Krakowie dokładny przegląd bibliograficzny dzieł Kraszewskiego (Sześćdziesiąt lat pracy J. I. Kraszewskiego. Kraków, 1887), a w artykule pod tyt. „Feniks polski,“ drukowanym w 2-ch numerach „Gazety Lwowskiej“ w początku kwietnia, zestawiał licznie wydrukowane dzieła zmarłego. Ostateczna suma dosięga 600 numerów. Tygodnik „Życie,“ korzystając z tych publikacji, nie mniej i z własnych notat, podał w numerze 17-ym z dn. 23 kwietnia r. b. chronologiczne zestawienia działalności naukowej i literackiej Kraszewskiego. Zwracamy uwagę sz. redakcyi dla udokładnienia tój wiadomości bibliograficznej, że pod r. 1880-ym pominięto artykuł J. I. Kraszewskiego pod tyt. „Zjazd historyczny imienia Długosza w Krakowie w dniach 18—21 maja 1880“ drukowany w Bibliotece Warszawskiej z r. 1880 w zesz. za sierpień (str. 299—310) i za grudeń (str. 438—466). Spuścizna rękopiśmienna literacka i naukowa po Kraszewskim, znaleziona w pakach w San Remo jest olbrzymia i odnosi się przeważnie do dziejów, historyi literatury i sztuki. Znajduje się jednak między nimi kilka powieści ukończonych i utworów dramatycznych. Zwój rękopiśmienny jest około 20. Osobną grupę stanowią materyały i zapiski do „Historji oświaty w Polsce,“ której „Wstęp,“ objętości wielkiego tomu, znany z druku, reszta w materyale uporządkowana. Ukończona zupełnie „Historja teatru w Polsce,“ oraz zbiory listów Brühla i innych. Ukończone są również powieści „Wysokie progi“ (tytuł przekreślony, data 1883), druga bez tytułu (1884), trzecia bez początku i końca, czwarta „Nera“ (1885), piąta „Przygoda Stacha.“ Obok tego gotowe dzieło po francuzku „Lettres sur l'Allemagne.“

Towarzystwo lekarskie w Łodzi, jak donosi „Dziennik łódzki,“ otrzymało w darze od Towarzystwa lekarzy lubelskich wartościowy księgozbiór dzieł treści lekarskiej, przeważnie z początku bieżącego i przeszłego stulecia. Niektóre zaś dzieła pochodzące z XVI, a nawet XV wieku, stanowią prawdziwie białe kruki w literaturze lekarskiej. Księgozbiór składający się z kilkuset tomów będzie stanowił zawiązek biblioteki Towarzystwa lekarskiego, która dzięki ofiarności pojedynczych członków, szybko się pomnaża.

Nakładem gminy miasta Krakowa, wyszła książka pod tyt.: „Statystyka miasta Krakowa, zestawiona przez biuro statystyczne miejskie pod kierunkiem i redakcją prof. uniwers. krak. Józefa dr. Kleczyńskiego. Zesz. I, 1887, str. VI i 122. W książce tój, po wzmiance o składzie komisji miejskiej statystycznej, organizacji biura statystycznego i pracach, wykonanych w biurze w pierwszych 3 latach, znajdujemy na 50 tablicach szereg danych statystycznych, odnoszących się do następujących kierunków wiadomości praktycznych:

Przestrzeń, zajęta przez posiadłości miejskie: ulice, domy, ludność, rodziny i partye czyli jednostki gospodarze mieszkańców, ludność w stosunku do domów i powierzchni, obwody i parafie, ludność według swego urzędowego miejsca zamieszkania ¹⁾, ludność pod względem płci, ludność pod względem wieku, ludność pod względem stanu cywilnego, wyznań, stopnia wykształcenia (Tab. XXXVI i XXXVII, str. 87—89). Na ogólną cyfrę ludności cywilnej, 59,830 wypada: umiejających czytać i pisać: katolików (39,159) tylko 23,168 t. j. 59,16^o/_o; grecko-katol. (252) 161 czyli 63,89^o/_o; grecko-wschodn. (11) 10 czyli 90,91^o/_o; żydów (19,947) 9,727 t. j. 48,76^o/_o; umiejają tylko czytać z katolików 3,266 czyli 8,34^o/_o; z grecko-katol. 11 t. j. 4,36^o/_o; z żydów 690 t. j. 3,46^o/_o; nie umiejają ani czytać ani pisać: katolików 12,388 t. j. 31,96^o/_o; grecko-katol. 30,16^o/_o; grecko-wschodn. 1 t. j. 9,09^o/_o; żydów 9,502 czyli 47,64^o/_o. (Tablica XXXVIII i XXXIX str. 91 i 92) przedstawia ludność podług narodowości (z wojskiem) polaków 49,324 (74,82^o/_o), rusinów 87 (0,13^o/_o); niemców 8,683 (13,13^o/_o), czechów 1,027 (1,56^o/_o). Wreszcie następują tablice wykazujące stosunek ludności Krakowa podług zajęć oraz liczbę ułomnych (289).

Nikodem Krakowski, autor premiowanego na Konkursie dzieła p. t. „Teoretyczny i praktyczny wykład korespondencyi handlowej“ wydał w 2-ch osobnych zeszytach nową pracę swoją p. t. „Wykład popularny zasad podwójnego księgowania w zastosowaniu do potrzeb handlu, przemysłu oraz rzemioł i rolnictwa.“ Warsz. własność i druk S. Lewentala, 1887. Część I-sza (str. 126—oraz tablice szematyczne) wykłada teorię buchalteryi podwójnej; część II-ga (str. 130) przedstawia wzory zastosowania rachunkowości podwójnej do potrzeb interesu towarowego; trzy dalsze mają obejmować zastosowanie téjże rachunkowości do rzemioł, fabryki gospodarstwa rolnego.

Władysław Smoleński, bystry badacz przeszłości naszej, goniący pod hasłem wybitnych przekonań sumiennie za światłem prawdy na polu wszystkich kierunków historyografii naszej, wydał w osobnej odbitce rozprawę swoją, drukowaną w Ateneum, pod tyt. „Szkoły historyczne w Polsce; główne kierunki poglądów na przeszłość.“ Warsz. 1887. Nakł. Gebethnera. str. 86. Z samego tytułu widzimy, że sz. autor, gardzący przesadą i afektacją, którą się zastawiać zwykła blaga pseudo uczonych, nie uważał nazwy „Szkoły historyczne ²⁾ za odpowiadającą swemu przekonaniu i poważnemu rozbiorewi przedmiotu; dla tego dodał jakby dla objaśnienia, że studyum

¹⁾ Zapewne w ten sposób trzeba nazwać tablicę XVII do XX (str. 47—53), które redakcyja oznaczyła jako „Ludność według prawa przynależności.“

²⁾ W powszednim u nas samochwalstwie liczymy zwykle tyle szkół historycznych, ilu literatów ogłasza prace z historii polskiej.

jego zastanawia się nad głównymi kierunkami poglądów historyografii naszej na przeszłość. Dla każdego rozpoczynającego studia na niwie dziejów naszych może praca p. Smoleńskiego być drogowskazem bardzo pożądanym, chociaż nadmienić musimy, że sz. autor na polu niektórych kwestyi ulegał jeszcze zanadto wpływowi dawnych poglądów nie opierających się na badaniach samodzielnych; ale powtarzających opinie tendencyjne uczonych protestanckich (wpływ reformacji, znaczenie szkół jezuickich). W każdym razie uważamy pracę p. Smolińskiego za pożądaną nabytek dla propedeutyki historycznej, napisany dobrym stylem z wykładem jasnym i logicznym. Mamy nadzieję, że sz. autor wyda również w osobnej odbitce studium swoje: Stanowisko Waleryana Kalinki w historiografii polskiej" (drukowane w „Gazecie Polskiej" w początku lutego r. b.), gdyż jest to najdokładniejsze i najsprawiedliwsze zdanie o ks. Wal. Kalince, jako historyku.

„Kwartalnika historycznego," organu Towarzystwa historycznego pod redakcją Ksawerego Liskego wyszedł Zeszyt 2-i, obejmujący przeszło 15 arkuszy druku. Osnowę tego zeszytu stanowi następująca treść nader ciekawa i wszechstronnie pouczająca: 1) Malarstwo cerkiewne na Rusi. Rozprawa nieznanego, ale z przedmiotem gruntownie obeznanego autora, podpisanego: „Sigma." — 2) Recenzje i sprawozdania z książek i rozpraw historycznych. (Spis książek omówionych znajdujemy na ostatniej karcie tytułowej zeszytu w porządku bieżącym. Czyby sz. Redakcja nie raczyła dla większego jeszcze pożytku praktycznego ułożyć tego spisu w przyszłości w porządku alfabetycznym autorów prac omawianych? 3) Spis obszerniejszych recenzji w innych czasopismach drukowanych. 4) Bibliografia dzieł zagranicznych. 5) Sprawozdania z posiedzeń Tow. historycznego. 6 i 7) Ogłoszenia od redakcyi, spowodowane uwagami w zeszycie I-m wydrukowanymi oraz desideratami, jakie się ze strony czytelników odezwały. Zeszyt niniejszy, świadczący o coraz pewniejszym kierunku do zamierzonego celu, czyni zadość potrzebom historyografii naszej we wszystkich kierunkach.

W Berlinie, nakładem Weidmanna, wyszło ważne dla pedagogów dzieło pod tyt.: „Grundsätze der Erziehung u. des Unterrichts nach Herbart-Ziller u. A. Diesterweg." Von M. E. Engel. Berlin, 1887, str. VII, 176. Jest to rozprawa nagrodzona w konkursie, ogłoszonym przez towarzystwo fundacyi Diesterwega w Berlinie.

N e k r o l o g i a .

— † Dnia 27 marca 1887-go r. zmarł w Poznaniu **Kazimierz Szulc**, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, znany na polu pedagogiki, publicystyki i literatury historycznej pracownik, gorliwy w pracy publicznej obywatel w 62 roku życia. Ś. p. Kazimierz urodził się dnia 15 października 1825 r. we wsi Saminie pod Brodnicą w Prusach zachodnich. Dla niedostatecznych funduszów rodziców wstąpił dopiero w 15 roku życia do gimnazjum chełmińskiego. Nieznane nam okoliczności, wśród których przeniósł się do gimnazjum w Ełku, gdzie równocześnie widzimy go krzątającego się już między Mazurami około założenia Towarzystwa literackiego, z powodu czego został jako niebezpieczny agitator przez władze pruskie uwięziony. Dopiero w r. 1849 mógł złożyć egzamin dojrzałości w gimnazyum kościelnickim, poczem udał się na uniwersytet we Wrocławiu i poświęcał się studjom historycznym, biorąc czynny udział w pracach seminaryjnych pod okiem profesorów G. Stenzla i Roepell'a. Wpływ ś. p. Kazimierza na młodszych kolegów był wielki i bardzo zbawienny, do poważnej pracy pobudzający. W r. 1851—52 zamierzał wydawać przy współpracy kolegów czasopismo „Znicz,” którego wyszedł Zeszyt 1 (Wrocław 1851—52) z rozprawą St. Marońskiego „O sołystwach.” Po złożeniu egzaminu państwowego i obronieniu rozprawy „de origine et sedibus veterum Illyriorum,” (Poznań 1856), otrzymał stopień doktora filozofii i pracował jako nauczyciel przy szkole realnej w Poznaniu. W tym czasie zajmowała go, jak nam to najdokładniej wiadomo, głównie jedna myśl, mianowicie założenie w Poznaniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w celu pielęgnowania czystości języka, podtrzymywania literatury i pielęgnowania nauk w języku polskim. Przynajmniej ś. p. Kazimierzowi zasługę duchowego twórcy i najgorliwszego apostoła takiej instytucji, nie spodziewam się zaprzeczenia z żadnej strony, bo znane mi są dokładnie trudności, wśród których przy pewnej ówczesnej apatii, trzeba było zabiegać około tego dzieła przy pomocy takich ludzi jak ś. p. Tytus Działyński, ks. Fr. Ksaw. Malinowski, Hip. Cegielski, Aug. hr. Cieszkowski, kilku nauczycieli gimnazjalnych i i. Oprócz tego wywierał ś. p. Kazimierz wielki wpływ na ś. p. ks. Malinowskiego, który uważał go niemal za swego mentora i nawet w wielu kwe-

stych lingwistycznych odwoływał się do jego zdania. W r. 1862-im rozpoczął wydawać w Poznaniu pismo literackie pod tyt. „Tygodnik literacki,“ którego wyszło 52 nr. Następujące wypadki wyrwały go z pola dotychczasowej pracy. Po 3-letnim więzieniu w Magdeburgu udał się do Paryża, gdzie od r. 1867—1872 — z początku w ciężkiej niedoli przy 5 frankach tygodniowego zarobku — a później jako dyrektor szkoły montparnaskiej, pracował. Po rozwiązaniu téj szkoły w r. 1871-ym, wrócił ś. p. Kaz. do Poznania. W r. 1870-ym wydał broszurę w języku francuzkim ostrzegającą Europę przed barbarzyńskimi skutkami pangermanizmu pod nazwą Casimir de Samin. Popracowawszy w redakcyi „Dziennika“ do 1-go kwietnia 1872 roku, objął następnie redakcyą nowój „Gazety Wielkopolskiej.“ Po upadku tego pisma wszedł do nowo założonego Towarzystwa zabezpieczenia życia „Westa,“ przy którym niebawem został dyrektorem generalnym i wpływał bardzo pożytecznie na rozwój téj instytucyi aż do r. 1885-o, gdy zrzekłszy się tego stanowiska udał się na południe i bawił dłuższy czas w Sofii, w Bułgarii, zkąd pisywał korespondencye do pism poznańskich. Niewygody, na jakie naraził się na półwyspie bałkańskim podczas wojny bułgarsko-serbskiej, wpłynęły szkodliwie na jego zdrowie, tak że wróciwszy we wrześniu 1886-go do Poznania nie mógł dawnych sił odzyskać. Oprócz na polu mitologii i archeologii słowiańskiej (Mityczna historia polska i mitologia słowiańska. Poznań 1880) pisał także i o rzeczach ekonomicznych („O spółkach produkcyjnych,“) politycznych („O położeniu Austrii w obec Rosyi pojednanéj z Niemcami“). Wystąpienie ś. p. Kazimierza we Wrocławiu na zjeździe antropologów niemieckich w obronie słowiańskości krain polskich i nadodrzańskich nieprzeszło bez wrażenia. Nie wątpimy o tém, że zmarły pozostawił prace nie ogłoszone jeszcze drukiem. Cześć szlachetnemu pracownikowi na obszernéj niwie ojczyźstéj!

— † W końcu mies. marca r. b. zmarł we Lwowie **O. Józef Hołubowicz**, z Towarzystwa Jezusowego, rodem z Króletwa Polskiego. Po ukończeniu seminaryum w Krakowie, kształcił się czas jakiś w Niemczech, potem wstąpił do nowicyatu w Tarnopolu. Jako redaktor „Missyj katolickich,“ położył istotne zasługi w piśmiennictwie. Obok dzieł ascetycznych, wydał „Gramatykę praktyczną języka francuzkiego dla użytku młodzieży“ (1873), oraz kilka książek belletrystycznych, jak: „Zbiór utworów dramatycznych dla młodzieży“ (1874) i kilka powiastek. Cześć jego pamięci!

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

NA ROK

1 8 8 7.

Biblioteka Warszawska, pismo miesięczne, poświęcone naukom, literaturze, sztukom pięknym i sprawom ekonomicznym, rozpoczęła z rokiem 1887-ym czterdziesty szósty rok swojej działalności naukowo-literackiej, i wychodzić będzie, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca w zeszytach 10 arkuszowych.

Usilne staranie „Biblioteki Warszawskiej“ o utrzymanie peryodyczności naukowej w literaturze polskiej; rozbiór spraw nie tylko swoich, ale i obcych, obchodzących żywo społeczeństwo nasze; pilna uwaga na postęp w rozmaitych gałęziach nauk, z uwzględnieniem zadania naszej cywilizacji i oświaty narodowej we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego; sprawozdania krytyczne z dzieł naukowych i literackich, wreszcie ogłaszanie utworów literatury pięknej, zajmujących nie tylko fantazją, ale całą umysłowość naszą—to są ideały, które Redakcja „Biblioteki Warszawskiej“ od lat 46-ciu urzeczywistnić pragnie. Za podstawę działalności na polu piśmiennictwa, stanowiącego jeden z najsilniejszych puklerzy indywidualności narodowej w jej przyrodzonym, historycznym charakterze, uznajemy: utrzymanie w czystości języka ojczystego, wzmacnianie ogniw tradycji narodowej przy świetle postępu nauki i krytyki. Obok dóbr duchowych zwracamy uwagę również i na interesa dóbr materialnych w dziedzinie spraw ekonomicznych. Zasady te połączyły „Bibliotekę Warszawską“ solidarnym poniekąd węzłem z osobami poważniej poglądującymi na literaturę ojczystą, a obok tego nastęrczyły inteligencji krajowej możność objawiania i szerzenia światła naukowego, jakie z postępowym powszechnym i naszemu przyświecać powinno narodowi. W ten sposób stała się „Biblioteka Warszawska,“ nie tylko organem piśmiennictwa naukowego, ale i szkołą dla występujących na polu literatury ojczystej coraz nowych zapaśników. Nie ma bowiem pomiędzy poważniejszymi pisa-

rzami naszymi prawie żadnego, któryby się przy wstępie do świątyni nauk nie był dał poznać na kartach Biblioteki, a wielu współpracowników „Biblioteki“ przynosi jeszcze dziś zaszczyt literaturze polskiej.

W miarę wszakże powstawania i u nas coraz więcej pism specjalnych, można dzisiaj trzymać się ściślej granic właściwych przeglądowi miesięcznym, nie pomijając atoli względu na interes ogólny przy badaniach naukowych, występujących w nowym świetle dzisiejszej nauki i krytyki.

Pisma peryodyczne, trzymające pośrednie miejsce między literaturą książkową i dziennikarską, stanowią we wszystkich społeczeństwach oświeconych coraz bardziej potrzebne organa zasad i dążności, przekonań i teorii, poglądów i doktryn, które się z sobą ścierać powinny dla szerzenia zdrowych pojęć i ugruntowanych naukowo przekonań we wszystkich kierunkach życia ludzkiego.

Program z tych myśli wysnuty będzie i nadal celem, który Redakcja „Biblioteki Warszawskiej“ osiągnąć zamierza, a to w następujących działach:

I. Z dziedziny filozofii: rozbiór nie tylko systemów filozoficznych, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.

II. W zakresie historii i geografii: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju z uwzględnieniem warunków geograficznych.

III. Z nauki statystyki, ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.

IV. Nauki przyrodzone w ich rozwoju i praktycznym zastosowaniu.

V. Pedagogia i filologia wraz z lingwistyką, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne.

VI. Literatura i sztuki piękne: poezya i proza (powieść, dramat, poemata)

VII. Korespondencye w szczegółowych kwestyach naukowych.

VIII. Sprawozdania i krytyki z piśmiennictwa polskiego i obcego.

IX. Kronika z kraju i z zagranicy.

X. Kronika miesięczna o sprawach bieżących, społecznych, naukowych, artystycznych i ekonomicznych.

XI. Wiadomości bibliograficzne.

XII. Nekrologia.

XIII. Ogłoszenia.



WARUNKI PRENUMERATY.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej, dążąc wytrwale do zaspakajania potrzeb naukowych społeczeństwa naszego, pragnącego utrzymać swój związek z postępem oświaty europejskiej, nie spuszcza także z oka trudnych warunków ekonomicznych danej chwili; dlatego obniżyła prenumeratę dotychczasową „Biblioteki Warszawskiej” na rok 1887-y w sposób następujący:

W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie	rs. 10 kop. —
Półrocznie	„ 5 „ —
w Warszawie zaś:	
Rocznie	„ 9 „ —
Półrocznie	„ 4 „ 50
Kwartalnie	„ 2 „ 25

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcji Biblioteki Warszawskiej, Nowy-Swiat Nr. 41**, gdyż to zapewnia najlepiej akuratańską ekspedycją pisma. Równocześnie upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego stosować będziemy ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej” wynosi:

Za ogłoszenie, zapełniające 1 całą stronę	formatu Bibl. Warsz.	rs. 5
„ „ 1/2 strony	„ „	„ 3
„ „ 1/4 „	„ „	„ 2

Redakcja.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przystańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszkowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wносить przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

KRAJ, N-ra 10, 11, 12, i 13.

Artykuły wstępne: Stosunki galicyjskie w świetle statystyki.—Monopol tytoniowy w Rosyi i przypuszczalne widoki jego powodzenia.—Przemysł polski wobec przesadzonych o niego obaw konkurencyjnych.—Uwagi nad dwoma jubileuszami twórców obecnej jedności niemieckiej cesarza Wilhelma i ks. Bismarcka.—Listy otwarte do redaktora „Kraju.” *Korespondencje:* Z Londynu —Latar-

nika; z Budapesztu—Veraxa; z Kijowa—Trzaski; z Odessy—Wienia-
wy; z Wiednia—Veraxa; z Grodna—Heloty; z Kamieńca—dr. Anto-
nego J.; z Tylży Budrysa; z Filipopola (dwie)—St. Biernackiego; z Po-
dola—K. Soltan Abgarowicza; z Mińska—M. W.—Z sądów.—Sprawy
bieżące.—Dział polityczny.—Z tygodnia.—Dział ekonomiczny.

Przegląd literacki: Warszawscy przyrodnicy jako odmien-
na rasa, L. Straszewicza.—Przegląd artystyczny, Kr.—W noc zapu-
stną, J. Zengtellera.—„Potop“ Sienkiewicza, W. hr. Dzieduszyckiego.
Ks. R. Czartoryski, Kraj.—O Ad. Szymańskim. Słownko o „Przegląd-
dzie pedagogicznym,” W. Seredyńskiego.—Macierz Szlązka, S. Beł-
zy.—Stosunki Goetego z polakami, X.—Feljeton galicyjski, Zdory.—
Odwiedziny u polaków w Anglii, Latarnika.—Charakterystyka Sien-
kiewicza.—Nieznany programat J. I. Kraszewskiego, X.—Zapomniany
przyrodnik, Ad. Szymańskiego—Trzy lata istnienia „Świtu,” A. Maza-
nowskiego.—Piśmiennictwo historyczne, X. Y.—Sprawozdania lite-
rackie.—Kronika nauk. liter. i artystyczna.—Nowe książki i t. d.
Odcinek: „Przewoźnik,” szkic z niedawnych wspomnień, Ad. Szymań-
skiego.—„Szarabani,” z ormiańsk. przełożył A. Leist.

Cena w Cesarstwie i Królestwie 10 rs., zagranicą 12 rs. rocznie.

Adres: Petersburg, plac W. Teatru, 10.

„PRZEGLĄD KATOLICKI.“

Nr. 17-ty z dn. 28-go kwietnia 1887 r. zawiera treść następują-
cą: Jaki wpływ wywiera na wolną wolę otoczenie społeczne?—O języ-
kach liturgicznych naszego Kościoła.—*Notatki z prasy peryody-
cznej:* Watykan i nasi postępowicze.—Głos dla ludu.—Usypiacze.—
Dziwny fakt.—*Kronika kościelna krajowa:* Zmiany zaszcze-
w dycjezyi Kieleckiej.—Wyjazd JEks. arcybiskupa warszawskiego na
wizytę kanoniczną dek. łowickiego.—Dar dla katedry kieleckiej.—
Budowa nowego kościoła w Łodzi.—Z Częstochowy.—Dawny adm.
wileński.—Kościół w Żołudku.—*Kronika kościelna zagrani-
czna:* Niemcy: Dar katolików niemieckich dla Windhorsta.—Pru-
sy: List Ojca św. do arcybiskupa Kolońskiego.—Włochy: Pojedna-
nie Włoch z papieżem.—*Bibliografia:* Kaulen'a, Einleitung in die
heil. Schrift Alten und Neuen Testamente.—Komentarz na list do
rzytmian ks. prałata F. A. Simona.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**